



TEGOŻ AUTORA :

U KSIĘŻNEJ PANI wyd. V. Lwów 1920

NA DWORZE KRÓLA STASIA wyd. II. Lwów 1921

W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA Lwów 1919

ROMANS PRABABKI Lwów 1920

W PRZYGOTOWANIU:

HISTORJE LWOWSKIE

ŻYCIE POLSKIE W XIX WIEKU



NOEL, pinx.

LIT. CAVARNI

PRZEJAZDŹKA NA OSIOLKACH

O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ

NAPISAŁ

STANISŁAW WASYLEWSKI



LWÓW MCMXXI

NAKLADEM KSIĘGARNI WYDAWNICZEJ H. ALTENBERGA
POZNAŃ, WYDAWNICTWO POLSKIE

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna

w
Poznaniu

883

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ ARCHITEKT EUGENJUSZ CZERWIŃSKI A WYKO-
NAŁ ZAKŁAD INTROLICATORSKI A. SEMKOWICZA.

KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE GRAFICZNYM R. BRZEZIŃSKI I TOW.
ŁAWÓW, ULICA PAŃSKA L. 16.

Z Drukarni „Dziennika Polskiego” w Ławowie, ulica Cicha L. 2,
TELEFON NR. 283.

Zamierzylem opowiedzieć w tej książce o miłości romantycznej, tak, jak się przedstawiała w życiu poetów, na tle czasu swego, ze strony obyczajowej. Umieny na pamięć wszystkie części „Dziadów“, atoli nierównie mniej wieny o atmosferze, w jakiej żyli na codzień ludzie, którzy mieli serce. O francuskim *Vair romantique* piszą historycy w sposób zarówno bardzo uczony, jak bardzo przyjemny. U nas nie. Romantyzm polski woła o *Concourtoń* i *Maigrona*.

Tutaj interesowała nas tylko kobieta, współtwórczyni ztolej legendy romantyzmu. Nie kobieta wymyślona w dziełach poetów, lecz kobieta żywa, wraz z całą bujnością typu. Poezi są przedmiotem opowiadania tylko dlatego, gdyż zostało po nich najwięcej dokumentów, dozwalających przyjrzeć się z bliska dziejom serca. Gdyby np. Zygmunt Krasiniski nie był wcale wieszczem, a tylko tak w życiu poczynął z miłością, jak właśnie poczynął, należałoby książkę osobną napisać o tym stylowym kochanku romantyzmu. Miłość romantyczna jest wogóle — jak mówi twardo Boy — zanadto załgana poezją. Być może. Wszelako nie o prawdę chodzi, lecz o prawdziwą bajkę romantyzmu!

*Jeżeli tu i ówdzie w opowiadaniu start się cierpię-
liwy patos i ekliwa teka, jakimi do syta okraszono u nas
tych ludzi i czasy — nie martwiłem się. Przecież czas już
chyba ustawić Anhellich i Kordjanów w zaciszu muzycznej
gabloty. Zresztą niema w tej książce żadnych gwałtownych
odkryć historyczno-literackich. W obszernych pracach Fer-
dynanda Hoësicka np. znajdzie czytelnik zapewne więcej in-
formacji o niektórych sprawach. W kilku obrazkach powtó-
rzyłem jako swojemi słowami rzeczy dawno znane, w in-
nych polegać musiałem na własnych poszukiwaniach, co
wyjaśniono dokładnie w przypisach na końcu książki.*

Lwów, dnia 21 grudnia, 1920.

SCENA, DRAMAT I AKTORZY

*„Miłość, ptak słodki i okrutny
któremu trudno się oprzeć”.*

Safona



Serwantka, ulubiony mebel romantyzmu, jest to szafka, ze wszech stron oszklona. Dostojnie purpurowa, koniecznie *cu acajon*, jak nakazywał zwyczaj empire'u, wspiera się na lwich, złożonych łapkach i ukazuje, skądkolwiek w nią popatrzysz, malownicze teatrum filiżanek, żardynjer, puharów i cukierniczek, których na codzien używać nie wolno. Szyby są lustrzane, teatrum prześlicznie wygląda. Serwantką, czyli pałacem o ścianach szklanych, jest dusza romantycznego poety, który powie nam wszystko, co się w jej wnętrzu dzieje, ale słów jego na codzien nie używajcie. Powie, bo lubi i umie mówić. Romantycy to pierwsi ludzie, którzy wzięli sobie prawo mówienia w poezji o sobie. Romantycy to także ludzie, którym dana była w Polsce władza najpiękniejszego słowa, akordu, myśli. Umiemy na pamięć roty ich przysięg, uczymy się w szkole o arcydziełach, poczętych w łonie ich miłości, kochamy sami w takt ich rytuału, frazesu i rytmu.

A czy prawdę powiedzą? Czy też w obliczu szarej rzeczywistości nie zblednie malownicze teatrum?!

Jest jeszcze drugi sprzącik ulubiony epoki: latarnia magiczna, czyli czarnoksiężka. Wpółśród zachwyty dużych dzieci rzucała cudowne fantasmagorje na rozwieszone płótno. Barwiste, żywe, czarodziejskie obrazy żyły na ekranie tak długo, dopóki oświecało je dobroczynne światło

latami. Taką latarnię magiczną posiadli romantycy, latarnię zwaną przez niektórych „urokiem poetycznego na świat spojrzenia“. Z kamery mknące na ekran obrazy będą tedy arcycolorowe i tak nam widne, jak je przedstawić pragnęła czarnoksiężka poza duszy romantycznej.

Ojcowie nasi się bili
 A my? my tylko -- kochamy
 Lecz bój nasz - równie zwycięski.
 Wszak miłość walką jest; czyli
 My także walki staczymy,
 Biorąc wiktoryje i kłęski.

Z cesarzem papa szedł dzielnie
 Na wroga. My idziem na serca!
 Krew nas oblewa i sława.
 Wracamy ranni śmiertelnie
 I coraz duszę przewierca
 Boleść straszliwa i krwawa...

W wierszyku tym jakiś bezimienny poeta francuski rzekł prawdę, jednako żywą i dla Polski. Poezja romantyczna i miłość romantyczna były dziećmi bajki napoleońskiej. Ludzie roku 1812 tak przemarzli pod Moskwą, iż zapragnęli rozgrzać się — romantyzmem. A do ciepła i ognia tęsknili od dawna. Rokoko chłodne, chore, spopielate spłodziło z trudem miłość rachityczną, która była ostrygą, dzieckiem mózgu, zabawą towarzyską. „Teraz żyjemy w czasie, przeciwnym prawdziwej miłości“ usprawiedliwiał się w r. 1775 autor „konsztów kochania“. Dusza oświecona kochała i cierpiała konwencjonalnie. „*Mes compliments de condolence a l'occasion du* nieszczęśliwa

miłość" i koniec. Ich uczucie, pomimo wszelkie kolory i zabaweczki, grzęzło w smutnej nudzie, *mignard et fade, comme les petits pieds de la Régence*. Jakże inaczej miłował Wolter od Musseta, Trembecki od Maleczewskiego! Obudzona przez Napoleona żądza nadzwyczajności wytrysła strumieniem, który zresztą oddawna sączył się z pokładów cywilizacji europejskiej.

Romantyzm szedł na podboje, jak lawina i wichur. Parła na Polskę z zachodu i z jej własnego ducha nowa kultura, nowe życie, nowa twórczość, wydobywał się z więzów, z sznurków, z regulek obyczaj życia i literatury. Romantyzm otwierał na ściężaj swe kramy, w których ukazywał stare piękno Danta i Szekspira, rozpałał dla rozgrzewki ogniska Szyllerowskiej poezji, a czyniwszy lorda Byrona wodzem naczelnym, wydał wojnę przesądom życiowym, literackim i wszelkiej codzienności życia. Pożywano z rozkoszą upojne narkotyki. „Teraz, tak jak pijący, szukamy coraz mocniejszych trunków, Byron i Szyller rozpoili nas“ pisał w tym czasie Mickiewicz o sobie i towarzyszach.

A gdy oni czytali Byrona, zaczęła się budzić i też uwalniać z więzów kobieta, która dotychczas tylko w warstwie najwyższej miała możliwość rozporządzania sobą. Nie dość jej już było cukierkowej i nieokreślonej tęsknoty ku „gwiazdce z nieba i szybko z okna“, a również nie imponuje jej śliczna gąska z Walewic, którą uwiódł Imperator. Zastyszała o sprawach innych, zasadniczych. O przedziwnej pani de Staël, która podróżuje sama bez opieki, która kłóci się z Napoleonem, pisze przecudną „Korynnę“ i woła o emancypację duszy niewieściej. Zastyszała o p. Sand, żądającej emancypacji nie tylko ducha ale i ciała nie-

wieścigo i wyzwolenia samicy. Żurnale piszą jeszcze o lady Hamilton, która tańczy nieprzyzwolicie i o lady Stanhope, wojażującej namiętnie (też bez opieki!) po pustyniach Arabji. Kobieta polska jeła także buntować się po cichu. Z duszy poetów urodziła się nowa poezja, z buntu kobiety nowa miłość, romantyczna.

Od czasów średniowiecznej miłości dwornej od kanzon Dantego i śpiewu trubadurów nie było w kulturze świata tak wysokiego ubóstwienia miłości i tak troskliwej jej pielęgnacji, jakie poczęło się w romantyzmie z chwili, gdy jednostka otrzymała prawo głosu w literaturze. Jakby tych ludzi porwała nagle jakaś namiętna *gioia del amare*, miłość kochania czy kochanie miłości. Romantyk „kochał za miliony“ nieszczęślików, którzy przedtem zdaniem jego kochać nie umieli.

Co to jest i czy wogóle jest jakaś odrębna miłość romantyczna, czy można zamykać w szufladkę stylu, sprawę tak wieczyście nieodmienną? Wszakże uczucia miłosne i listy są zawsze w intencji i treści podobne, z tą chyba różnicą, że Orfeusz kocha się w Eurydyce, a np. Guy de Maupassant w Marji Baszkirczew, że Tasso pisywał do Eleonory, Lukrecja Borgja do Alfonsa d'Este, Bismark do swojej żony, Mozart do Konstancji Weber, a Napoieon do p. Walewskiej?! Otóż jeśli o jakiej, to o romantycznej miłości powiedzieć da się: stworzyła swój własny styl. Nietylko w dekoracjach i akcesorjach, lecz w całej istocie. Stary Fryderyk Szlegel określił ongi poezję romantyczną, jako taką, która treść sentymentalną podaje w formie fantastycznej.

Parafrazując, to przestarzałe zresztą powiedzenie powiedziałyby się: miłość romantyczna jest to taka miłość, która na krosnach zwyczajnego sentymentu dla kobiety, dzierga hafty fantastyczne. Jest w tem trochę prawdy, bo istotnie w miłości romantycznej rzeczy zwyczajnych bywa mało. Fantastyczną jest jej logika, są jej wymiary, nawet jej fizjologia.

Chociaż ludzkość istnieje od wieków, nikt tak kochać nie umiał, jak my. „Dni, godziny, lata, do końca i po końcu świata!” I wogóle niewiadomo czy miłość istniała przed nami. Cokolwiekby miał sądzić o tem stary Arystofanes, — tenci już przed tysiącem lat wyśmiewał kochanie przy słowiku i księżycu — to pewna, że słowiki pierwszy raz zaczęły śpiewać dopiero w r. 1819, gdy lilaret wileński jeździł do Tuhanowicz, a księżyc nigdy tak jasno nie świecił, jak wówczas, gdy syn profesora estetyki chodził w Krzemieńcu na przechadzki z córką profesora chemji.

Miłość jest naszym wynalazkiem, mówią dalej romantycy, kosmos cały wobec niej jest czemś ogromnie małoznacznem, istnieje — o tyle, o ile istnieje miłość. Nasza miłość.

Jest ona bohaterstwem i cudem, obrzędem, hymnem i wszystkim innem, czego nie wiemy.

Jest kwiatem, ofiarą, religją i obowiązkiem. Jest sztuką osobną i najwyższym czynem ducha. Gdyby miała skończyć się, niechaj wprawdzie przestanie istnieć świat.

Miłość romantyczna obmyśla tortury straszne i najśrodsze. Daje poznać słodczye łez i rozkosz cierpienia, uciechę rozpaczy, nienawiść zadowolenia, niesyt tęsknoty. Stworzyła całą nową skalę przyjemnych, zgoła niespodziewanych bólów.

Więcej jeszcze. Miłość to klucz do poznania wiekui-
stych tajemnic, to jedyny pono dowód istnienia — wiecz-
ności. Tak wierzą romantycy. Wierzą także w istnienie
aniołów, bo czemuż jest anioł? Wiemy wszyscy od Swe-
denborga, że dusze dwojga zmarłych kochanków stwarzają
jednego anioła.

Wobec tego: miłości grzesznej niema. Każda, prawie
każda jest sakramentem. A nadto wydaje się przymusem,
przymusem tak niepokonanym, iż dzieciństwem byłoby
przypuszczać, jakoby można się z pod niego wyłamać.
Opór przeciw miłości byłby nietylko nieroztropnością. Rów-
nałby się wprost zbrodni. Nie ważcie się też słuchać nija-
kich głosów rozsądku. „Są tak gwałtowne, tak porywające
uczucia — wyznaje tyle doświadczony miłośnik Z. Kra-
siński — że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźnia-
jącym buffonem, ale nie zaradnym lekarzem!”

Wszyscy romantycy polscy żywią to przekonanie.
Nietylko poeci. Bo także lada oficerzek szwoleżerów i ka-
det szkoły podchorążych, ułan z pod Stoczka i elew kont-
redansa na wiejskim balu, muzyk, filozof, aktor od pana
Osińskiego i wreszcie każdy pospolity człowiek, jeśli tylko
oddycha romantycznym powietrzem, a urodził się razem
z wiekiem 19-tym. Ci ludzie ukamienowaliby La Roche-
foucauld'a, gdyby ośmielił się teraz powiedzieć, że miłość
przypomina upiora, bo wszyscy o nim mówią, lecz nikt
go nie widział. Oni widzą miłość, oni ją czują w każdym
librze nerwów, w każdej łzie na policzku. Kochają,
więc są!

Uczuciem swoim cały świat zaprzętnęli. Kochają
w stepach Ukrainy i na piaskach Mazowsza, nad Smotry-
czem i na Majorce, w Palermo i w Nowogródku, na lagu-

nach, na skałach Calvados, w kaplicy Tella, na Czatyrdahu i wszędzie indziej. Na Santa Lucia i w obliczu Wewzujusza, wśród jarów Zbrucza i w kopule św. Piotra, w gajku zielonym i na koniku wronym.

Może tkwi trochę prawdy w tem, że nikt tak nie kochał, jak romantycy. Bo przecież ileż to razy dostrzegali w kobiecie rzeczy, których tam nigdy nie było, lub których dawniej jako żywo nie widziano! Nic dziwnego, wszak mają „oczy duszy“ (pożyczone od Szekspira), a także dziwny pewien sposób nazwany przez 16-letniego Julka Słowackiego „zaczuciem“. Obaj ze Spitznaglem spróbowali sposobu owego w kościele wileńskim, wołając na klęczące tamże dziewice „niemym duszy głosem“. I co powiecie? każda odwracała się, reagując na to „wołanie duszy“.

Nie psujmy romantykom złudzenia, że im pierwszym dopiero poczęło serce bić gwałtowniej. Ta przesada jest miła i stylowa. Bo przecież miłość romantyczna żyje przesadą i łatwo, zbyt łatwo, traci poczucie rzeczywistości, jeśli wogóle miała je kiedykolwiek. Dziedzicznie obciążeni hipastenją cierpią romantycy na przewleklą hiperestezję. Takby powiedział stary doktor z Krzemieńca, także romantyk. W polskim przekładzie znaczy: oni skarłała, obumarła siłę woli łączą z wybujałą, przesadną, często karykaturalną uczuciowością.

Przesada co krok. „Dwie rzeczy — tak głosi jakiś wieszczek francuski — warto osiągnąć na świecie, sławę zdobywcy świata, albo uwodziciela: *Être Don Juan, être Napoleon! Toujours avoir au coeur des frémissements. toujours vibrer des sensations nouvelles... Oh! voilà vivre!*

Znów czuję *węza*, który mnie oplata
Znów czuję *boga*, który mnie porywa

woła z emfazą Krasieński. Z jakiej racji? co się stało? Umówili się na pierwszą schadzke z Delfiną. „Bóg mi *darował* te wzgórza, tę pustynię, to morze, to powietrze, to niebo. Tyś *panią* tego! — zapewnia kiedyindziej, ofiarując damie w prezencie całą zatokę neapolitańską.

Być kochanym to wielkie szczęście. *Être aimer* -- krzyk tracącego przytomność romantyka francuskiego — te dwa słowa mają skrzydła fantastycznej chimery, to opjum, ekstaza, szal i upojenie. To myśl światotwórcza, cud, ziszczający rzeczy niemożliwe, to rozkaz, wyrrywający obietnicę *niebiosom*, to zaprzeczenie boleści“. Tak. Być kochanym to szczęście, ale kochać nieszczęśliwie to bardzo wielka przyjemność. Do tego przekonania nie przyzna się żaden z romantycznych prestidigitatorów. choć wie pocichutku, że tylko miłość nieszczęśliwa daje pełnię życia. (A pomimo wszelkie werteryzmy romantyk polski kocha życie, potrafi się nawet, jak jeszcze zobaczymy, zastrzelić z miłości, ale zasadniczo nie chce bynajmniej wraz z Schopenhauerem gasić w sobie woli bytu). Otóż istotą miłości jest ból i cierpienie, to krwawa udreka duszy, najważniejszym jej rekwizytem to pełna łez chusteczka do nosa. Pamiętajcie, że Albin w „Ślubach panińskich“ (1826) woła zdziwiony: Ach można kochać i nie płakać razem? Maryla (1821) pisze do Zana: „Już zgadzam się z panem, iż nieszczęścia niektóre są szczęściem“, zaś 18-letni Kraszewski modli się:

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona
Święta boleści, co mi serce krwawisz...

Rozkoszą i migdałkiem miłości romantycznej jest walka. Jeśli nie ma z czem walczyć, bo wszystko gładko się składa, trzeba przemocą wynaleść trudności. Wprost przeciwnie jak w wieku oświecenia. Tam chodziło o *mini-*

minim, tutaj o *maximum* trudności. Zawsze i wszędzie musi działać dysharmonja między światem a nimi, między nią i nim. Romantyk upaja się przeciwnościami i jak pijak do nich tęskni, sam je zmyśla, wyszukuje, zaczepia i wyzywa do walki. A zresztą dość ich się znajdzie i bez szukania. W konwenansach życia, w kobiecie, a już najwięcej w duszy człowieka romantycznego, który jest bezwolnym i apatycznym, który do wysokości dogmatu podniósł dziedziczną neurastenję i histerję. Dlatego miłość romantyczna często spala na panewce

Miłości moje jako próchna świecą
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali
Ledwie ustami płomienia zachwyca
Wnet je strach księdza albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

(Beniowski)

Miłość romantyczna jest dzieckiem wyobraźni i podlega wszystkim jej prawom. Jeśli zechce, wolno jej niezręcznie okolic nimbami Madonny. To nieprawda, jakoby Laura miała męża i 9-cioro dzieci, Laura żyje do dziś w nieskalanem dziewictwie, kochana przez Petrarke. Zaś, niczem Venus z głowy Jowisza, urodziła się Marja Wodzińska z „tęczy i potoku piany“ pod kaplicą Tella. Co sobie jeno romantyk wymarzy, to już posiadał i ma. Jeśli w rzeczywistości zapęd erotyczny chybił celu a *domina angelicata* okazała się np. tępą i nieczułą panną na wydaniu, wówczas nie mówi się tego głośno, lecz szczęście nieosiągnięte przedstawia jako szczęście utracone. („W Szwajcarii“): nawet miłość wzgardzoną (*L'amore sdegnò*), wyobraża się jako szczęsne królowanie. Miłość romantyczna

nienawidzi małżeństwa. Najchętniej zostaje do końca „marjażem, osnutym na sercu“, („Tak, tak. Małżeństwo jest jako czereśnie. Najpierw je wróble oskubią złodzieje, a potem człowiek zjada nadgryzione“.) „A ty myślałaś, że ja z tem sercem ognistem nazwę cię moją kochanką i żoną?“ mówi gdzieś ktoś u Słowackiego. Istotnie trudno. Żona to banalne dla nich rozwikłanie problemu miłości, to złośliwe przekreślenie całego romantycznego stanu posiadania, na który składają się najwspanialsze domki z kart i najdumniejsze — zamki na lodzie. I tylko zdala, jak stale w wyznaniach Słowackiego, szarzeje na widnokregu tęsknot miraż cudny, bo nieziszczalny: kiedyś po latach żona, dworek pod lipami i dużo, dużo jasnowłosych chłopiąt na kolanach.

Zobaczymy z kolei jak wyglądają celebryci, arcykapłani romantycznego kochania. Zbliżka, nie w świetle magicznej latarni. Mickiewicz jest najzdrowszym i nie posiada niemal żadnego z wymienionych rysów karykaturalnych. Mocny, renesansowy typ mężczyzny, który szybko wyswobadza się z pęt stylu romantycznego. Słowacki jest samotnym i kapryśnym neurastenikiem miłości. Żyje cudowną fikcją kobiety. Krasiński, stylowy w każdym geście Don Juan romantyczny. Stenio kochanek „Lelji“, Rajmon, z „Indjany“, Manfred, Fantazy i jeszcze więcej. Bezwzględny, nieprzebierający w środkach. Kolejno każdej z czterech kochanek przysięga po śmierci spotkanie w zaświatach, popada w najdrażliwsze konflikty z sobą, z rodziną, z mężami, nawet dziećmi uwodzonych dam, a potem rzuca babę bez skrępowań, gdy tylko zaczęła brzydnąć. A zresztą zobaczycie. Chopin wydaje się najbardziej smutnym z miłośników („Ach jakże on rozkosznie kaszle!“ —

wzdycha któraś z warjatek francuskich, odwiedziwszy go na parę dni przed śmiercią). Rekord gestu romantycznego wziął wszelako tajemny Cyprjan Norwid, gdy pod wpływem nieszczęśliwej miłości opuścił nagle towarzystwo balowe, aby w lśniącym gorsie, jak chce legenda, i z jednym napoleonem w kieszeni rozpocząć 62-dniową podróż do Ameryki jako robotnik okrętowy.

W uwielbieniu kobiety prześcignął romantyk trubadura średniowiecznego i malarzy odrodzenia. Zbudował niewieście tron z granitów, tęcz i opali, okrył jej stopy tkaniną z najpyszniejszych frazesów, zbudował kościół z rymów i synagogę z przekleństw, oddał pięknej pani życie swoje i śmierć na rozkazy, potem zapewnił, jako filozof, ewolucjonista, że przez nią dąży do lepszych form bytu, a na końcu wyznał, że właściwie kocha nie ją, lecz tę. „której na podłonecznym nie bywało świecie!“... W zamian zażądał — bezwzględnego poddaństwa, rozkazując, aby jak cień szła za nim cierniową sławą drogą i była duszą-pokojówką jego duszy. „Chcę byś szklami memi patrzała na ludzi“ — wymaga Krasiński od Bobrowej, uważając ją „za niemierność, ale tylko na scenie *moich* myśli i pragnień“. Słowacki chwali się w „Beniowskim“, iż mu teraz „wezglowiem kobiece serce“. Tak pisali poeci, tymczasem panie czyniły swoje, formując typy odrębne.

Typ kobiety romantycznej ma rysy wyraziste, łatwe do poznania i w całej Europie do siebie podobne. Nie trzeba mówić, że był kopją literatury i urodził się z książek, bo także książki rodziły się z kobiet. Typ kobiety romantycznej rósł równocześnie z poezją romantyczną. Mo-

delowano się wzajemnie. Postacie Balzaca, Słowackiego, Byrona, wzięte z życia, nowym typom życie dawały. Romantyzm był epoką kobiety. Schodząc z pola chwalili się jego arcymistrzowie, że „dzięki ich odkryciom między rokiem 1827 a 1847 pojęli ludzie istotę tajemnicy, zwanej kobietą”. (Michelet). Istotnie kobieta, otrzymała od nich cały skarbieć rad i wskazówek. I nie wiedziała, których słuchać. Przepatrzili na wszystkie strony problem małżeństwa i rozvodu. Byron wyśmiał przed panią „starego głupca i nudziarza” Platona za jego miłość platoniczną, Shelley, Novalis, G. Sand ośmieszyli małżeństwo, Fourier odkrył w kobiecie istotę natchnioną, ba więcej jeszcze: Saint-Simon kazał sekcje swojej czekać kobiety mesjasza, na znak czego ustawiano pusty fotel na wszystkich zebraniach! Wśród tak troskliwej opieki wzrastała na Zachodzie heroina epoki a gotowe i skończone okazy przeszczepiać się zaczęły na grunt polski.

Za Księstwa Warszawskiego i później upowszechnia się u nas typ niewiasty egzaltowanej. Jest to reakcja uczucia, ujawniająca się w życiu, nim jeszcze buchnie w twórczości. Dusza egzaltowana chce ogarnąć świat nadmiernem uczuciem, tak jak jej matka pragnęła to uczynić — rozumem. Nie szczędzi łez. U pani ministrowej Mostowskiej sześć pań płaczących zemdlało w czasie głośnej lektury „Malwiny” ks. Wirtemberskiej. Egzemplarze „Julji i Adolfa” zbutwiały doszczętnie, dzięki nadmiernym łzom czytelniczki. Egzaltowaną kobietę upomina już Kazimierz Brodziński, uważając, że to „nudna melancholiczka, że tworzy sobie nieszczęście, a mąż i dzieci zimną tylko są dla niej prozą”. Gdy kocha, mówią inni, kocha nade wszystko, „wyrazu ojczyzna nie może nigdy słyszeć bez

gwałtownego wzruszenia". Z czasem wzruszeń przybywa. Pani romansowa nauczyła się na pamięć wszystkich frazesów „Korynny” i wciska przemocą życie w sytuacje z przeczytanych romansów. Staje się Walterscołką i Byronistką, pod poduszkę — jak zapewnia ktoś współczesny — kładzie Kourada Wallenroda, zasypia recytując IV część „Dziadów”. Rok 1831 jest dla niej lekcją patriotyzmu i uświadomienia narodowego. Taką ją widzą i taką uwieczniają wieszczowie.

Kto na zniszczonej, niegdys żyznej ziemi
Co zagonami mogił dziś pokryta
Tocząc wokół oczyma błędniemi
Wieczornych wiatrów o kochanka pyta
Z rozwianym włosiem, z szatami żałoby
Budząc łzą rzewną męczenników groby
Smutna, powtarza imię bez ustanka ?
Polka kochanka !

Toksyny romantyczne działają wszelako dalej. Pochłonawszy wszystkie hasła wyzwolenia, przeszedłszy dwustopniowe wychowanie p. Staël i Sand, nauczywszy się zasad niezgody ze światem i buntu — kobieta trzydziestoletnia lat 30-stych ujrzała, że jest.. tak mądrą, jak wprzódy. Jakiż bowiem był np. rezultat kampanji wyzwolenczej p. Sand? Naprzód powiedziała: Z małżeństwem szczęście kobiety kończy się, a nie zaczyna! A skończyła: „Małżeństwo jest najpotworniejszą formułą, jaką ludzie wymyślili. Gdyby mnie jednak zapytano, czem je zastąpić, odpowiem bez wahania: drugim małżeństwem”. Rozdźwięk między symfonią patetyczną poezji a codzienną piosnką życia powiększał się coraz bardziej, odwieczne przesady konwenansów, pryskające w powieściach jak bańki my-

dlane, w życiu trwały dalej, z każdej podróży w zaświaty romantyczne wracała pani ciekawa na padół płaczu z tem większem rozczarowaniem, tęsknotą, brakiem oddźwięku w otoczeniu. Trudno przecież było naśladować lady Ellenborough, która rozwiódłszy się kolejno z sześciu Europejczykami, znalazła wreszcie szczęście z szejkiem arabskim. Co robić i gdzie szukać zrozumienia? Tak powstał powszechny i naczelny typ epoki: DUSZA NIEODGADNIONA (*l'âme incomprise*). Dusza kobiety nieodgadnionej, gardząc zimną prozą życia, tęskni do gorących uścisków poezji. Chce żyć dla poezji, i — poetów przedewszystkiem. Pragnie w nich wertować jak w książkach, z nimi przeżywać ich miraże. Znać może tę śliczną postać dziewczątka z Prowansji, które zakochało się w starym Chateaubriandzie, dlatego, że był wielkim poetą? Są takie dziewczątka i u nas: Maryle, Ewunie i Zosie.

Gdy dusza nieodgadniona wyjdzie za mąż, a mąż okazał się nieczulym, tępym, starym i okrutnym, wtedy zmienia się w kobietę NIEZROZUMIANĄ (*femme incomprise*). Zająła miejsce kobiety wytwornej (*femme charmante*) i sawantki (*femme d'esprit*) z wieku 18-go. (Stosujemy terminologję romantyzmu francuskiego, tem bardziej, że ją znano powszechnie i u nas). Kobietę niezrozumianą spotkać łatwo w powieściach Korzeniowskiego i w „Beniowskim“, który tak pysznie z niej dworuje. Często, najczęściej jest naprawdę nieszczęśliwą i usycha w więzach starego obyczaju małżeńskiego. Lecz nieraz tylko „dramat układa“, i tak, jak jej matka bywała wolterjanką czy farmazonką tak ona wdziewa kostjum „Manfreda w majteczkach“ („I lorda i Boga rzuciłam dla ciebie“), czy „Don Juana w spodnicy“. Kocha podróże, nieszczęścia, blada („dwie

czarne plamy atramentu na prześcieradle białym“) melancholijna, „twarzy kochanka ciekawa“. Wzbudza litość często prawdziwym bolem, częściej prawdziwą śmiesznością.

Współczesny satyryk francuski opisał ten rodzaj tak dokładnie, że i polskie damy niezrozumiane snadnie dostrzec się powinny w konterfekcie:

Femme incomprise lubi zaciszne pokoje, dokąd hałas nie dochodzi i skąd westchnień nie słyhać. Niby powój, zwany *belle de nuit* nie znosi jasności dnia i tak jak on, kryje się za zieloną zazdrostkę. Woli żyć w półmroku, za muślinową firanką. W jej tajemniczym buduarze mnóstwo przedmiotów drobnych, bezużytecznych i drogich. Czasem krucyfiks, czasem fajka. Ni stąd ni zowąd zeszcły bukiecik, lub strzępek materji, obrazek Madonny, *necessaire* na drogą listy, wachlarz i sztylet do rozcinania kart, chociaż książek nowych nie czyta. Dusza kobiety zapoznanej potrafi wznieść się z potępionych nizin miłości zakazanej w czterech regjony kochania mistycznego. W tym locie na złamanie karku każdy jej ruch jest tajemnicą, każdy wysiłek boleścią, każde słowo problemem, każde westchnienie — zwierzeniem. Któż pojmie któż określi tajemnicę jej milczenia? Gdy siedzi i nic nie mówi, to może wulkan dzierży w sobie, może goreje i spala się wewnątrz? Na szczęście jest bogata, więc jej pożar nie zuboży.

We Francji kobiety niezrozumiane nawet strojem wyróżniały się: Suknia z „tafty“ staroświeckiej lub wełnianego muszlinu czarno-czerwonego, kapelusz słomkowy z aksamitką. „Lorgnon“ zawieszany na łańcuszku z włosów, broszka ze szkłem na przechowanie najdroższych pamiątek, bransoletka z włosów. Policzki zapadłe, oprawa oka żółta i ziemista, rączka biała, splamiona atramentem... Polskie nieszczęśnice ubierały się podobnie, choć stan ten nie był

taki powszechny, jak we Francji. Tam bowiem tylko taka kobieta mogła liczyć na zwrócenie uwagi na się, która była choć przez krótki czas niezrozumianą. Szczęście w małżeństwie uchodziło za szpecącą parafjańszczyznę. U nas damy wzdychające pozostały naogół wyjątkiem, ale wyjątkiem... skwapliwie poszukiwanym.

Stopień dalszy: Kobieta OPUSZCZONA (*femme abandonnée*). Wszystko jedno przez męża, kochanka, czy kochanków, w każdym razie przez kogoś kochającego opuszczona. („Jak okręt rozbity na piasku“...). Czeki wrażeń i uścisków nowych. Hrabina Idalja w „Fantazym“. W życiu nie znamy pyszniejszej od owej markizy Bobonigo, którą w kilku kreskach sportretował w liście Krasński. Leży wzdychając na kanapie w najpowabniejszej pozycji, obok na stoliku alabastrowy Chrystus, tuż przy nim alkoran w oprawie z drogich kamieni, olbrzymi stos romansów, projekty kościołów i pałaców na Ukrainie, żeby nie rzec w Hiszpanji. I ból i łzy. *Abandonnée* szuka pociechy w religji, albowiem katolicyzm tak teraz w modzie, jak dawniej niewiara. Czyta się wtedy św. Teresę i Augustyna i pisze 25 tomów traktatu teologicznego, co wszystko obaczmy.

Typ trzeci, najwyższy: kobieta NATCHNIONA, kobieta dająca natchnienie. (*femme inspiratrice*). Bywały nieraz białogłowy nieświadomymi inspiratorkami artystów. Czyto Mona Lisa, Fornarina i Laura, czy Stella w życiu Swifta, Graziella w poezji anielskiego Lamartina, czy też dręczycielka d'Alemberta pani Lespinasse, albo legjon kochanic Goethego i Byrona. Lecz nie wiedziały najczęściej, co czynią. Zadowolniały się kornym uszczęśliwianiem herosów, potem zbierały ich autografy, strzępki szat. *Femme inspiratrice* żąda więcej: pragnie władać natchnieniem ar-

tysty. Poryw szalony zwycięży rzadko. Kobieta romantyczna stanie się albo wampirem, żerującym pasożytnie na duszy twórczej, albo obłąkanym typem manjaczki (jak owa biedna Niemka Szarlotta Stieglitz, która w r. 1834 odebrała sobie życie, by dać mężowi temat do genialnego dzieła), kiedy indziej odejdzie gorzko zawiedziona, („odennie wziął ruch, lecz mnie nie zna“), a czasem zwycięży, jak Matylda Wesendonk, „zrzucająca głaz grobowy z ducha Wagnera“. I w Polsce kobiet natchnionych nie braknie.

W Polsce t. zn. nie we wszystkich warstwach społeczeństwa. Jak już zaznaczono, kobieta romantyczna, podobnie jak nią była sawantka w. XVIII, jest dzieckiem kasty, damą z high-life'u. Jeszcze ciągle, niestety, mieszka ona nieomal wyłącznie w pałacu, rzadziej w białym dworku, najrzadziej w mieszczańskiej kamienicy. Panie romantyczne to damy feudalne o dziewięciu pałkach w herbie, którym w noc poślubną poddani znoszą w garnkach żaby do stawu, iżby się jaśnie państwu przyjemnie marzyło przy żabek rechocie. Kobieta błękitna nudzi się srodze od dłuższego czasu. Odebrano jej rządy świata, rozkosz intrygi dworskiej, i nie potrzeba już układać się z ambasadorami o rozbiór Polski. Nudzi się, więc tem skwapliwiej zaprzęta się romantyzmem przyklasnąwszy jego idei walki ze światem. Ojczyznę kobiety romantycznej są kresy, Wołyń, Podole, Ukraina. Wszystkie niemal stamtąd przybędą do literatury. Z kraju, w którym leżał Tulczyn, Równo i Zofjówka, z ojczyzny szaleństwa i wielkich gestów, Zofja Potocka zmieni się w Delfinę, narzeczona Kościuszki przybierze rysy kochanki Malczewskiego, a te, co dawniej pielgrzymowały do Russa i Delila, pójdą za Lisztem i Balzakiem.

Współtwórczynie polskiej legendy romantycznej mają przecież w sobie znikomo mało polskości. Najczęściej z duszy i serca — kosmopolitki. Dopiero ich córki pójdą na naukę do Hofmanowej i Kraszewskiego. Pomimo wynalazku jaki uczyniła mądra ks. Wirtemberska w r. 1815 pisząc „Malwinę“ język polski nie jest językiem miłości. Można, było też Mickiewiczowi napisać IV część „Dziadów“, wszelako listy miłosne niesposób układać bez francuzczyzny! Przeważna ilość pań, które wkrótce poznamy, będzie tego przekonania. Nawet, nawet... Maryla...

Pomimo to romantyczka polska staje się typem odrębnym. Przyniosła z sobą do Europy coś egzotycznego, polot jakowyś i łezkę słowiańską, której brak nawet najbardziej „opuszczonym i niezrozumianym“ Francuzkom czy Angielkom. Dlatego w tak wielkiej estymie chadzają w Europie romantyczki z nad Wisły. Trudno czynić studia statystyczne nad tym podbojem serc, ale wiadomo, że w bibliografji każdego wielkiego artysty świata odnajdzie się zawsze jakaś Polka. Przypomnijmy przepiękny wiersz Lamartine'a do nieznannej Polki i miłość Montalemberta dla jakiejś Lubomirskiej i Ary Szefera, który wszystkim kobietom swych obrazów dawał rysy żony Krasińskiego, dalej Liszta, Balzaca, Napoleona III adorującego damy polskie, i Paul de Cocka i — *lâchous le mot* — dzikusa Konstantego, żeniącego się z Grudzińską.

Dla znakomitych aktorów i sztuk przedziwnych, jakie się na teatrum romantycznym grały, nie ladajakie przyłagodzić wypadło dekoracje. Pomyślał o tem *Onkel Biedermeier* w Niemczech i sztuka Restauracji we Francji, która

do świetnej puścizny empire'u nowe dodała świetności. Z cackami rokoka nie chciał rywalizować romantyzm, przepędziwszy dwustopowe fryzury i dziecinne świecidelka oświecenia. Miał podobać się ludziom, którzy patrzą „oczyma duszy“, więc też i „barw duszy“ użył do malowania dekoracji. Już niema czarodziejskich pałaców, ani chińskich altanek, ani krzewów orjentu w ogrodach. Kto chce, niechaj jedzie oglądać je w naturze. U wejścia do sal balowych ustawiono cyprysy i brzozy płaczące, miejsce stolika do kart zajął fortepjan. Teatr amatorski, w którym szminkowały się damy wytworne, zastąpiono estradą, w rogu salonu wśród oleandrów stanęła kozetka ustronna czyli „szeptaczka“. Panie tańczą polkę i kontredansa, rączkę, jak zawsze pieszczoną zdobią długie paznokietki, na które jakby sam Gavarni rzucił garść plamek białoróżowych. A w rączce sztambuch zamiast wachlarza. Panie tańczą, ale nie długo: do listopada 1830. Potem tańczyć nie wolno „na ojczyzny grobie“.

Romantyczka niech będzie pod szyjkę zapięta wysoko, wysmukła jak kwiat i biała. Trzeba, aby wydała się chudą, bladą, melancholijną. Modnisię żywią się listkami róży i jedzą kwaśne cytryny, aby schudnąć. Ideałem biustu jest biust osy. Noszą toki z piórami, kreski i *canezons* przeróżne. Klejnoty? *Mauvais genre!* We Francji nawet, cóż dopiero w Polsce, gdzie perły i biżuterje oddano powstańcom. Biała jako kwiat lilij... Białe *à la vierge* przeważa do r. 1820 we wszystkim. Zasadą każdej toalety jest białość, nakrapiana barwnymi kwiatkami (tak każe Biedermeier), przytem w obfitości muszlin, gaza, organtyna. Białe są wstążki, pióropusze i girlandy lilij we fryzurze.

Włosy nadto krótko *à la Titus* obcięte, częściej loki przy twarzy, potem „nioby” i „szwelisy”.

Z trzech rzeczy ulubionych poznasz zawsze romantyczkę. Uwolniona z krótkiego stanu *empire'u*, kocha się w ogromnych bufiastych rękawach *à gigol* i nosi jako pamiątkę z kongresu wiedeńskiego — szal kaszmirowy. Okryciem pani romantycznej jest żakiet o trzech pelerynkach, nioby papieska tjara. W kapeluszach tysiąc różności. Najpierw wysokie, jak czeka wielkiej armji, potem przeładowane wstążkami, lub ze słomki ryżowej, dalej przytulne, miłutkie budki związane wstążkami pod szyjką. Trzewiki jasne, „grodnapłowe”. Jest jeszcze szczegół pewien romantycznego ubioru, którego nie znajdziecie w żurnalach. Pani trzyma w ręczce kwiatek niebieski: *Die blaue Blume* Henryka Osterdingen, symbol nieuchwytności życia i szczęścia...

Aczkolwiek w gwiazdy patrzy pan romantyk, widzi przecież i cenić umie wdzięki toalety. Przykładem, jak już nieraz, niech będzie Krasinśki, który wziął chyba rekord, porównawszy toaletę Delliny z morzem. („I gdziekolwiek statek dotknie się morza, tam przemienia się ono w suknię twoją. Z wierzchu jakby siatka z piany się toczy, pod nią przeczysty błękit, gaza srebrna na niebieskim atłasie!...”). Mężczyźni romantyzmu dochowują wiary modzie kongresu wiedeńskiego. Frak, obciste pantalone, koiorowa kamizelka. Nowością od r. 1829 są krawaty. Na kolor kamizelek należy baczną mieć uwagę. Bo oto, co mówi Brodziński: „Pogardzać stosunkami towarzystwa nosić żółte kamizelki, a nawet życie jak Werter zakończyć, było z początku modą i wyższych uczuć oznaką”.

I tylko szkoda, że owa przebudna epoka nie znalazła

w Polsce swego malarza, tak jak miała poetów, muzyków, estetów. Bo gdzież nasz Lawrence i Gérard, gdzie Winterhalter i cudowny Ingres, gdzie korni służebnicy mody kobiecej Deveria i Gavarni? Biedaczkowie jacyś próbują malować w kraju i na emigracji, lecz próżno, i próżno też Mickiewicz mianuje Stattlera mistrzem malarzy romantycznych. Jeden tylko młodzieniec o długich jasno-blond włosach zaklął na obrazach uśmiech i krasę romantycznej kobiety, jeden w polskim pędzlu wyraził jej rysy — Alojzy Reichan, lwowianin.

Lecz ani w części życie polskiego romantyzmu, *l'air romantique* nie dorównuje bujnościom Zachodu. Ani tak jaskrawe, ani rozpasane, ani pulsujące radością życia. Tylko z opowieści wiedziano o szumiących ekstrawagancjach młodej Francji, o wolnej miłości Wejmaru, o egzotyzmie, antonizmie i wszystkich innych upojnych haszyszach epoki. Nie mogła myśleć o tem Polska, skoro jej kazano iść na Golgotę.

A jeśli umiał romantyzm koić bole i pozwalał choć na chwilę o nich zapomnieć, to najpewniej za sprawą — muzyki. Ona jest najwyższą z sztuk nie tylko dlatego, że ją za taką uznał Hegel, ale dlatego, że dzięki niej romantyzm stał się symfonią patetyczną i zdołał długo trzymać dusze na uwięzi. Muzyka nowa porывała dusze nawet więcej od poezji nowej. Gdy na salonach paryskich grał Liszt, nie chciano potem słuchać deklamującego Gautiera. Najmilszym meblem epoki jest świeżo skonstruowany fortepjan, a wychowawczynią dusz — opera. Oto „Don Juan“ Mozarta, oto „Wolny Strzelec“ Webera, oto arje, które dzwonią w uszach romantyków przez życie całe. To są pedagogowie romantyków, którzy podsycają uczucio-

wość Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Bo arcy-mistrz Chopin dopiero w przyszłym pokoleniu zacznie brać masę.

Prócz fortepjanu posiada pani romantyczna sztambuch i *écritoire*. Sztambuch mieć musi, bo gdzież indziej „wklei albo wepnie szpilką“ erotyki dla niej przez poetów pisane? Sztambuchy są kolebką pereł romantycznej poezji. Pudełeczka z wyłożonem po wierzchu imieniem właścicielki. Wewnątrz wiele kartek różnobarwnych, na kartkach zaś wiersze, które umiemy wszyscy na pamięć, choć tylko dla niej jednej pisał pan poeta. W *écritoir'ze* chowa się listy od wieszczów. Jeden schowek na to nie starczy, bo ileż tych listów... Ach! dwieście Słowackiego do matki, sześćset Krasińskiego do Delliny, cztery tomy filaretów, trzy Mickiewicza, cztery Zaleskiego. Zaś były „ławą, na marmurze pisane“, listy owe

...które na Podolu
Panny czytały wyczone mdlejąc
I krzyżąc: ach ten list na Kapitolu
Był napisany ..

Beau vase athénien, plein des fleurs de Calvaire nazywano uczucie, jakie dla kobiety wypieścił w swem sercu romantyk. Polskie uczucie było takie same, lecz mimo wszystką pozę i teatralność, miarę umiało zachować. Nie wynosiło erotyzmu do wyżyn dogmatu życiowego, a także nie chciało wierzyć Schopenhauerowi, gdy twierdził: „kochankowie to zdrajcy, pracujący dla przedłużenia nędzy i cierpień życia, gdyż bez nich ludzkość skończyłaby się prędko!“ To pewne, że często szli

..z urojonem cierpieniem, wymarzoną stratą
Z żalem czemu ta ziemia nie jest popielatą
Lecz zieloną. lub czemu niebo nie jest złote?
Pielgrzymi na zrobioną z papieru Golgotę!..

Bywała nieraz z papieru. Lecz gdy Gustaw zmienił się w Konrada, wtedy i papierowa Golgota stężała w gorzkie skalisko Kalwarji. Miłość swą rzucił teraz romantyk pod skrwawione stopy ojczyzny: Miłość tak bardzo wynieloną, jak przedtem była dla kobiety. I tak kochanie kobiety z kochaniem Polski splotły się razem w najwonniesze kwiecie romantycznego życia i pieśni.



KOCHANKI PIERWSZYCH DNI

*„Kochanko pierwszych dni
znow jestem twoim...”*

Stowacki

Chowały się i rosły, rówieśne z wiekiem dziewiętnastym. Jenó, że wiek dojrzawał prędzej, niż one. Gdy kongres wiedeński tańczył, im jeszcze nie było wolno bywać na balach, bo miały dopiero wiosen piętnaście.

Od kolebki żyły pragnieniem rzeczy nadzwyczajnych, „jakich na podłonecznym nie bywało świecie”. Kochanki kwiatów i gwiazd różanych. Ich mamusie i babcie władały pałacami, w których było tyle okien, ile dni w roku, baszt tyle, ile kwartałów i tyle sal balowych, ile miesięcy. One mieszkają jeszcze wspanialej: w zamkach z mgiełek, tęcz i kryształów rosy. I z taką samą namiętnością uciekać chcą od rzeczywistości, z jaką cieszyła się nią kobieta wieku XVIII. „Kaźda z nich miała cudowną postawę. W noszeniu głowy cudną lekkość: włosy *à l'antique*, barwy troszeczką bladawe, oczy skier pełne, albo pełne rosy, smutne i twarzy kochanka ciekawe!”

Powiewne, smukłe, strzeliste i wysoko pod szyjkę zapięte. Ubrane lekko i tanio, w sukniach bez fałdów, w muślinach najwyżej lub batystach. Czasem w krótko obciętych włoskach *à la Titus*, częściej w pokornych „szwielisach” lub też w warkoczu, główkę dokoła oplatającym. Na rączkach łokcie buliaste, ogromne, na

biodrach paseczek skórzany z klamrą, stan krótki, wstydl-
wie kryjący :

Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
Że za trzewik dziewczynie swawolnej
Często służy kwiat pewny, zwany trepkim królowny
Kwiat nie większy od liliji polnej.

Już im przy zamążpójściu nie nakrywają głów, jak kuropatwom. Idą lub też iść pragną za głosem serca, a jeśli pójść nie mogą, to cierpią przez życie całe, przyspie-
wując tęsknie: „Serce nie sługa, nie zna, co to pany!“
Słyszały coś trochę o Korsarzu i Paryzynie, umieją na pa-
mięć Wertera i Korynnę — pierwsze wychowanki XIX stu-
lecia i celujące uczennice z pensji p. Romantyczności, ru-
sałki, świtezianki i anielice, słowem dziewczątka roman-
tyczne, z których kiedyś wyrosną romantyczne panie, te
same, co „dałyby nieraz dziesięć lat życia za jedną scenę
głośną i tragiczną“.

Zresztą ani im się równać z paniami rokoka, które
tak pilnie meblowały mądrościami główkę. One tylko „mają
serce i patrzą w serce“, a w sercu pełne kwiatów, tę-
sknot i burz. Nieuczzone wcale, lub bardzo skromniutko,
stały się przecież — nauczycielkami, od których wiek cały
uczy się sztuki wiernego poza grób kochania. I każda
z nich, choć brak jej pałaców sterczących dumnie, jest
najdumniejszą królową, władającą pierwszym uczuciem
poety

Laury, Fornariny i Scacchiety, z których serce bicia
rozblęsnął kwiat romantycznej poezji. Choć czasem trudno
doćiec, dlaczego właśnie z tych serc bicia? Serce, które
znały tylko „swój kurnik, swoją grzędę i swoją parafję“?

Bohaterki i współtwórcynie romantycznej legendy, opromienione blaskiem pieśni wieczystych, przańniczki, które na krosnach własnego życia uczyły się wszystkich ściegów romantycznego haftu. O tak! Lecz niema wśród nich chyba ani jednej Betyny, co to mądrością dziewczęcych listów olśniewała starego Goethego, i niema także hr. Guiciolli, która rozkazała Byronowi, aby tak pisał „Don Juana”, a nie inaczej!...

A czy bardzo kochały? Jak czasem, jak czasem... Częściej wietrzną, jak wieczną była ich miłość i z chybkością jaskółki przelatywała drogę od kaskady śmiechu do kaskady łez. Czasem nie przeczuwają wogóle o co chodzi i dopiero starszuskami dowiedzą się nie bez żalu, że młodzieniec ów genjuszem potem został okrzyknięty i byłby je z sobą wziął razem w nieśmiertelność. Czasem są mocno poetyczne. Z Byronem w rękę siedzą na wzgórkach pożegnania, kochają bardzo i rozumieją wszystkie drgnięcia poetyckiej duszy. Lecz nie o to przecież chodzi. I wcale nie trzeba, aby wszystkie były poetyczne. Rzecz w tem, że były kochane pierwszą miłością romantyka. I słuchały takich oświadczeń, jakich nikt przed tem i potem nie słyszał. A jeśli wołają wraz z hr. Idalją:

Niech mi świat da poezję
Dać mu jej nie mogę...

to ich żądanie spełnione IV częścią „Dziadów”. Godziną myśli, mazurkiem Szopena.

A oto patrzą ku nam. Nie z portretów Baciarellego i memoirów skandalicznych, lecz z pomiędzy kart szarych, romantycznych tomików, z wnętrza sztambuchu prababki, lub z obrazka, który do śmierci nosić będzie pan poeta na piersiach.

Najpierw Maryla, żaloszna i boleściwa, bo ją zletro-
nizowano. Była dotąd udzielną i najpierwszą w księstwie
romantycznej poezji, umiała doskonale utrzymać w stylu
à la mode swe miłosne przeżycia, które zaczęły się od
flirtu z wieszczem, a skończyły się na marjażu z grafem,
okupione listem francuskim z prośbą o przebaczenie. Lecz
teraz wzięto jej glorię z wysokiego czoła. I kto? Z za węg-
ła szarego domku w Nowogródku, z głębin litewskiego
partykularza wyjrzało dziewczę proste, rumiane i pospolite:
Joasia, w której się najpierw kochał filaret wileński.
Rumiane dziewczę ma pretensje zgoła ogromne, bo aż do
całej ballady „To lubię“, gdzie przedtem powiedziane było:

Może też pamięć o minionej wiosnie
Zimowy wierszyk ok rasi
Chcę coś okropnie coś pisać miłośnic
O strachach i o Joasi.

Za to w Zaosiu o północnym czasie
Kiedy się wszyscy spać kładą
Ja na dobranoc, żegnając Joasię
Taką straszylem balladą.

Ta pierwsza z ballad i pierwsze uczucie Mickiewicza
należy do Joasi. Lecz potem czas uczucia i rymy odmienił.
Maryla zabrała Joasi „To lubię“ na zawsze:

Może też pamięć o minionej wiosnie
Zimowy wierszyk umili
Chcę coś okropnie coś pisać miłośnic
O strachach i o Maryli.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę
Kiedy się wszyscy spać kładą
Ja na dobranoc żegnając Marylę
Taką żegnałem balladą.

„Nie miała następczyni ani rywalki Ludka Śniadecka z jarzębiną we włosach, z którą 16-letni Julek Słowacki samowtór konno „bory przelatywał ciemne“, kołysany jak do snu tajemną rozmową. Już wtedy „kładała weń myśli i marzeń tysiące“, a zawsze i po latach „kochanka dziecka“ będzie jedyną panią jego snów, Atessą i Umilowaną w Królu Duchu. I Laurą i Różą Wenedą i Anielą. Wszystkie swe kobiety zaprzęże Słowacki do jej rydwanu, chociaż go wcale nie kochała jeno Waldemara Korsakowa, i chociaż nie jemu, lecz Michałowi Czajkowskiemu stała się „jedyną radą i pociechą w dziwnem życiu“.

Gdy w ciemnych borach Wołynia dusza Julka „czerniła się na wieki miłością daremną“ — w tym samym czasie na salonach opinogórskiego pałacu, na tle ponsonowych boazeryj ścian, wpośród obrazów Murilla i rzadob Cannovy ofiarowywał 17-letni Zygmunt Krasinski „połowę duszy i całe zdrowie młodości“ — swojej cioci, która była odeń starszą o lat kilka, śpiewała cudnie po włosku i poszła za męża za p. Załuskiego. I sprawdził się dosłownie cytat z angielskiego poety:

„Kochał ją dzieckiem, kochał ją młodzieńcem, lecz ona go nie kochała“.

W tym czasie nie był także szczęśliwy ów młody muzyk o długich włosach; oddałby wszystek pokłask dam, szalejących na koncertach, za jeden uśmiech i jedną przysięgę śpiewaczki, córki burgrabiego, — lecz cóż? nie miał śmiałości zbliżyć się do panny na lekcjach w konserwatorium. Ale p. Konstancja Gładkowska nie mogła się zdecydować na wzajemność i poszła spokojnie za męża, a Fryderyk Chopin szalał z bólu i pisał do przyjaciela: „Już

jestem kobiet nieciekawym, bo raz tylko w życiu można kochać prawdziwie!"

Raz tylko w życiu! Śmiała się w głos z tej maksymy p. Konstancja, a przekonania jej dzieliła w tym samym czasie p. Róża Żukowska z Nowego Świata, która znowu pokpiwała sobie z J. B. Zaleskiego w zielonej bajówce. Jeszcze nie był wieszczem, ale już oddawna obiecywał rzucić pod jej stópki wszystką namiętność stepowego wichru. Przeciwnie Melanja Michalska. Potoki łez wylewa i wytrwale od lat dziesięciu czeka, że on wróci. Chociaż senatorski „pa“ i wyniosła „ma“ nigdy w życiu na marjaż nie zezwolią, ona zawsze wierną będzie swemu poecie, który dla niej tylko nie dla całej Polski śpiewał: „Gdyby orłem być!“... Zaś orzeł, Maurycy Gośławski, buja gdzieś po szerokim świecie, dawnych przysięg i łez i wierszy niepamiętny. Stęskniona panna, przywołuje młodzieńca jego własnym rytmem:

Orle, orle mój
Daj mi polot swój
Będę latać ponad skały
Gdzie przebywa wieszcz niestały
Ukochany mój!

Chociaż nie widziano dotąd w Polsce Laury, któraby, tak jak p. Melanja, naśladowała sonety swego Petrarke — losy nie pozwoliły Gośławskiemu wrócić do jej serca.

Kochać można raz tylko w życiu! I trzeba szczęście tej miłości wielkiem cierpieniem okupić, albowiem serce kobiety, — jak to już wkrótce stwierdzi pewna romantyczna pani we Francji — jest niezgłębioną otchłanią cierpień i boleści.



ANTONI LAUB, pinx.

PODLOTEK

O tem wie nie tylko Tadeuszowa Zosia, nietylko Sally „prosta i wierna“, nie sama Laura z „Zawiszy“ i Gnusia ze „Złotej czaszki“. Oplakały tę prawdę także owe smutne panie, które pierwszą pieśnią zbudzonego serca daremnie darzyć chciały wieszczów. Ewunia Ankwiczówna do końca życia kochała Adama Mickiewicza, pani Joanna dla Zygmunta „wszystko rzuciła na ziemi“ a także „drobne odjechała dzieci“. A córka drukarza, u którego drukowały się poezje Juliusza Słowackiego, szepcze mu głosem błagalnym: *Venez vendredi soir*. I miłuje go nad życie Eglantyna Pattey, której przez grzeczność powiedział, że ją kocha. Henryetta Willan kocha Krasieńskiego, a poetyczna pani Karolina Jänisch ślubuje w głębokiej Rosji sentyment dożgonny Mickiewiczowi. Wiera Chlustin klęka przed prorokiem Mickiewiczem. I wiele innych Angielek, Rosjanek, Włosek i Francuzek otarowuje pierwszą miłość wygnańcom z Polski, którzy mają poszum skrzydeł husarskich w słowach, wyobraźnię gorejącą wszystkimi barwami wschodu, każdy zda się pannom zakochanym *come m lub djukiem*, i przybył z kraju bardzo nieszczęśliwego. A wpośród żon poetów, niechaj pokłon dany będzie najcierpliwszej i wyrozumiałej małżonce twórcy „Przedświtu“.

*

Czyż tylko poetom wolno kochać i — nie być kochanym? Czy tylko Laurom i Fornarinom może pękać serce z bólu? Panna Bogusława Dąbrowska wcale nie mniej od tych pań kocha nad życie oficera Królestwa kongresowego, a Zofja Matuszewiczówna, choć wcale z By-

rona i Wertera wzoru nie brała, zginie młodo strawiona nieszczęśliwą miłością ku ks. Adamowi Czartoryskiemu.

Aniołem z niebios „tylko na chwilę ziemi wypożyczonym“ wydała się ludziom współczesnym księżniczka Eliza Radziwiłłówna, której serce umiało bić tylko dla Wilhelma I, a gdy bić nie mogło, przestało.

Czy pamiętacie Djanę z „Fantazego“, która miłowała pana Jana, wziętego w Sybir z kosą? W Sybir pojedą, szlakami Elce, wierne swych mężów towarzyszki, panie Felińska i Sobańska. W tajgi sybirskie podążyłaby też p. Emilja, którą szukając schronienia w poleskim dworku poznał i dla swych celów rozpałił najczystszy z emisariuszów, męczennik Szymon Konarski. Oddała serce jasnowłosemu bojownikowi wolności i poszła za nim w turemę wileńską, wypuszczona na wolność mocą ostatniego przedśmiertnego życzenia skazańca i przytomna strasznej egzekucji narzeczonego. W obliczu Sprawy i szafotu mogły pójść snadnie do kąta wszystkie amory poetów.

Bo też poeci nie mieli szczęścia. Bogdanki wieszczów są, jakże często, nierównie mniej poetyczne, od zwyczajnych śmiertelnic, których szczęście i ból nie znalazło piewców nieśmiertelnych. Lecz to im nie wadziło. Ubierali panniekę we wszystkie kostjomy byrońskich „t a l e s' ó w“, we wszystkie lazury i kwiały swej wyobraźni, nie dbając jakże często o rzecz najważniejszą: aby kostjum był twardzowy. Niby królewicz z obrazu Burne-Jonesa szukali „kobiety wiecznej“ i pewni byli, że ją znaleźli. Oczyma duszy

widzieli wszystko, a więc i to czego nie było. Trzeba nam, patrząc na panny wybrane, wierzyć wraz z poetą:

Że z tęczy wyszła i potoku piany
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca.

Więc niechże sobie Ludka Śniadecka, miast pozostać jedną z tysiąca kobiet nerwowych, niespokojnych i egzaltowanych, wędruje dalej po zawrotnych szczytach mistycznej myśli z Królem Duchem, niech, urodzona z tży Chrystusowej, pociesza wygnańców na Sybirze, niech pani Maryla wiedzie dalej spór z Joasią, a ciocia Załuska niech będzie (ale tylko do r. 1835!) najwyższym ideałem kobiety na ziemi. A Róża Żukowska — jest rusalką. Nie wiercie pozorom, które mówią, że to panienka z Warszawy, która, poza Nowym Światem, świata nie widziała. To „czysta czarownica“ ze stępu zrodzona i gdy siedm gwiazd na niebie błysnie i trzy księżycy odbiją się w Dnieprze, mocna jest uczynić wszystko i zmienić poetę w ptaszka, rybkę, lub co zechce, lub zakreśliwszy krąg małą nóżką znie-ruchomić człowieka na wieki.

A potem przychodziło życie i szeptała poecie złośliwie do ucha ohydny potwarz. Że rusalka jest przyziemną syreną, że Atessa kocha rosyjskiego generała, że dziewczica z ballad jest szczęśliwą żoną hrabiego i najlepszą na Litwie gospodynią!... Romantyk wołał wraz ze Słowackim, że bardzo trudno kobiece serce na czas przeanielić, a choć królowę snów jego życie korony pozbawiło, stał przecież niezruszony i blasków pełen tron, siłą jego natchnień wzniesiony i modlił się tłum wyznawców w kościele, zbudowanym przez romantyka na cześć pierwszej miłości, tej której

...wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu
A ideałem jest latanie razem
W krainie, w której niema końca, kresu!...

A jeśli mnie nie kochasz, to pocóż istnieje świat i po cóż istnieję ja? Jeżeli mnie nie kochasz, to przestaję wierzyć w życie pozagrobowe, bo z kim bym się tam spotkał po śmierci? W takiej chwili nieodzownym na scenie romantycznej rekwizytem jest „zimne żelazo“, wtedy jedyną ucieczką jest imperatyw Wertera: samobójstwo. Każdy z trzech wieszczów przykładał nieraz pistolet do skroni. Krasnkiemu wytrąciła go z rąk dobra i współczująca ciocia Załuska, Słowackiego uratowała zrównoważona Ludka, Mickiewicza — przyjaciele. Zaleski chciał się także strzelać w Warszawie, „gdyby nie wiara i mądrość“, które mu szepnęły: „rzuć niewierną“.

A one? One również gotowe na śmierć, gdy tylko się okazało, że miłość jest nieszczęśliwa.

Tak się przypadkiem zeszło, że Fornariny wieszczów są trzeźwe i uśmiechnięte, a pani Maryla doradza Zanowi obłaskawić Wertera w tłumaczeniu i wybić z głowy złe myśli.

Lecz każda inna niemal nosi truciznę w główce od szpilki, a ilekroć pójdzie na spacer smętny w ruiny zamku, to niewiadomo czy wróci, bo u stóp zamku jest przepaść.

Naprawdę zastrzelił się Ludwik Spitznagel, nie tylko dlatego; podobny do Wertera, że chciał zostać dyplomatą. Oczywiście miał jako polne dzwonki, łzawym kryształem po-

kryte, a nad zapachy kwiatów prznosił woń „wierzbanami oplakanej wody“. Trawił się w sobie ogromem myśli bujnych i nieuchwytnych. Jak przepaść wabi człowieka swą głębią, tak jego ciągnęły ku sobie zaświaty. „Pożerał księgi, mówił jak różne narody“, ale od kolebki ulatywała nad nim powabna i słodka chęć samobójczej śmierci. Wrócił właśnie jesienią w r. 1828 z akademji petersburskiej, zakochał się zapamiętale w 12-letniej dziewczynce, a napotkawszy, jak mu się zdawało, opór, wybiegł z pokoju i zastrzelił się. Żyje jednak do dziś w „Godzinie myśli“ Słowackiego.

Polski Werter nie pił piwa i nie nosił „sznupstuchów“, lecz czasem pojawiał się w sercach, które były tak spokojnie smutne, jako zielony jar Podola. Z podolskich jarów wywodzi się prosta i cicha historia Tymona i Laury. Po Tymonie Zaborowskim oczekiwano, że będzie największym obok Mickiewicza poetą. Zamierzał wiele, napisał pulsujący życiem „klub piśmienniczy“ i doskonale w pejzażu „dumy podolskie“ a treścią jego duszy była miłość do p. Laury. Pani Laura w swoim małym podolskim sercu nosiła zwyczajną, ale dla niej ogromną tragedję. Wydano ją za mąż za człowieka starego, szarego i pospolitego. Chciała się rozwieść i biec na kraj świata za Tymonem. Ale przeszkody były zbyt wielkie. Jemu rodzice grozili kłatwą i wyziedzieniem, ona poczuła się matką dziecka swego męża. Przechorowali oboje tę miłość nieszczęśliwą. Gdy wyzdrowiał, Laura postanowiła go ożenić ze swą przyjaciółką. Oświadczył się, został przyjęty, a nazajutrz rzucił się w nurty Zbrucza. Obie przyjaciółki żyły do końca życia wspomnieniem poety, któremu przepowiadano, że zaćmi Mickiewicza.

Ale jest więcej w Polsce Werterów ulaskawionych. A wśród nich najbardziej gołębi to Janusz z „Szajne-Katarynką”. I on także kochał tylko raz w życiu w r. 1823 Eugenję Lisowską, pannę ze dwora, córkę łowczego koronnego, od którego matka poety małą dzierżawę trzymała. I tak jak wszyscy inni, znalazł „od poetów urojone światy, lecz oraz grób spokojności”. I panna była taka, jak romantyczne panny, zaciękawiona jego egzaltacją, uradowana ślicznymi wierszykami. „Całymi dniami błąkał się po dzikich borach — sam tak wyznaje w pamiętniku — aby uzbroić serce i przekonać się, że jest dość mocnym, aby nie kochać, lecz gdy słońce zachodziło, wracał pod okno panienki i oddawał przepióreczkę, którą w siatkę złapał. Ona dziękując, głaskała przepióreczkę, a on był najszcześliwszym i nie chciał wiedzieć o bytności rozumu”.

Potem strzelał się z jakimś oficerem, który w kosciółce śmie zaglądać pannie pod kapelusz, a wreszcie pan łowczy napędził mamę z dzierżawy, a poetę z serca panienki. Wincenty Pol rozpaczał prozą i wierszem:

„Eugenjo! wzięłaś mi spokojność i szczęście! Eugenjo! Jeśli rozpacz uzbroi samobójcze dłonie, jeśli ma duża stanie się łupem pickła — ty Bogu odpowiesz!”

Rymy brzmiały nie mniej straszliwie:

I tam Wertera objąłem z zapalem
Ach! Tam mnie Gete pierwszy raz odurzył
Tam, gdy swe uczucia w zwierciadle ujrzałem
Ledwie żem owej sceny nie powtórzył.

Są inne pary kochanków idealnych, połączonych miłością wszechogromną, łajną i nieszczęśliwą miłością, która staje się treścią ich życia, impulsem dobrych czynów. Oto

Narcyza Żmichowska, która całą mocą swej entuzjastycznej duszy kocha złotowłosego emisariusza i poetę Edwarda Dembowskiego, oto para cierpiących, kochanków wielkopolskich: Emilja Szczaniecka, druhna Klaudyny w pracy narodowej r. 31, panna z rodu, z trybunem ludu, działaczem zasłużonym, Karolem Marcinkowskim.

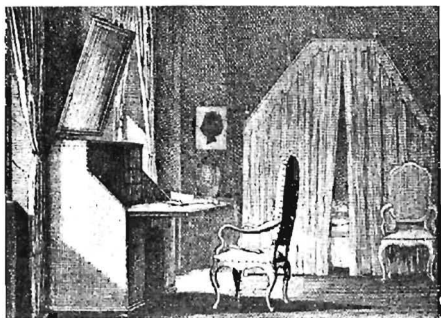
Jest jeden kwiat, który zakwita rzadko w wirydarzach pierwszej miłości -- mirt. I jest miejsce, przed którym ściera się bez śladu „lakier byroński szatana” — ołtarz. Strach pomyśleć, co by się stało z poezją romantyczną, gdyby wszyscy, grażący się w czarnej rozpacz, kochankowie znaleźli nagle utęsknioną wzajemność i poszli z dziewczycami romantycznymi przed ołtarze!

Na szczęście nie wszyscy byli zaprzanićcami, tak jak Aleksander Fredro, który raz w życiu zakochał się, co prawda w cudzej żonie, ale rozwiódłszy ją z mężem, ożenił się i był jej wiernym przez całe życie.

Raz w życiu i w żonie swej kochał się tylko Tomasz Zan, przed którym ukłękła, jak przed prorokiem, raz w życiu kochał się mistyk Andrzej Towiański, zły wybór wszakże uczyniwszy, bo jego żona do „służby bożej” przypuszczona, oszukiwała sprytnie Adama Mickiewicza. Z podróży przywiózł sobie żonę, romantyczny zbieracz pieśni ludowych Zorjan Dołęga Chodakowski, w Warszawie ożenił się z pierwszym ideałem młodości Józef Korzeniowski. I wszyscy pozostali wiernymi Filemonami do końca. Nie mógł tego o sobie powiedzieć J. I. Kraszewski, który szukał starych rękopisów w Horodynicach i znalazł pierwszą

miłość i żonę: Zofję z Woroniczów. Wśród książek ją znalazł, a później dla książek porzucił. Prześlicznym, choć także wbrew wszelkim regułom czasu, objawem miłości romantycznej jest hetman malarzy romantycznych Wojciech Korneli Stattler. Przyjechawszy na studia do wiecznego miasta, zamieszkał u wdowy po rzeźbiarzu, Klementynie Zerboni, w której starszej córce kochał się Torwaldsen. Polakowi zaś wpadła w oko najmłodsza, dziesięcioletnia dopiero Klementynka. I odtąd młodzian jeżdżąc po świecie przez dziesięć lat pamiętał o tem, że „Klementynki oczki były śliczne i łzą pełne, a tak gorące, tak rozrzewniające!” Zaczem w r. 1830 dobiwszy się stanowiska w Krakowie, wrócił do Rzymu, wziął ślub z Klementynką. Mickiewicz był im drużbą, a Słowacki posyłał później cukierki pierworodnemu synkowi. *Voilà!*

gorzej przydarzyło się Ferdynandowi Bronisławowi Trentowskiemu, który chadzał zwykle w ogromnym makintoszu, po kostki spadającym, ze starym, ciężkim parasolem w rękę i wyglądał wedle słów Krasieńskiego „raczej na kupca skórek baranich, niż na filozofa”. Kiedy po r. 1831 przybył na uniwersytet we Fryburgu, stanął u jakiejś praczki, która miała dwie córki. Z początku klepał biedę jako tako, ale potem wyczerpały się środki do życia. Przytem, zagadawszy się raz, stojąc tyłem do kominka, spalił sobie jedyny surdut, jaki posiadał. Wtedy rzucił się na kolana i wyciągnąwszy pięść do góry, zawołał: „Boże! Dojmujesz mię coraz większemi nieszczęściami, ale nie złamiesz mego ducha!” Poczem, wróciwszy do córek gospodyni powiada: „Cóż robić! Muszę się z jedną z was ożenić, ale nie wiem z którą, ciągnijcie na supelki”. I tak się ożenił z córką praczki, wyciągniętą z supelka, a poeci



DANIEL CHODOWIECKI del.

MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ WERTERA

plakali długo nad smętną prozaicznością autora „Chowanny“.

Macaulay mawiał, że chciałby nieraz pomyśleć kiedy o kobiecie, ale niema na to czasu. Tego samego doświadczał marznący wśród książek Joachim Lelewel, historyk w bluzie robotniczej, jadający ryby nieświeże; Michałowi Wiszniewskiemu „przeszły najszałeńsze w życiu ludzkim lata“ w bibliotece Czackiego. A jednakże o złota młodości! Te widma oprawne bogato, ze złożonym herbem Ciołka, wyglądające z półek i szaf rzeźbionych wydawały mu się jakby wschodnie piękności, wychylające się z pod żaluzji! Upamiętniony w „Dziadach“ malarz, mistyk i wizjoner Józef Oleszkiewicz ożenił się, ale tylko dla zasady: aby niewolnicę na niewiastę wyzwolić. Potem żonę odjechał, bo do opieki nad nią tuzinem jego kotów, wystarczyła w Petersburgu ukochana kucharka Fiołka.

Szalejąca w sercach burza romantyczna zostawiała nieraz pustkę w sercach i zapędzała ludzi romantyzmu na odludzie samotności. Samotnikiem i starym kawalerem został do śmierci Seweryn Goszczyński, samotnie szedł przez życie generał Chłopicki, samotnie przewalczył swój żywot, do burzy podobny Maurycy Mochnacki, który zawsze najprzykładniejsze prowadził życie. „Polska niepodległa była jedynym romansem jego młodości, a myśl, że zapędzi Moskwę w stepy azjatyckie — najwyższą poezją życia!“

Ukochani przez bogów umierają młodo, ale ukochane przez poetów, żyją zazwyczaj długo. Mają wiele synów,

córek i wnuków. Śpiewaczka operowa p. Konstancja, którą kochał Chopin przeżyła go o lat 40, grała swym wnukom jego mazurki i wcale nie żałowała, że nie poszła za mąż za artystę. Ciocia Żałuska, którą zawsze pragnął Krasieński ujęć na tamtym świecie, ażeby z dusz ich obojga utworzyć jednego anioła — w 60 lat potem dziwiła się dlaczego „mężczyźni nie mogą nigdy tego zrozumieć, że my się w nich nie kochamy i nie chcą nam tego darować“. Maryla umarła w r. 1863, Karolina Jänisch w 81 wiosnie życia, tłumaczyła na niemieckie „Trzech budrysów“ Mickiewicza! Ewunia Ankwiczówna i pani Bobrowa, choć żyły długo, kochały swoich poetów do końca. A oni? Nosili wszyscy w sercach wizerunki swych pierwszych miłości, takie żywe, wiosenne i świeże, jak nosił Konstany Gaszyński. Zgnębiony życiem wygnaniec, przytulił się schorzał gdzieś na francuskiej prowincji i leżąc chory stos pacierzowy przypiekany grzbietu rozpalonymi pręcikami żelaza, wspominał swą chłopięcą miłość we wsi nad Pilicą i pisał najślo- neczniesze dzieło romantyzmu: Sielankę młodości: „Panna była prześliczna. Z błękitnych jej oczek zaledwie że piętnasty uśmiechał się rozcdek!“



WŚRÓD TULIPANÓW I NARCYZÓW

*„Wibija w mitej kowieńskiej dolinie
Wśród tulipanów i narcyzów płynić”...*
Konrad Wallenrod. II.

A kiedy Maryla, szczęście swoje pogrzebawszy, wyszła za mąż za grafa Puttkamera, który miał tytuły, włości i fabryki — pan Adam pojechał do Kowna, gdzie mu łby żmudzkie obuczać kazano. Tęsknili po nim bardzo druhowie, osieroceni w wydziale filomatów, Jarosze i Czeczoty najmilsze, choć nikt jeszcze nie wiedział, nawet on sam, że na tę belferską niedolę jedzie Gustaw z IV części „Dziadów“ i Prometeusz, który kiedyś z Panem Bogiem bój rozpocznie. Młodzieniec był bardzo nieszczęśliwy, ale nie miał czasu o tem myśleć. O czwartej z rana wstawał w Kownie i aż po zmierzchy pracował, a to seksterna na lekcje przygotowując, a to Woltera tłumacząc, nad wileńską rodziną promienistych myśląc i nad spraw wielkich ogromem, które odbiegł dla belferki. O stylu, o figurach, o wymowie kazalnej i literaturze greckiej „dawał“ dwa razy dziennie w szkole, która, „zda się, że umiera, albo zasypia“, miał wścibskiego prefekta nad sobą, spliny nieznośne w duszy, i jeszcze dysertację nauczycielską na głowie i chmurę innych robót, które lampą pachną. „Jak tu bywam zły, nudny, jednym słowem nieszczęśliwy — tego wy nigdy, w Wilnie siedząc, nie pojmiecie. Przychodzę ze szkoły prawie zawsze zgryziony albo niesfornością, albo

co częściej, tępością uczniów. Rzucam się na łóżko i leżę z parę godzin, nic nie myśląc, tylko złyjąc i kwasząc się“.

A na te kwasy tylko jedno było lekarstwo i jedna rozrywka: kiks. W mieście powiatowem u kogóż grać kiksa wieczorami, jeśli nie u doktora powiatowego? Co wieczór chodził Adam Mickiewicz na kiksa do doktora Kowalskiego. I zaraz wszystkie powiatowe przyjemności, po wiek wieków te same, zmówiły się, aby skwaszonemu Gustawowi dobrą myśl przywrócić. Albowiem nie wolno złym myślom mieszkać w żadnym mieście powiatowem. U państwa Kowalskich wszyscy są dobrej myśli. Jest babunia staruszka gderliwa, zawzięcie rachująca boby przy kiksie wygrane, jest pan doktor, eskulap najpoczeiwszy, który właśnie wrócił z objazdu czwórką ukochanych koni karych w kabrjolecie i opowiada z zapałem o „siarczanem nakadzaniu“. I wiatr miotający zwiędłym liściem za oknami i knot u świecy nieobcięty i dwie córeczki maluchne i buldog Bauzer, przyjaciel dziewczynek, warczący na nowych gości, a więc i na Adama Mickiewicza. Co wieczora czekają wszyscy z kikssem na młodzieńca, który jest miły, smutny i inteligentny. Czekają babunia zrzedząca i doktor, co wrócił z objazdu i dziewczynki, z przyjacielem buldogiem. Nikt więcej? Pani doktorowa czeka także. Ma lat dwadzieścia ośm i jest pono przepiękna. Tak mówią nie tylko w Kownie, ale w całym świecie: w Nowogródku i w Wędziagole, w Tuhanowiczach i w Wilnie. A. E. Odyniec, gdy dojdzie lat ośmdziesiątych, o wielu rzeczach zapomni, ale to nieraz powtórzy Deotymie, że pani doktorowa była piękną. A przytem: naturalna w usposobieniu, przenikliwa w duszy, mocna w charakterze i bardzo samodzielna w domu, jakoż pan doktor ciągle na objaz-

dach zajęty. „Postać rysy i uśmiech — wspomina dalej Odyniec — mogły służyć za model rzeźbiarzowi i malarzowi, tem bardziej, że sama nawet jej toaleta zdawała naśladować raczej artystyczne draperje greckie“. Była to snąc najnowsza w Kownie moda, a przed trzydziestu laty przez Madame Le Brun w Petersburgu wprowadzona. Pani doktorowa nie bywa w świecie wcale, i nudzi się w domu czasami, więc rada, powitawszy młodzieńca, kimkolwiek był. Gdyby nawet nie był najgorętszym z Promienistych, a był nim przecież, gdyby nawet nie miał cudnie zmierzwionych włosów czarnych, a miał je przecież i to z rozdziałkiem na środku głowy.

Jak kwiaty polne zbiegają się w kraśną wiązankę w rączkach kobiety, tak wzięta pani doktorowa wszystkie wdzięki cichego domu do pomocy, aby umilić życie smutnemu i spracowanemu młodzieńcowi. Żurnale zagraniczne i książki najnowsze przywiozą zaraz z Królewca, niech codziem babcia do kiksa zasiada, niech Bauerer na pana profesora nie szczeka, i niechaj we wieczornej porze przychodzą zawsze marszałkówny Siwickie, jakoże ich muzyka, srebrnym kluczem dusze ludzkie otwiera...

Albowiem jest w domu państwa Kowalskich naczynie wzruszeń najśłodszych, najmilsze i najmłodsze dziecko epoki, przed którym klęczą w zachwyceniu dusze romantyczne: „fortepiano“. Babuniu, która śpiewałaś przy harfie, lub z starej komody dobywałaś szuflady z klawecyną — posłuchaj!...

Tedy choć cni się na odludziu wygnanemu filomacie i coraz pisze tęskne epistoły do przyjaciół, którzy tam w Wilnie bez niego „ludzkości całe ogromy przenikają od końca do końca“ — ale wieczorami przynajmniej dobrze

mu i przytulnie. Gdy tęskność duszę opadnie i ból dawny ukąsi, leczy go muzyką, a gdy list napisze do przyjaciół, sama pani doktorowa do Wilna list odwozi. Podjezdka wziął na stajnię pan doktor, iżby sobie młodzieniec na „szpacyer“, kędy chce, pojechał. I zdało się wtedy smutnemu pocie, że na bolesnym grobie jego dawnej miłości rozkwitać jął powiatowy i cichy kwiatuszek — przyjaźni. Aż zimą r. 1820 odmienity się trochę dekoracje sielanki. Profesorowi, który dotąd przy szmerze liście uwiędłych słuchał fortepianu, przypomniało się jakoś, że ma lat dwadzieścia jeden. I to w saneczkach przypomniało mu się. Nie dziwujcie się temu, wszakże kapryśny amor lubił zdawna siadywać na krawędzi sanek i przy śpiewie dzwoneczków dobywał strzał z kołczanu. Doświadczył tego ongi Kmicie z Oleńką, a wypraktykowały ze wszystkim damy rokoka, najbardziej gorzące w czasie szlichtady. Tak samo w Kownie dzwonki grały u saneczek, w których arcymistrz filomatów i zbolały Maryli kochanek jechał z panią doktorową na „szpacyer“. Zaraz nazajutrz pochwalili się przyjaciółom: „Jeździłem na szpacyer, ale jaki szpacyer! Udaliśmy się kilku sankami o milę do folwarczku Charewicza. Ja siedziałem z piękną Kow. i powoziłem ją przez pół drogi: prawda, żem nie wiele mówił, ale oczkiem często pod przekłętą kapelusz zazierałem... Tymczasem z sanek dobyto kawiane aparata, w sztucznych warzone imbrykach, alem ja na to nie patrzył. Nalewają, śmieją się, żartują, nie zapomnę dołożyć, żem dla niedostatku szklanek, pił z jednej z Kow. filiżanką... „Różne stowarzyszenia wyobrażeń wprawiły mię w humor prawdziwie romansowy“.

Ta przyjemna wycieczka zimowa do huty wpłynęła

wybornie na humor filomaty: zaczem rynki figlarne zaczęły krążyć po głowie:

Tak! nigdy już nie powiem i ach! i niestety
Bo mi zawsze narzekać, a wam słuchać zbrzydło
Otóż wesole, Janku, zacznę triolety.

A któż tak czarodziejsko odmienił duszę kwaśnego Adama? Zachodzą w głowę filomaci w Wilnie, trochę zgorzseni, że o Maryli zapomnieli. „Czynią uczone komentacje“ i proszą skwapliwie, by odkrył tajemnicę. Zaczem poeta, który przed filomatami żadnych sekretów nie czynił, przyznaje się szczerze: „Nie miałem zamiaru tajenia Wam nazwiska, ale myślałem, że Wam tak dobrze, jak mnie wiadome. Zresztą komentacja cokolwiek chybiła: nie jest to na nieszczęście żadna Kownianka, ani też panna kuzynka pana Kow., ale na nieszczęście drugie pani Kow., a na trzecie nieszczęście bardzo ładna, a przynajmniej w moich oczach“.

Wszelako pani doktorowa nie uważała tego wcale za nieszczęście. Wiedziała, że czyni wrażenie na młodzieńcu i było jej dobrze z kosterskimi figlami swawolnego filareta. Jeszcze się śmiała z tych amatorów, niebaczna! I on śmiał się także, dworując sobie nawet w ustach do przyjaciół z promionkowej teorii świętobliwego Zana: „Promionki mają z ciepłikiem spójność. Nigdy na mnie Kowalska nie zrobiła wielkiego wrażenia aż do czasu, kiedy ją spostrzegłem dmuchającą na żar pod imbrykiem kawianym. Rumieniec, a raczej żarzeniec zbytku na jej twarzy zdawałby się delikatnym oku niesentymentalny; nie bardzo ujmujący, mnie zaś ukazał w jej osobie anioła, Wenerę, etc. etc“.

Horror! pomyślały, czytając to, filomaty promieniste, chcą go już strofować, by wśród żubrów i cietrzewi kowieńskich o Sprawie nie zapominał.

Tymczasem w Kownie działo się coraz gorzej. I bez dmuchania na imbryki żarzenie występowały coraz mocniejsze. A łącno mogły popsuć sielankę „trzy literki w jednym glidzie“. Pan Adam nie kwapił się jeszcze wcale do przemiany w odeskiego Don Juana, a pani doktorowej nie miał zgoła nic do powiedzenia. Krzyw był trochę na siebie, że sprawy poszły zadaleko i solennie przyrzekał przyjaciółom: „Romantyczne ognie zwietrzały... Postanowiłem nie bywać u Kow. dwa miesiące“. Pomogły mu w tem trochę ferje wielkanocne, na które do Wilna pojechał i praca bardzo gwałtowna. Pisał balladę o Tukaju, tłumaczył dalsze pieśni „Darczanki“, oraz „Rękawiczkę“ Szyllera, którego tomiki droższe mu były teraz nad całe Kowno z wszystkimi jego powiatowemi przyjemnościami.

Dolina kowieńska jest najpiękniejszą w świecie, o czem dobrze dawno wiedzą wszyscy czytelnicy Mickiewicza, pani doktorowa dopiero teraz piękność tę w całej ozdobie odczuła. Bo oto rozsiadła wiosna r. 1821 na błoniach Wilji, rozkwitły narcyzy i tulipany, unieśmiertelnione później w „Powieści Wajdeloty“, i dłoń rusałek kwiatem kraśnym dziergała murawę. Wtedy to serduszkem pani doktorowej, której mąż wyjeżdżał na przydługie objazdy o władnęto bezpamiętne kochanie. Kochanie tak wielkie, jak bardzo był go wart, ten wspaniały człowiek, którego z Wilna do kowieńskiego gimnazjum przysłano. Jakże wielkim wydał się jej w każdym calu! Jak bezkresnie tonęła w głębi siwych oczu, promienistym, dla wszystkich tajnym, ogniem pałających! Oto go, niczem mistrza, słu-

chają wileńscy koledzy, oto się doń miłośnie śmieją Litwinki, idące na targ do Kowna, a on, konno na spacer jadący, pozdrawia je strofą improwizowanych na siodle trioletów!

Nikt nie wie, jak wielkim talentem przez Boga udarowany, nikt nie wie, co tam przy świecy pisze nocami przy biurku! A przy tem wszystkim jaki bujny i młody. Młodość żarzy się i płomieni we wszystkim, co pan Mickiewicz zamyśla. W kosterskich figlach, czynionych przy stole, w romantycznych, przesłódkich uniesieniach nad pięknnością przyrody i w cichutkiej wobec dam nieśmiałości, i w wierszykach do sztambucha pisanych i w deklamacjach smętnych lub w opowieściach o erometrze tj. dziwnym przyrządzie, służącym do mierzenia miłosnych „uczuciów“!

Kiedyś będzie pan Adam wielkim, największym w Polsce człowiekiem, kiedyś? Dla pani Karoliny największym już jest dziś. Nim tylko żyje i w nim. Za to wszystko go kocha, za co go lubi pan doktor i babunia i panny Siwickie i za jeszcze więcej. Za tę wielkość, której nikt i ona też nie ogarnia. I za to, że mu źle na świecie. Nie wie jeszcze dokładnie, bo później dowie się dopiero, ale przeczuwa, że ten młody poeta przeżył jakąś wielką tragedję, że kogoś bardzo kochał i że ból wielki w sobie skrywa.

Na erometrze pani doktorowej wrzało. Postanowiła osłodzić smętne życie poety. Wśród tulipanów i narcyzów chodzili razem na spacer. Chodził i wieszcz. Jakże daleki od spełnienia marzeń pani doktorowej!

„Zwiedzam czarujące okolice Kowna. Onegdaj byliśmy w folwarku Dobrowolskiego. Była tam i Kow. Nie

był to szpacyer jak niegdyś romansowy. wszakże do 50^o na erometrze dochodziło i bawiło się niezłe”.

Pani doktorowa kochała coraz bardziej Adama Mickiewicza. On zaś lubił bardzo jej towarzystwo jak i cały dom jej przemiły z kiksem o boby i z fortopianem i z dobrocią poczciwego doktora, który właśnie leczył poetę na gardło, kazał kłaść wezykatorja i do szkoły przez czas jakiś nie chodzić.

Pani doktorowa wiedziała już wszystko o niedobrej grafini z Błociennik, która ma garbarnię i papiernię, nosi krótkie włosy *à la Titus* i pisuje czasem w sekrecie smutne listy po francusku do poety.

Ani marzyła pani doktorowa o zasklepieniu krwawej rany w sercu Gustawa, ubierała się dalej w draperje greckie i była bardzo biedna. Ach, gdyby jeszcze wiedziała, co on tymczasem pisał do Jarosza, ach, gdyby wiedziała! W liście do Jarosza w listopadzie 1820 powiedziano:

„Z początku Kowno było okropne, już się powoli wzwyczałem. Kobiety zawsze robiły na mnie wrażenie i zajmowały więcej niż były warte... Kiedy która rzuciła na mnie oczkiem, już mi się zdawało, że mnie kocha... Teraz jestem bardzo fizyczny. Wdzięki tylko mnie głaszczą, ale do serca nie dochodzą. Z rozmowy powracam i śpię spokojnie. Jest to tylko zabawa!...”

Zresztą zasłuchany był cały w wielkie rzeczy, o których mu właśnie szeptać począł genjusz jego ducha. Zlekceważył planowaną oddawna tragedję o „Demostenesie“, porzucił zimne wdzięki Wolterowskiej „Pucelki“ i z całą energją pogrążył się w Szyllerze, szukając z nim razem drogi w zaświaty polskiego romantyzmu. Już wiedział, gdzie jej szukać i w styczniu roku 1821 posłał Jaroszewi

swoją natchnioną i objawień pełną rewelację. A oszołomieni filomaci zaczęli wkrótce deklamować z nabożeństwem: „Słuchaj dziewczeczko? Ona nie słucha!”

Bujnie pięło się ku górze drzewo życia i twórczości poety, coraz nowe wypuszczając pędy, ale o żadnej jego gałązce nie mogła powiedzieć pani doktorowa: moja jest! Tyle przynajmniej czuła, iż dobrze młodziencowi w jej towarzystwie, iż nie krzyw na nią, za to, że mu rada, a może nawet i kontent... Przychodzi chętnie i często, a raz nawet noc całą do białego dnia przegwarzyli z sobą, gdzie „wszystko od swawoli do smutku było wyczerpane“, ale wszystko ...najestetyczniej! Na wieść o tych „nocnych rodaków rozmowach“ trochę kiwali głowami filareci wileńscy, nie bardzo ufając seraficznej estetyce, a jednak stała na straży!

Z wiosną roku 1821 zdarzyła się rzecz, która bardziej, niż wszystko inne dotąd związała poetę z panią doktorową. Wybuchł skandal, o którym dużo w Wilnie i Kownie mówiono, a sprawił go jakiś nieznośny i wścibski galileusz. c. k. szambelan Nartowski. Tenci, przyjechawszy do Kowna w sprawie spadkowej, upodobał sobie wielce p. Kowalską, i nuże bywać do znudzenia w jej domu. Jak i co było, opowie Czeczot w liście arcy-dokładnym, w słowach aż nazbyt realistycznych, które nam nieco przesłonią tęczyowy obrazek rdmantycznej sielanki.

Oto awantura:

„Rywal Adama, poznając dobrze jak *cicisbeo felice* jest kochany, a sam doświadczając poniewierki, a nawet afrontów od adorowanej, śledził zawsze miłosną parę i przeszkadzał jej używać niewinnych (bo nie wszetecznych) przyjemności, jakicby miała z bawienia się bez nie-

znośnego świadka. Zawsze ich swoim najściem dekoncertował, zawsze wchodził kiedy spostrzegł, że Adam poszedł. Stąd się zrodziła wzajemna największa niechęć. Adam, zapalczywy, zbytecznie romansowy, słowem, ryccerz błędny naszych czasów, nie mógł wyrządzonej sobie krzywdy i szkody puścić na sucho. Gryzło to go niezmiernie, tak, że cały wielki tydzień był w humorze Anglika czyli raczej szaleńca, żył lulką, piwem, winem i chciał bić się. Aż zdarza się, gdy zasiedli u Kowalskich grać w karty, *cicisbeo bredulione*, rywal Adamowy Nartowski, szambelan dworu cesarsko-austriackiego, zaczął kochankowi naszemu różne robić niezgrabne i dotkliwe ugryzki. Adam, który już w tak dzikim od dawna był humorze i szukał zapewne sposobów wypowiedzenia otwartej nienawiści rywalowi, na to wszystko odpowiedział mu jakimś gry wyrazem technicznym, który znaczył: „A! , lepiej patrz w karty“, i dolożył: „niż masz tak głupie prawić koncepty“. Wtem, rozdając karty, rzucił je od niechcenia z nieukontentowaniem panu szambelanowi. Pan szambelan rozgniewany z pogardą, odsunął rękę Adama, a pan Adam nie długo czekając, jak palnie go w pysk, tak się pan szambelan cesarsko-austriacki aż z krzesła na posadzkę woskowaną przekulił. Czarapkał się długo po posadzce; wstawszy, porwał się do Adama, a ten nie długo czekając, do lichtarza: jak palnie nim w łeb pana szambelana, tak aż szambelan siedm kościołów obaczył. Wtem Kowalska ledwie nie zemdłała, zbladła, sama nie wie, co robić: wtem wchodzi Kowalski. Otóż tu jemu tylko jednemu można było widzieć dziwną sytuację osób. Rozbroił zapasników, a Nartowski, będąc pokonany, nie mógł się inaczej zemścić, jak wyjawić mężowi

swoje śledzenia i podejrzenia. Tu dzika dla męża odkryła się zasłona. Teatr w domu Kowalskich! Mąż powstaje na Adama i dopytuje się u Adama, czy prawda, co mówią. Adam, zadraśniony i w tak śmiesznej pozycji, z ugryzkaniami odpowiada, iż choćby było prawdą, jakże się można o to wypytywać i kto na to odpowie? Awantury! Kowalska przez Nartowskiego do krwi obrażona. Wszyscy się dąsają. Dziwa na świecie, których na tym szpargale nie spisać! Adam szczęśliwie się z pośród wrzawy unosi i kontent, że bił się, że mu połowa ciężaru z serca i splinu spadła, siedzi w kwaterze. Działo się to w wieczór na pierwszy dzień świąt wielkanocnych. Nazajutrz raniutko niosą do Adama bilet po bilecie, wyzywając na pojedynek: *1-mo numero* Kowalski za krzywdę domu, *2-do* Nartowski za wybicie. Adam zuch, nie tchórzy, ale po przeminionym zapale żał mu, iż takiej był powodem awantury, iż dom, który mu dawał od nud schronienie i tyle przyjemności, obraził, iż z Kowalskim, który dla niego tak był przyjacielskim i dobrym, trzeba iść na plac potyczki. Pisze do nas, nie donosząc zgoła, jak, zaco i przez kogo wyzwany, tylko, że wyzwany na pojedynek, że może już ostatni list z Kowna pisze.

„Przybyliśmy tedy do Kowna i nasza kawalerska odwaga nie miała już gdzie się popisać, bo rzecz była skończona. A gdzie kobieta jest za sekundanta, tam się bez krwi obejdzie, a z czyjej stanie strony, przy tej bez wątpienia wygrana. Kowalska stanęła przy Adamie, Adam więc wygrał. Potrafiła tak przekonać męża, iż ten zamiast strzelania się, przyszedł do Adama godzić. I pogodzili się uroczyście. Coż już myśleć o wybitym, wzgardzonym szambelanie? Wszyscy przeciw niemu, bo w zgodzie, a wszyscy

stają odważnie. Drwi Kowalska, zły Kowalski, Adam grozi, bo na wszystkie rodzaje pojedynków przystaje. Nuż szambelan zamiast, coby miał do skutku przywieść wyzwanie, pisać listy do Kowalskiej z narzekaniem, iż przez nią życie utracić może, iż ona tak się z nim brutalsko obchodzi; do Adama z narzekaniem, iż skrzywdzony, iż Adam obraził dom Kowalskich przez tę akcję, iż mogłoby wreszcie krzywdę swoją puścić w niepamięć, gdyby Adam przeprosił Kowalską za niego. Ci ujrzawszy taką przeciwnika słabość, nuż drwić z niego lepiej. Tymczasem zeszedli się raz oba rywale przed trybunałem adorowanej piękności: jeden się znowu żali, drwi znowu drugi, wreszcie rzecz ni tak, ni owak [się kończy. Nie było uroczystej zgody i odwołania pojedynku; stanęło tylko na tym śmiesznym warunku, aby, jak skoro Adam wchodzi do Kowalskich, szambelan (jeśli tam już siedzi) natychmiast precz wyruszył i wzajemnie, jeżeli szambelan wchodzi, a Adam siedzi, Adam precz wyruszył. Przybyliśmy więc po harapie. Adam już znowu dawnym obyczajem jeździł na spacer z Kowalską, a szambelan był za kpa miany i pogardzany od kochanków“...

Nieszczęsnego szambelana Nartowskiego nie pocieszało wcale, iż był jedynym w Polsce człowiekiem, który poczuł na sobie pięść i temperament Gustawa z IV części „Dziadów“, zaczętem usunął się z widowni i już nie odtąd nie zamąci dziejów kowieńskiej sielanki. Zostanie po niej jeszcze trochę przycinków i morałów w listach przyjaciół, a Jeżowski napisze wcale kwaśno do szalonego poety:

„Nie sofy, nie wezglowia, nie kobierce, nie pieszczoty są nam potrzebne Praca wspólna i uporczywa, kraj, ojczyzna powinny nam we śnie i na jawie stać przed oczyma.



ALOJZY REJCHAN, pinx.

LWÓW, GAL. MIĘJSKA

PORTRET LWOWIANKI

Brutusów nam potrzeba, nie Antoniusz w". Ale pani doktorowa była innego zdania.

W dolinie kowieńskiej rozkwitły raz wtóry narcyzy i tulipany i znowu ruszał dłoń i zścieliła murawę kraśnym dzierganą kwiatem. Jeszcze pięć niej niż zawsze, albowiem radowały się wszystkie ruszaki litewskie, jak gdyby wiedząc, że już od przyszłej wiosny zostaną w Balladach i romansach nieśmiertelne.

A gdy po raz wtóry rozkwitły narcyzy i tulipany, już nie zdzierzyła pani doktorowa w swoim afekcie. Postanowiła powiedzieć pocię o wszystkim, że żyć bez niego nie może, że sam temu winien, że go bardzo kocha i już! I w upalne południe zaprosiła na samotną schadznię w dolinie kowieńskiej. Mistrz właśnie skończył pisać „Kurhanek Maryli“ i stawiał się posłusznie mimo tropikalnej temperatury. Mówiła mu długo i sekretnie *à toi même*, ale jako nie donieść o tem Czeczotowi?

„Byłem w dolinie wczora o godzinie drugiej w wielki upał z damą, która potem nadeszła, zostawiwszy drażki na gościńcu. Nicwiele dostawało do zwarzjowania, a częste przechodzenie chłopów, wycinających chrust może tylko obroniło od pokus nie estetycznych... Na końcu trochę mnie i nie trochę zmieszało bardzo mocne i nieco straszne z drugiej strony oświadczenie, że bez naszego widywania się obejść się nie można będzie i że ja temu winien, że tak przyzwyczaił. Uczyniono zapytanie względem wakuacji i scena zakończyła się melancholicznie!“

W końcu czerwca erometr doszedł do stanu wrzenia. Pan doktor jeździł na przydługie objazdy, pan Adam mieszkał „sam jeden, naprzeciw jej okien“. Estetyka załamała bezsilnie ręce, nie mogąc zapobiec nieszczęściu. Przyja-

cioty wileńskie z trójkątym Zanem na czele znowu wiedzą o wszystkim i wprost mu piszą, że jest wszetecznik. Biedny poeta tłumaczy się jak może.

„Nie zarzucaj mnie wszeteczeństwo. Owszem byłem ż do szaleństwa estetyczny w czasie owych pistoletowań. Ale teraz, teraz nieestety, wyobraź jeśli możesz, bóstwo z igrającym na barkach włosem, wśród białych muślinów, na wspianiem łożu, w pięknym pokoju. Na to bóstwo codziennie patrzę, już estetyka uleciała“.

A zaraz potem nachodzić począł poeta bolesny cień smutnej pani z Błociennik, która miała włosy krótkie *à la Titus* i której imię bali się będą do końca życia poety wspominać przyjaciele... Więc skwapliwie zapewnia w tym samym liście sam siebie i swych przyjaciół, że to nic, że to zapewne niedługo potrwa: Chwała Bogu, że św. Piotr tuż. Ze św. Piotrem rozpoczęły się ferie szkolne, poeta podążył do Tuhanowicz, (diaczego właśnie do Tuhanowicz, tego sam nie wiedział) i w bramie dworu natknął się na karetę, w której jechała Maryla. „Nie wiem, co się ze mną działo... mignęło coś w bieli... Gdybym ją w tych stronach widział, strach o tem pomyśleć!“ I wtedy uświadomił sobie, że wszystką treścią jego uczuć jest zawsze Maryla, do której wkrótce napisze w liście sekretnym: „Jesteś moim aniołem stróżem, wszędzie obecna!“ Zły na siebie i na panią Kowalską, zato, że jest piękną, że go kocha i że wogóle istnieje na świecie, zwiedzał dalej strony ojczyste i „dom nieboszczki matki, a gdy tam napotkał miłość swych lat dziecińczych, Joasię, „niegdyś lubianą, lubo dosyć pospolitą istotę“ postrzegł ze smutkiem, że „wszystkie obudzają wstępnę we mnie i że już o kobietach dla mnie nie myśleć“.

Tymczasem pani z kowieńskiej doliny myślała o nim gorzko i we łzach. Tęskniła, że wróci z wakacji, tęskniła tak długo, póki wieść nie przyszła do Kowna, że nauczyciel Adam Mickiewicz otrzymał urlop na rok szkolny 1821/1822... A skoro go przez cały rok nie zobaczy, więc trzeba sprawę skończyć i bole serca w sobie stłumić. Gdy nagle pan Adam powrócił. „Przybyłem do Kowna niby dla zabrania rzeczy, niby dla zbierania postrzeżeń statystycznych i geograficznych a w istocie dla tego tylko, aby jechać i może dla obaczenia się jeszcze raz z Kow(alską)“.

Dziwne było powitanie. „Adam ani na oczy, bo już Kowno porzuca. Nie ma innego środka do pojednania się tylko przyrzec mieszkać ciągle w Kownie; środek niepodobny do użycia. Postępujemy więc z sobą bardzo ozięble. Mieszkam teraz sam jeden, naprzeciw jej okien, widzę w oknach światło. Teraz jest godzina 12-ta. Wiatr tylko szumi po murach klasztoru“...

Zacięła się Litwineczka i wytrwała w oziębłości póki nie opuścił Kowna. Cóż miała robić? Chyba jeno czekać cierpliwie, aż czas, eskulap lepszy od pana Kowalskiego, uleczy płomienne afekty. Wraz z mocną świadomością, że dla niej stracony na zawsze, zachowała dlań wszystką dawną cześć i uwielbienie. Przekonał się o tem, gdy ją znowu po roku spotkał w Wilnie. „Była teraz w Wilnie pani Kow. Już tylko dla mnie jest panią Kow. Rzadko widywać się z sobą kazała. Wie o życiu Peri. Co z tej okoliczności między nami zaszło, później napiszę. Wiele uczułem, rozstając się z tak dobrą przyjaciółką, a którą teraz najlepiej poznałem“.

Ale ta dobroć przyjaciółki nie ukoiliła jego serca, podobnego ciągle do lasu przez który burza przeszła. Pła-

kało w nim wszystko z tęsknoty za Marylą. „Tomaszu — wołał w liście do Zana — ty się z nią widzisz i z nią mówisz; powiedz coś o mnie. Czy nie wyczitasz z jej oczu przebaczenia?”

Przebaczenia za wiele „przykrych rzeczy“, a może i za kowieńskie tulipany i narcyzy?... Bo pani Puttkamerowa wiedziała o istnieniu p. Kowalskiej. Poświadcza to wszakże Odyniec, który ją niedługo potem odwiedził w Błociennikach. „Sama pani — powiada — ciekawie, chociaż bez wyraźnego nacisku, rozpytywała mnie zwłaszcza o pani Kowalskiej, o której snać już przedtem od kogoś słyszała“.

Z pozoru nic się nie zmieniło w kowieńskiej dolinie, gdy Adam Mickiewicz z urlopu do gimnazjum wrócił. Poczciwy doktor służył mu dalej radą i pomocą, książki i sprawunki z Wilna przywoził, babunia zawzięcie rachowała wygrane boby przy kiksie, panny Siwickie grały czasem na fortepianie i buldog Bauzer dalej warczał na Adama Mickiewicza.

A gdy od nowa zakwitły narcyzy i tulipany, przez całą Litwę przeszło wielkie wołanie, że jest wielkim poetą, twórca Ballad i romansów i nowych czasów zwiastunem. Serduszkami zawiedzionej Litwinki szarpały czarne rozpacz i nieraz dała mu to przykro odczuć. Nawet skarżył się przed Jeżowskim, że „stosunki z Kleopatą są powikłane i fatalne“.

A potem rozeszły się ich drogi na zawsze. Nauczyciel kowieński podążył w gwiazdne szlaki wielkiego życia, które nań na świecie czekało. Raz go jeszcze tylko ujrzano pani z doliny kowieńskiej, a właśnie wtedy, gdy wyszedł Konradem już z więzienia Bazyljanów... „Wstąpiliśmy na-

przód — opowiada Odyniec — na chwilę do kościoła św. Jana i poszliśmy wprost stamtąd na obiad do p. Macewiczowej, gdzie już siostra jej, p. Kowalska z Kowna, od dni kilku na dzień ten czekała. Wszyscy witali go z rozrzewnieniem“...

A potem już nigdy. Chociaż raz po latach zdawało jej się przez chwilę, że wszedł o zmroku do — salonu w Kownie. „W r. 1825 — jak sobie znowu przypomniał Odyniec — zmrok już był, gdy przybywszy do Kowna, poszedłem wprost do p. Kowalskich. Sama pani siedziała przy oknie w salonie. Niewyraźny okrzyk podziwu powitał mnie naprzód, gdy wszedłem, a wzruszenie było przytem tak silne, że choć już przystąpiłem bliżej, przez chwilę ani wstać z miejsca, ani słowa przemówić nie mogła. Pokazało się, że na pierwszy rzut, z postaci i ubrania wzięła mnie za niespodziewanego Adama“...

I jeszcze usłyszymy o pani doktorowej w pamiętnikach Domejki. Gdy w r. 1831 odetchnęło Kowno na chwilę, zdobyte przez gen. Chłapowskiego — dano w mieście bal u państwa Kowalskich. Bal odbył się na cześć Emilji Plater, tej samej, o której w dwa lata później w Dreźnie napisze Mickiewicz swoją „Śmierć pułkownika“.

Latem roku 1831 tulipany i narcyzy, żyjące od lat ośmiu rosą z łez i wspomnień, uśmiechnęły się cichą radością. Jakże wiele byłby dał wtedy wygnany Konrad, gdyby mógł przez chwilę jawić się na balu w powiatowem mieście Kownie.

Jak cień przesunęła się przez młodzieńcze lata Mickiewicza nieszczęsna Venus consolatrix, nie musnąwszy ani duszy jego, ani twórczości. W ciągu tych lat dwu coraz inną mu się wydawała, najpierw aniołem, wreszcie

Wenerą, nakoniec fatalną Kleopatram. O Wenerze z gipsu wspominali nieraz w listach filareci, mając na myśli biust pani Karoliny, rzeźbiony przez Lebruna. Zaprawdę pozostawała w jego życiu — Wenerą gipsową.

Lecz on trwał zawsze w jej myśli jednaki. Wtedy i po latach trzydziestu, gdy z uniesieniem powie do Odyńca: „Był dla mnie zawsze najwyższym ideałem człowieka“.

O pani Kowalskiej głucho w sztambuchach romantyzmu. Za to pan doktor doczekał się hołdu poetyckiego, w r. 1859 w dniu jubileuszu 50-letniej pracy lekarskiej. Uczcił go wtedy Odyniec wierszem szumnym, w którym wołał:

Lecz mamże głosić te dzieła
Gdy dusza, co je natchnęła
Tak skromnie tai je sama.

Nie! głos mój tylko tu wyzna
Co tobie winna Ojczyzna —
Tyś nam zachował Adama!

O pani doktorowej niczego więcej nie wiemy, ale to chyba pewne, że do końca życia płakała zawsze, ilekroć wzrok jej padł na ów werset czuły z „Konrada Wallenroda“:

I ciebie równie przechodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna
I ty utoniesz w zapomnienia fali
Ale smutniejsza, ale sama jedna!



O PORUCZNIKU MALCZEWSKIM

*A teraz ciskam serce, puchar lśniący..
Słyszycie? Pękło...*

Beniowski. pieśń I

A teraz niechaj panie w szalach kaszmirowych powie-
dzieć raczą, co się stało z porucznikiem artylerji kon-
nej, Antonim Malczewskim? Dlaczego pożywać kazały
twórcy „Marji“ zatrute życia kołaczki i zdarły mu z ramion
srebrzyste epolety radości życia? I czemu z tysiąca ich
słodkich *à toi même* uśmiechów utworzyła się jedna czarna
mgła smutku, która na zawsze otuliła jego duszę? I czemu
pozwoliły literaturze pomawiać go o „awanturniczość“
i „niesławę“? I jak to najweselszy z oficerów zmienił się
w najposępniejszego z romantyków?

...Miał złote włosy, nos orł, oczy szafirowe i szczę-
ście do ludzi i poszedł w świat szukać miłości. Był
grzeczny, uczony, dobrze skoligacony i dobrze zbudowany,
więc myślał, że znajdzie. A życie śmiało się doń od ma-
łości. Dobry wołyński Pan Bóg, który zdawna pozwalał
ludziom z nad Ikwy i Horynia cieszyć się jedwabną pu-
stotą, rozkazał by i nad jego kolebką świeciła przyjemna
gwiazdka beztroski. Z kresów wołyńskich wiódł się i wziął
stamtąd wszystką rasę życia i bujność i cały ów *façon*
d'être, w którym tradycje rokoka podały rękę zachceniom
czułych dusz romantycznych. Już w liceum w Krzemieńcu
zauważono, iż ten wisus najmilszy ma „pomimowolną

nad duszami ludzkimi władzę“, a surowy Tadeusz Czacki widział w nim „najszcześniejsze zdolności“. On atoli włożył dnia pewnego śliczne *culots de peau*, wdział kurtkę granatową z rabatami i przeogromne czako z kitą czarną i poszedł do wojska. Jakże nie miał pójść, gdy wciąż coś we krwi werbla grało, i lat liczył ośmnaście i rodził się z ojca generała? Przystał do Napoleona.

Latem roku 1811 przybył Antoni Malczewski do Warszawy i odtąd biegły mu szybko lata, jak szabla ułańska błyszczące, jak pieśń żołnierska dosadne, a tak wzorzyste, jak hafty, dziergane na krosienkach ręką wołyńskich szlachcianek. Wyniszczona wojnami Polska nie miała wprawdzie co jeść i w co się ubrać, ale żyła jeszcze resztkami rokokowej spuścizny, której w sam raz na tyle wystarczyło, aby ubarwić życie warszawskiej socjety i spędzić nudę z czola podporuczników o szafirowych oczach. Ośmnastoletniego podporucznika korpusu inżynierji otoczyły zaraz słodkie panie w szalach kaszmirowych, które były bardzo ucieszone, albowiem cesarz Francuzów obiecał Polskę odbudować. W spadku po swych mamusiach z dworu króla Stasia odziedziczyły skarb najcudniejszej lekkomyślności, a król Hieronim nauczył je, że życie jest kąpielą w mleku i winie. Tamte damy płocze żyły jeno chwilą, one zaś, siostry Malwiny i Nowej Heloizy chciały romantycznie kochać przez całe życie. Hrabiny i princepsy powiedziały podp. Malczewskiemu, że go miłują, albowiem przypomina łądząco z wejrzenia młodego Stanisława Augusta i przywiózł z sobą z Wołynia skarby wielkie w oczach, które są jak błękity niebios lub przestworza móż. Podporucznik korpusu inżynierji nie wiedział jeszcze, który szal kaszmirowy podoba mu się najbardziej, zato

pilnie słuchał dam starszych, gdyż był jeszcze młody. Najpierw zaprosiła go do siebie generałowa Chodkiewiczowa, która także pochodziła z Wołynia. Nie była wcale pierwszej młodości, zato miała najpierwszy salon w stolicy księstwa warszawskiego i dużo, zbyt dużo wspomnień z armji napoleońskiej. Pan generał Chodkiewicz — wielkolud olbrzymiego wzrostu, był ostatnim potomkiem hetmana, pisał nudne tragedje, studjował chemję i uśmiechał się dobrotliwie. Co wieczór na salonach senatorowie i poeci deklamowali głośno w blasku tysiąca świec piękne ody, ale nie mógł ich słuchać podporucznik Malczewski, bo pani Chodkiewiczowa mówiła doń po cichu o czem innem. O tem wszyskciem, o czem oddawna zwykły mówić starsze panie do ośmnastoletnich podporuczników. Wypadło młodzieńcowi słuchać kornie rozkazów niecierplivej damy, która była generałową, zajmowała się wolnomularstwem i układała muzykę do „śpiewów historycznych“ Niemcewicza. Antoni Malczewski słuchał i kochał, tak długo, dopóki jakiś stetryczały major, z nim razem stojący kwaterą, nie obudził się w nocy i ofuknął wracającego do domu kawalera, że szkoda szlif błyszczących w buduarze owym brukać. Potem niedobry człowiek obrócił się na drugi bok i zasnął. Antoni Malczewski wyzwał niedobrego majora na pistolety, aby bronić honoru niecierplivej damy. Strzelali się, a młodzieńcowi sekundował z dobrotliwym uśmiechem wielkolud, mąż pani generałowej, który pisał nudne tragedje i był ostatnim potomkiem hetmana.

Ze strzaskaną w kostce nogą, leżał długo i samotnie wśród mądrych książek, a może i wierszy nieśmiało jeszcze pisanych, a kiedy wstał, chciał dalej kochać panią generałową, lecz ona tymczasem znalazła sobie następcę.

Więc miłował inne panie. Równie gorąco jakkolwiek mniej krwawo. „Życie jego stało się odtąd ciągłym romanssem, kobiety szalały za nim!“, narzeka nie bez zazdrości, zgorzszony samotnik Konstanty Gaszyński. Lecz cóż miał robić, u djaska? Na wojnę z Moskwą go nie posłano, a śliczny był jak dawniej i pełnił teraz służbę w twierdzy modlińskiej. Ludzi rozbrajał uśmiechem, kobiety zdobywał spojrzzeniami, zmieniając je częściej, niż mundury. Mundury zmieniał wtedy często. Z podporucznika inżynierji przedzierzgnął się naprzód w radziwiłłowskiemu ułana z kraśnym „obszlegiem“, potem wdział zielony uniform porucznika konnej artylerji, a wreszcie przypiął z dumą srebrne sznury adjutanckie przy generale Kosseckim. Do celu marzeń było jeszcze daleko. Bo gdzież ten wymarzony strój paradny szwoleżerów gwardji, biały frak z karmazynowymi wyłogami i gdzie kobieta, owa jedyna, nad wszystkie i wszystko kochana?! Szukał jej dalej płochy uwodziciel pośród tysięcy.

Gdy Napoleon w triumfie na Moskwę idący, wrócił z niej cicho sankami, Malczewski był w owym czasie z brygadą Kosseckiego, zamknięty w oblężonej przez Paszkiewicza twierdzy. Przez rok i miesiąc zamknięty! Więc jakże boleśnie cierpiała dama owa, której miłość na fatalny rok 1813 w kalendarzu jego amatorów przypadła. Czekała, że listek kaliny wieść jej wiatrem przyniesie, rybek pytała o radę i promieni księżycy. Lecz klóždy tych przestarzałych używał korespondencyj? Mogli pisywać na liściu kaliny czuły Filon, lub płaksiwy pasterz osjaniczny, ale nie d'Artagnan pod Roszellą i nie Cyrano pod Arras i nie porucznik Malczewski w Modlinie. Jako tamtym tak i jemu podszeptał inną radę, dobry gonjusz zawadjackiej ro-

mantyczności. Niechaj o rzeczy opowie przyjaciel adjutanta:

„Malczewski miał służącego ukraińca, sprytnego mołojca, którego na Merkurego przystroił. Mimo niebezpieczeństw, przekradał się mołojec do Warszawy, odnosząc bileciki, pełne słodkich czułości. Pewnego dnia, gdy o zwykłej godzinie powrotu nie widać było ukraińca, niespokojny Malczewski, wzięwszy z sobą ułana, wyjechał poza obręb fortecy, w stronę, skąd miał przybyć długo wyczekiwany posłaniec. Przeczucie Malczewskiego nie było płonne. O parę tysięcy kroków ujrzał swego wiernego sługę, ściganego przez trzech kozaków. Zbrojny tylko w pałasz i pistolety, puścił się galopem ze swym ułanem na odsiecz, rozprędził kozaków i jako laur zwycięstwa, odebrał pożądane pismo tęsknej kochanki. Scenę tę obserwował z daleka przez lunetę generał Paskiewicz, który znał Malczewskiego z jego misji w charakterze parlamentarza. Gdy nazajutrz inny oficer przybył doń w tym samym charakterze, Paskiewicz odezwał się do niego:

— Powiedz pan Malczewskiemu, że widziałem wczoraj, jak mężnie się potykał. Wiem o co mu chodziło i wiem, że w piśmich jego niema nic politycznego, ani wojskowego, więc niechaj na drugi raz nie używa dróg niebezpiecznych, ale niech oddaje liściki moim forpocztom, a ja natychmiast każę je doręczyć w Warszawie!”

O niezmierna potęgo romantycznej miłości, której służą wszystkie moce świata!...

Długo jeszcze młodość błogosławiła szaleństwu Malczewskiego, a życie im dobrotliwie przebaczało! Lecz już przygasać poczęły blaski młodości w sercu adjutanta. Z niewoli rosyjskiej, w którą dostał się z Modlina, wrócił

jakiś inny, niż był dotąd. Inne ognie żarzyły się w głębi szafirowych oczu, a myśli niespokojne chmurzyły czoło, ocienione złotymi puklami. Jakże duszno i źle czuł się teraz w słodziutkim niewodzie „blaszanych“ kokietek, które teraz bez entuzjazmu emablował w pałacu Kossowskich. Przejadły mu się ekliwe wiersze, w sztambuch wpisywane, znudziła mu się Polska, ojczyzna białołgów, które mówią w kółko jedno i to samo, a kochają na stary sposób. Stąd poczęła się „chwalebna chęć dokonania rzeczy, których codzien dopełnić nie można“. Zwidywały mu się w marzeniach kraje, w których pomarańcze i cyprysy do okien zaglądną, śniły mu się lazurowe pola Italji, szumem morza usypiane. Ot, gdyby wydrapać się na grzbiet Czimborassa, lub pójść nad brzegi Nilu czy na wyzwolenie Grecji, czy gdziekolwiek indziej! Dzisiaj strzelać niebieskie lisy pod biegunem, jutro się przekomarzać z kwiecarką w Neapolu, lub marznąć nocą na twardej desce szwajcarskiego szaletu...

Ks. Fryderykowa Lubomirska, która niedawno uciekła z Wołynia od starego księcia i ziewając, szukała uśmiechów życia w Warszawie — marzyła dosłownie o tem samem. Choć jeszcze Balzac nie pozwolił szaleć kobietom lat trzydziestych, ani też Flaubert nie rozgrzeszył pani Bovary — ks. Fryderykową opadł rój myśli figlarnych, gdy poznała adjutanta z szafirowymi oczami. Tedy kiwnęli ręką na przesady wieku i pojechali na wojaż razem. Powiedziała przedtem kawalerowi Malczewskiemu wszystko to samo, co mu przedtem i po wielekroć mawiały inne panie, ale musiała snąć uczynić to inaczej, niż tamte, gdyż wkrótce się zwidziało Malczewskiemu, że ją bardzo miłuje, że w niej odnajdzie jedyną i bardzo ko-

chaną, więc bez namysłu wziął „abszyt” z wojska i pojechali.

Była to podróż cudowna. Tak Kordjan jeździł potem z Violetką i Childe-Harold ze swym smutkiem i Szopenek z Aurorą Dudevand. Młodość, miłość, wieś sprzedana eksporucznika i dukaty ks. Fryderykowej ścieliły drogę różami i puchem łabędzim. Wielkimi oczyma oglądał eksporucznik dziwne kraje i miasta. Wstrzymywał oddech w podziwie nad stolicą świata, podziwiał wysoko stane pierzyny niemieckich oberży, klękał w białej pokorze przed Madonnami Florencji, a potem bał się, chory, że umrze na obczyźnie w Marsylji, gdzie ongiś grał w karty i umarł trochę doń podobny staroście T. K. Węgierski. Kawaler Malczewski kart spróbował w Neapolu, gdzie udało się ambasadorowi Austrii ks. Jabłonowskiemu stworzyć, acz na tak dalekiej obczyźnie, przytulne asyllum polskiej rozpusty. Czułej parze z Warszawy, wiodło się bardzo dobrze na salonach księcia ambasadora.

Ale to wszystko nie były jeszcze „rzeczy, których codzien dokonać nie można”. Za worek dukatów kupi każdy obieżyświat łazury morza i zefiry neapolitańskiej zatoki. Lecz gdzież człowiek, który się pochwali przyjaźnią największego poety wieku i gdzie ten, który stanął na szczycie najwyższej turni Alp? Malczewski osiągnął jedno i drugie. W Wenecji umiał zdobyć przyjaźń w. mistrza romantyzmu lorda Byrona, z którym planowali razem podróż do Turcji, a potem w Chamonix wziął z sobą dziewięciu przewodników i wspiął się na najwyższy lodowiec Mont-Blanc. Szósty człowiek na świecie, a pierwszy w Polsce! Przez półtora godziny patrzył *le comte polonais Malczewski* w twarz zamarzłych olbrzymów i widział pod

stopami elizejskie pola Lombardji. I znalazł w swej duszy ogromy smutku, lodowcom alpejskim podobne. Zakrzyknęła z podziwu Europa i zawrzały zazdrością wszystkie dusze romantyczne w Polsce. Monsierr Pictet wydrukował opis podróży w swem piśmie, a Juliusz Słowacki, nie mogąc później pójść w ślady Malczewskiego, posłał tam przynajmniej swego Kordjana.

Lecz nam po drodze zniknęła z oczu ks. Fryderykowi... I Malczewskiemu także. Na Mont-Blanc wyszedł, Byrona pozyskał, a kobiety nie znalazł. Kiedy, gdzie i dlaczego rozstała się dama z młodzieńcem, nie wiedzieć. Mówią, że miała dość jego miłości, że względy rodowe weszły w drogę i niemożność rozwodu, dość, że się zgubiła po drodze. Eks-porucznikowi ciągle się zdawało, że ją nad życie miłuje, więc stał się markotny i pono stetryczał i długo go serce bolało po stracie towarzyszkę podróży, w której daremnie szukał towarzyszkę życia.

Samotnie dokończywszy wojażu, po latach pięciu wracał do ojczyzny. Witał ją w smutnym wierszu: „O jak przykro do swych wracać bez nadziei“, czując nowe odmiany i prawdy: że posiadał wszystką mądrość świata i że syty jest wrażeń i czas mu już zdjąć z siebie romantyczne przyodziewki młodości. Nieprawdą jest, jakoby życie było kąpielą w mleku i winie, i niema kobiet jedynych, bardzo kochanych na świecie. Odmienił się bardzo eks-adjutant gen. Kosseckiego.

Ach, czemuż tak jak dawniej o szczęściu nie marzę?
Gdzież te, co się tak lubo uśmiechały twarze?
Gdzież te serca, co czuły każde mego bicie?
Znikły... przez chwilę tylko ozdobiły życie...



E. T. PARRIS, piórx

LII. THWELLE

ŻALOBĄ NARODOWĄ POLEK

I wtedy zaopiekowała się nim samotność, którą od dawna uważali mędracy za mistrzynię życia. Antoni Malczewski zaczął się teraz interesować rzeczami, które rzadko interesowały eks-oficerów napoleońskich.

Cieszył się wiosną w stepie i błędził długo wśród pól, tęsknie jednostajnych, kochał lipy, dworów strażniczek i przedziwne, samowtór z czółnem, podróże po jeziorze. Wziął folwark w dzierzawę na Wołyniu, kupił komplet dzieł lorda Byrona i uciekł od ludzi. Raz jeszcze zmienił mundur: z romantycznego młodzieńca przedzierzgnął się w romantycznego poetę.

Na swoim folwarku żył samotnie poeta, ludzi prawie nie widując. Chyba czasem, z konieczności. Trzy słowa zamienione na szosie ze współpowiatnikiem przejeżdżającym, lub niecodziwny interes gospodarski w Krzemieńcu, gdzie czasem kogoś z dawnych znajomych spotkał. Tak właśnie raz spotkał w Krzemieńcu kuzynkę swoją, od dziecka niewidzianą panią podsędkową Marję Rucińską. Ani zbyt piękna, ani uczona. „Rozmowy biernej i pięknej, acz nie znaczącej powierzchowności“. Pono jedną książkę tylko przeczytała „Malwinę“ ks. Wirtemberskiej i odtąd jest nieco romansowa. Ma lat dwadzieścia trzy i czworo dzieci. A mąż chyba żywcem do nieba pójdzie, tak udręczony przez histeryczkę. Właśnie ją przywiózł na leczenie do Krzemieńca. Cierpi na „akcesy niemiłosiernie męczących paroksyzmów“ innymi słowy na hystero-epilepsję. A doktor Kaczkowski obiecał ją leczyć nowym, cudownym pono środkiem, siłą magnetyzmu. Magnetyzmem? Malczewski w wojażach swoich widział wiele doświadczeń magnetycznych. Za kilka luidorów można było tę sztukę posiąść w Paryżu, a wszystkie żurnale kontynentu rozpi-

sywały się o cudownem odkryciu doktora Mesmera i o jasnowidzącej z Prevost, o magnetyźmie zwierzęcym i o fluidzie tajemnym, który krąży między ludzi, choroby leczy, niedole łagodzi i rzeczy przyszłe widzieć pozwala. Mesmer, drugi obok Byrona Jan Chrzyciel romantyzmu, upajał jak on dusze ludzkie i trzymał serca na uwięzi. Przewodnic dusze epoki wierzyły mu świącie. Percy Bysshe Shelley graży się w rozkoszach snów magnetycznych i filozof Szubert i Justinus Kerner, czyta także z zapalem w Krzemieńcu Mesmera pani Salomea Becu-Słowacka.

Antoni Malczewski wiedział o magnetyźmie więcej, niż wszyscy lekarze Wołynia razem wzięci. Więc chyba pomoże kuzynce. Spróbuje, w każdym razie, wszakże ongi bywał tyłekroć znachorem zboliałych dusz kobiecych i leczył je spojrzeniem szafirowych oczu. Więc uproszony przez nieszczęsnego męża historyczki pojechał do Hrynowa i spróbował, ujawszy ręką głowę chorej. Pani usnęła. Eksperyment udał się, uleczył ją, — a sam zginął na zawsze, znachor o szafirowych oczach. Bo w tej samej chwili owa tajemnicza siła magnetycznego fluidu porwała go w swoje okowy, bo po tem jednym położeniu ręki na głowie chorej kobiety, przestał istnieć dla siebie. Wpadł w jakieś błędne kolisko straszliwych sił, które mu jego duszę piękną do więzienia zamknęły. Patrząc na to musieli zaprawdę uwierzyć ludzie romantyczni w tajemne działanie magnetyzmu zwierzęcego!

Już teraz pani Rucińska nie puściła od siebie poety ani na chwilę. „Pamiętam ich wizyty u nas w Bortnowie — opowiada Henryk Cieszkowski w swych wspomnieniach. — Przyjeżdżali oboje w karecie, a mąż na koźle, bo łąź tylko wieść potrafił ją bez bólów nerwowych, któ-

rym w drodze ulegała. Wchodzili razem do salonu, mąż za nimi z banką ciepłej wody, którą jej nogi ogrzewał. I rozsunięte z początku ich krzesła powoli przysuwały się, ręka w rękę weszła i w tej pozycji do końca wizyty pozostawali. Pozycja pozostała przez lata długie niezmienną Sykoraksa, wiedźma straszliwa z dramatu Szekspira więziła ducha dobrego Ariela przez lat dwanaście w szczelinie sosny. Antoni Malczewski miał przy pani Rucińskiej przeżyć sześć lat życia, które mu jeszcze zostawały...

Co się stało właściwie? I czemu się tak gwałtownie odmienił motyli don Juan? Gdzież łatwość, z którą serca kobiece zmieniał, gdzież bujny lot nieopalonych nigdy skrzydeł, gdzież śliczny łeb eks-officera, którego nie odrzyły bagniste kwiaty weneckich lagunów, ani swawola blaszanej Warszawki, ani rododendrony Alp? Dawniej strzelał do przeciwności, gdy mu w drogę weszły, dziś płacze i szamota się bezsilny. Czy to jest miłość? Mówią, że nie. Ani pasja, ani obowiązek, ani sentyment, a przecież niewola.

Zrazu próbował się ratować. Opowiada o tem dalej Henryk Cieszkowski: „Przyjaciół mój wiarogodny zajechał raz był na popas do Torczyna, odległego o kilka mil od Hrynowa, gdzie mieszkał Malczewski. Żyd karczmarz opowiada mu, że jakiś młody pan przypędził tu wczoraj konno, zhasanego konia puścił samopas, a sam wlaź na poddasze karczmy, gdzie bez pokarmu i wyrzeczonego słowa dotąd siedzi. Zaciekawiony nasz znajomy każe się prowadzić na poddasze i w młodym panu poznaje Antoniego Malczewskiego w sianie po uszy, z książką w ręku, a tą książką było pismo święte, w którym głęboko był

pogrążony. Musiał całej użyć wymowy, aby jakby ze snu oczuczonego namówić do odwrotu“.

Uwięzi kiedyś podobnie pani Dudevant Szopenka i zmarnuje Musseta, ale to było straszniejsze. Rucińska zmieniała powoli Malczewskiego w szarą nicość. „Widziałem go w Warszawie — pisze brat ks. Fryderykowej — zmienionego dziwnie. Z owego adonisa zobaczyłem człowieka, wyglądającego na pastora luterskiego, w jakimś żałobnym, półduchownym stroju, był całkiem zajęty magnetyzmem“.

Stał się teraz cichy i bierny, obojętny na wszystko, bardzo religijny. „Nad przepych świata i blasków pozory, widniejsze pióra białe znużonej pokory“. Zgubił gdzieś zupełnie swoją dawną radość życia i uciechę samotności, zapomniał o rozkoszach walki ze światem, o której pouczał go kiedyś wielki buntownik lord Byron. I jego duszę, jak „uciśnioną duszę Konrada“ wyczerpało cierpienie, *and stupor almost lulled it into rest.*

Zgubił znachora fluid magnetyczny, ten sam, który Shelleya uleczył. W tym samym czasie nieomal doznawał twórcą „Prometeusza“ najśłodszych wizyj w śnie magnetycznym, ilekroć mu dobra miss Viviani rękę na czole położyła. I modlił się do niej w ekstazie:

Spij, śpij! Zapomnij troski świata
Już na czole ręka leży
Nad Twym mózgiem duch mój wzłata
A z mych palców płynie świeży
Prąd życia...

W wołyńskim Arielu tymczasem życie gasło. Pokorny jeździł za swą Sykoraksą. Co było do sprzedania sprze-

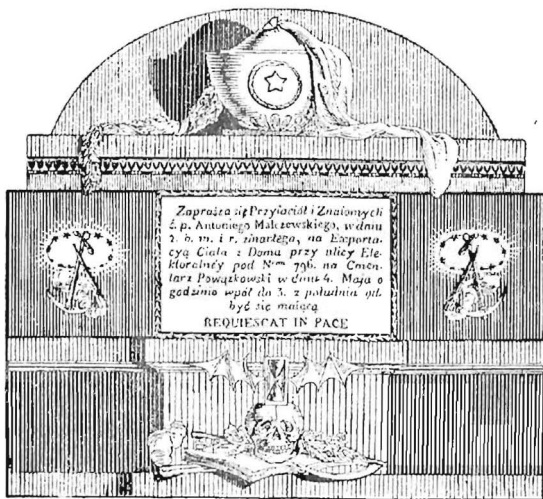
dał, a grożącej nędzy apatycznie patrzył w oczy. Opadało go teraz tysiąc skrupułów, których nigdy w życiu nie miał. Np. w r. 1823 tak pisał z rezygnacją do Franciszka Skilickiego: „Nie innego robić nie pozostaje, chyba panią R. zatrzymać przy sobie i narazić się na niesławę i prześladowanie od konsystorza, a mógł-żeby inaczej postąpić człowiek mający jakiegokolwiek szlachetne uczucia? Ruciński pisał do żony, że sam chce i pragnie najmocniej rozvodu“.

A Sykoraksa? Po latach wielu tłumaczyła jak mogła swą niewinność: „Używając magnetyzmu codziennie przeniósł się do naszego domu i po całych dniach był mi nieodstępny... Ja poddawałam się temu, nie przewidując udręczeń mnie czekających... Trzy lata trwało działanie pod okiem męża i brata... Nakoniec związek tej niepojętej mocy zrządził konieczność rozvodu, który już był na skończeniu, kiedy Malczewski umarł. Wyjechaliśmy po to do Warszawy. Mąż mój zezwolił na bolesną rozłączenia się konieczność. Ta to jest jedyna przyczyna, żadna inna, że ja z Malczewskim przez sześć lat byłam razem. Bóg tylko jeden zniszczył to, co nie było z jego wola“...

Więcej dla chleba, jak dla dawnych zamierzeń górnych przypomniał sobie Malczewski, że pragnął być kiedyś poetą. Aby ludziom o tem powiedzieć, wydał drukiem „Marję“ powieść ukraińską. Ale ludzie nie chcieli kupować książki, choć cena była niższa: 50 groszy za egzemplarz. Zaś wkrótce potem umiała ją cała Polska na pamięć.

Gdy umarł, wartość sprzętów nie pokryła kosztów apteki. Na pogrzebie nie widziano żadnej z pań w szalu kaszmirowym. *Vulnerabant omnes, necavit ultima.* Po

śmierci Ariela, który był duchem dobrym, wróciła pani Rucińska do męża i żyła jeszcze w dobrym zdrowiu długich lat trzydziści. I może przypomniawszy sobie poetę, gdy w r. 1831, w pięć lat po śmierci rząd rosyjski skazał Malczewskiego na wygnanie z kraju za — udział w powstaniu listopadowem...



SAMARYTANKA I PENTESILEA

*A wiesz-li kto jest ten anioł smutny
na cmentarzu? Oto zowie się Elce,
a urodził się z kzy Chrystusiej na
Golgotcie.*

Anielli



Josef, Kucenski del.

(De la Coll^{ne} de L. Chodźko)

James Boparc. sc.

CLAUDINE POTOCKA

née Potocka

*En. à Paris par Tard. le 27 Oct 1859
Mort à Paris, le 22 Juin 1858*

Były dwie kobiety wśród pań romantycznych, które również miały serce, lecz je złożyły na ołtarzu Sprawy, które także patrzyły w serce, lecz cherubińskim wzrokiem aniołów, a na język aniołów przetłumaczyły pojęcie romantycznej miłości. Nie biegły szukać jej w oczach poetów, ni na ruinach Kolizeum czy nad szwajcarskich jezior brzegiem. Dlatego w ewangelji, którą kościół romantyzmu podał do wierzenia swym wyznawcom, zalecono modlić się do nich codzień, a kalendarz narodowy pomnożył się o dwa świątobliwe imiona. Niby kartę z żywotów świętych przekazano nam życie obu pań, a rysy ich otulił gwiazdami wyszywany płaszcz legendy. Promienne glorię, wstąpiły w niebo poczci wieszczki: Klaudyna Potocka, jałmużnica i kwestarka, i Emilja Plater, wódz powstańców, dziewica-bohater.

O Klaudynie Potockiej wiemy tyle, że była najofiarniejszą z samarytanek listopadowych, że w czasie powstania pracowała pilnie w szpitalach epidemicznych, a potem na emigracji dowiodła wielkiej energii w zdobywaniu ze sprzedaży klejnotów środków na utrzymanie emigrantów, w organizowaniu gospód, przytulisk i szpitali. Markietanka poetów zapatrzonych w gwiazdy, opieko-

wała się troskliwie suchotnikiem Garczyńskim, wspomagała prasę emigracji, przysporzyła potrzebnych funduszków gen. Bemowi, Zaliwskiemu i emisariuszom, którzy jej dobrą wiarę niegodziwie wyzyskiwali. Wyzbyta wszelkich potrzeb osobistych, nielubiana przez *high-life* jako demokratka była przewidującą, praktyczną i miłosierną „siostrą wszystkich nieszczęśliwych Polaków”. Dzięki stosunkom rodowym z arystokracją Europy wykołatała wiele ulg i pomocy dla emigrantów. Ponadto nie lubiła Paryża, „miasta, które wszystko zaciera w duszy” i — poezji Słowackiego. Poślubiona słynącemu z dowcipów Bernardowi Potockiemu, o którym mówiono, że gdyby można Polskę zbawić *par un bon mot*, onby tego dokonał — umarła z wycieńczenia w Genewie w r. 1836.

Oto, co wiemy o Klaudynie Potockiej. Lecz to wcale nie wszystko i nie wystarczy wcale uszanować w niej tylko śliczne poświęcenie wielkiej pani, szyjącej bez złoto- naparstka koszule dla obdartych żołnierzy. Nie wystarczy to pod groźką łatwy romantycznego kościoła. Przeglądamy więc raz jeszcze rejestr jej zasług i czynów, czynów dobrych, ale nie orlich i ciągle jeszcze nie wiemy dlaczego woła poeta w wierszu natchnionym, że pierwszym obowiązkiem wolnej Polski będzie przewieść zwłoki Klaudyny na Wawel, czemu zapewniają inni: „oto najwyższa w duchu istota, jaką znaleźliśmy w życiu”, i czemu to Mickiewicz jej tylko, jako jedynie godnej chciał poświęcić „Pana Tadeusza”, dlaczego wreszcie nawet arcykapłański *prestige* trzech wieszczów błędął wobec tej tajemniczej kobiety?! Pomimo tysiąca legend o złotem sercu, nie rozumiemy i szarą wydaje nam się postać owa tak długo, dopóki jej nie otoczy blaskiem gorejące światło

czarnoksięskiej latarni romantyzmu!... A oto słowa —
nimby i słowa — glorie.

Mówi najpierw Mickiewicz:

„Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może nat-
chnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi“.

Mówi Odyniec:

„Ona mi była gwiazdą moralną, podług której wszyst-
kie postęпки i uczucia sądziłem“.

Mówi Aleksander Jełowicki:

„Klaudyna była aniołem. Nosiła na twarzy wyraz
niepojęty dla tych, którzy jej nie widzieli, na widok tej
twarzy człowiek stawał się lepszym“.

Mówi Wincenty Pol:

„Postać Klaudyny unosiła się nad moją duszę jak
ulotny ustęp wielkiego poematu, jak nuta bolesnej pieśni...
Potęga jakaś ducha wiodła ją i wspierała... Ja zacząłem
pisać od owego czasu“... A teraz już nie polscy poeci, ale
cudzoziemcy. „Jeżeliby kościół katolicki piastował jeszcze
swe dawniejsze posłannictwo, pani Klaudyna mogła być
wyświęcona“. (Zdanie genewskich protestantów). Lub ze
Strassburga pisze Januszkiewicz: „Klaudyna umarła, to
już Panie wiecie. Alzaczyey ubóstwiają ją i nie wierzą,
żeby ona nie miała być aniołem“.

W takich słowach ekstatycznego uniesienia zeznają
wszyscy, którzy choćby raz spotkali panią Klaudynę przez
czas jej pięcioletniego królowania nad duszami wygnan-
ców. Tak wielbią ją wszyscy ludzie epoki, uradowani
wielce, że polski Pan Bóg dał nareszcie znak życia i ze-
stał między nich swojego anioła. W czem tkwił i skąd
płynął ten nieziemski urok samarytanki, tego romantycy
nie mówią i nawet mówić nie chcą. „Albowiem dla tych,

którzy ją znali, wszelkie słowa będą za blade, dla niezna-
jących jej, a więc dla nie mogących mieć wyobrażenia
o duszy tego nastroju, wyda się wszystko zbyt jaskrawem
i przesadzonem, lub urojonem“.

Postać jej była podobną do cienia. Wysoka, chuda,
twarzy pociągłej, ascetyczna w ubiorze i słowach. Piękna,
ale taką pięknnością, na którą nie śmiał oczu podnieść ado-
nis. Nie słowa jej jaśniały blaskiem cudotwórczym, ale
oczy. Oczy uzdrawiające żołnierzy, a zwykłych zjadaczy
chleba zmieniające w poetów, oczy „grające demonicznym
światłem natchnienia, ilekroć jej umysł ożywił się jakąś
słodką dla kraju nadzieją“. Oschłą surowość siostry miło-
sierdzia, krasila uśmiechem anielicy Moora. Była pokorną
„przeraźliwie“, była jasną, trzeźwą i praktyczną, „ale ro-
zum jej przybierał wszystkie barwy tęczowego życia, ile-
kroć wzniosł się nad ziemię“.

Gdy po upadku Warszawy wielotysięczne rzesze dą-
żyły z Polski do Francji, wiodła je pani Klaudyna, czcig-
zabobonną otoczona, energiczniejsza nad wodze i dyktatory,
Kłótlivi emigranci, którzy warcholstwem w grób Polskę
wpedzili, wobec niej umieli się zdobyć na najwyższy he-
roizm: posuszeństwa. Była jako oliwa, wylana na spie-
nione bałwany potępieńczych swarów. „Wszystko się od
niej zaczyna, albo staje przez nią i kończy na niej“ —
mówiono w Dreźnie w r. 1832. A jakże znamienity jest
list Mickiewicza do Domejki: „Wkrótce ona stąd odjeżdża
i nie wiem potem, co się z nami stanie“. Tajemniczemu
wpływowi samarytanki ulegał jednako schorzały wiarus
w szpitalu, jak bogom równy wieszcz na Parnasie i obaj
ją „panią swoją“ nazywali.

Pod powłoką skromności krył się zaprawdę duży ta-

lent organizacyjny. Potrafiła nawet poetów zmobilizować. Coraz gdzieś wysyła Odyńca, Pola, Witwickiego, a nawet Adam Mickiewicz musi w te pędy biegać po Dreźnie.

(„Zapytywała go, ilu jest zanotowanych oficerów i żołnierzy, potrzebujących wsparcia i poruczała mu pieniądze do roznoszenia. Udawał się do różnych hoteli, zajazdów i prywatnych mieszkań, częstokroć daleko na przedmieściu i za miasto, aby je odnieść według adresu“.)

Przez sześć lat czyniła dobrze wygnańcom kwe-
starka, jałmużnica i pocieszycielka, która „majątność swą jako skarb zawsze otworzony uważała“. Błogosławiły jej rzesze wygnańców w Dreźnie, Genewie i Strassburgu. Wincenty Pol przez nią uczuł się poetą, a Mickiewicz, kończący „Tadeusza“ donosił: „Umyśliłem pieśń pani naszej poświęcić dla zachęcenia siebie samego w pracy. Zwyczajem autorskim proszę Panią o pozwolenie dedykowania“. Nie pozwoliła.

Potem strawił ją wysiłek nadludzki. Leczyła się w Pirenejach, powrotu Klaudyny do Paryża czekali jak wielkiego święta emigranci. „Na *rue de la Pepinière* — tak pisał Mickiewicz — gotujemy wielkie fety na przyjazd Pani. Będzie zupa kwaśna, kureczka i nawet dla Pani pół butelki wina szampańskiego, ażeby Ją rozweselić“.

Lecz już na fety nie przyjechała. Umarła w r. 1836 w Genewie, gdzie wystawiono jej pomnik, a w sercach zbudowano kaplicę cnót niewieścich. Mówią też, że od jej śmierci począł się poryw mistyczny wśród poetów. I długo jeszcze trzymała dusze w niewoli, usymbolizowanej w srebrnych pierścionkach noszonych przez dwa pokolenia kobiet z napisem: Klaudyno módl się za nami!

Jak to wytłumaczyć, czemu przypisać? To pewne

że owa więź sugestywna jednej ofiarnej samarytanki płynęła z ducha czasu, w którym poetami byli nie tylko poeci, ale żołnierze, dyplomaci i zegarmistrze. To pewna, że taki anheliczny kult poświęcenia mógł powstać tylko w granicach owej Polski idealnej, po której polach elizejskich przechadzały się łoleściwe cienie Róży Wenedy i Atessy, Cecylje Metelle i królów duchów umiłowane. Polska, która była Chrystusem narodów, miała swą Ełog z łzy Chrystusowej urodzoną — Klaudynę.

Jak drogie relikwie przechowywali romantycy listy Klaudyny. Podnosiła ich dusze w słowach kazalnych i mówiła o sobie po prostu: „Żadne utudy szczęścia nie wiążą mnie z życiem i czuję najmocniej, że byłabym umarła, gdyby nie siła, którą daje przeświadczenie obowiązku. A któż wzdychać może za spoczynkiem, dopóki czuje w sobie zdolność otarcia choćby jednej łzy!”

Zresztą nie wypowiadała się w pismach. To lepiej, bo gdyby pisała o rzeczach górnych i podniosłych, pomnożyłaby zapewne szereg Klementyn Hoffmanowych i nie utrzymałaby się może na kolumnie sławy, błękitów nieba sięgającej. A tak pozostał po niej tajemniczy, w mroku zaświatów niknący cień. I pozostał niezmierny stygmat jej istnienia, wyciśnięty na sercach przewodnich duchów romantyzmu.

A teraz obaczmy inne wyzwoliny duszy, zmęczonej szarżyną. Oto psalm pokutny na piosnkę żołnierską odmieniony! Niech romantyczna pani na siódło ułańskie wskoczy po męsku, niech srebrne ostrogi do butów maluchnych przypnie i niechaj bije Moskala!

Znowu nie kto inny, a romantycy kazali być kobiecie Pentesileją. Grażyna przybrała mundur powstańczy i nie było w tem nic dziwnego, że kobiet walczących w r. 1830 nie brakło. Szesnastoletnia panna Tomaszewska uciekła do kawalerji z klasztoru Benedyktynek w Krożach, Wilhelmina Kasprowiczówna (lat również 16-ście) zginęła na polu walki pod Wilnem, Raszanowiczówna zbiegła do szeregów z posady nauczycielskiej. Były i inne, choć nie zawsze świetnej sławy. Kapitan austriacki Penck, komendant internowanych w Zatorze oficerów z pułku Samuela Różyckiego donosi w r. 1831 do Wiednia: „Rotmistrz Szepetycki oświadczył mi, że jest niewiastą, zowie się Magdalena Wojciechowska i pochodzi z Litwy. Poszła do powstania, by pomścić śmierć powieszzonego brata. Była bardzo waleczna. Zdaje się, że miała stosunek ze swoim służącym... Znowu znalazł się drugi kobiecy olicer, Tomasz Łubiński, porucznik strzelców. Jest to Tekla Sobilewska. Wyprawiłem ją także za Wisłę“...

Lecz biały pióropusz nieśmiertelności tylko jedną ozdobił kobietę i tylko Emilję Plater okrzyknął zachwycony naród emigrantów polską Joanną d'Arc.

Panna z rodu, który oddawna miał temperament w herbie. Inflanckie Platerzy, szcząc się pochodzeniem od zakonu rycerzy mieczowych i komturów wendeńskich, dawali Polsce w każdej epoce ludzi tęgich i bujnych, ongi kasztelanów, wojewodów i podkanclerzych, potem żołnierzy napoleońskich i blaretów, nareszcie więźniów stanu i wygnańców rapperswylskich. Trochę pod skrzydłami tych tradycyj, zresztą zostawiona sama sobie, rosła dziewczyna. Bez opieki nieżyjących z sobą rodziców, ale i poza towarzystwem słodkawych baroness inflanckich, hen nad Dźwinią

pod Dynaburgiem, w Liksnie chowała się u Zybergów. Pierwszą ochmistrzynią panienki była Dziewica orleańska. Powiesiła sobie portret Joanny nad łóżkiem i pilniej niż inne hrabianki jeździła konno, a przy lekcjach matematyki kładła na stole nabite pistolety. Złaje się, że nie uroniła ani jednej łzy nad Korynną i wcale nie miała sztambucha. Atoli inne fale czasu dotarły do zamku nad Dźwiną i wkrótce w panińskim buduarze hrabianki zawisnął drugi obrazek. Wtedy właśnie powstała Grecja, a jej walka o niepodległość budziła zachwyty wszystkich uciśnionych narodów świata i rozpaliała do białości dusze. Gdy lord Byron ogłosił wojnę świętą w obronie Hellady, gdy Seweryn Goszczyński chciał iść do Missolongów piechotą, gdy Spitznagłowi kazano tam płynąć w „Becu ównej trzewiku“, a Julek Słowacki z Ludką czytali razem historję Ipsyntego nad brzegami Ikwy — wtedy i Emilja Plater myślała z zachwytem o Bobelinie, owej heroiczej Greczynce, która uzbroiwszy własnym sumptem trzy okręty, brała udział w wielu krwawych bitwach i zginęła od zdradzieckiego sztyletu. Romantycznego wychowania panienki dokończył Adam Mickiewicz, który nauczył ją mierzyć się na zamiary i wskazał trzeci wzór kobiety: Grażynę.

Idealy były gotowe. Wątle i słabowite dziewczątka uznało najpierw za konieczne posiąść tajemnice strategji. Miły i inteligentny sas, kapitan inżynierji br. D. pomagał pannie Plater w tej dziwnej nauce. Szczęściem, że nosi znicnawidzone szlify oficera rosyjskiego, gdyż inaczej mogły się owe lekcje skończyć łatwo marjażem. Natomiast wyprosi grzecznie i stanowczo za drzwi jakiegoś generała rosyjskiego, który ośmielił się prosić o rękę wielbicielki



RAZIONKY de'.

EMILJA PLATER

Grażyny i Bobeliny, i odtąd stronić będzie od nadskakujących jej „amorków północy“.

Romantyzm zalecił ludziom szukać piękna i mądrości wśród ludu. Więc panna Plater, jasna hrabianka z pałacu, odwiedzała często chłopskie chałupy. „Pierwsza ona — opowiada towarzysz jej lat dziecinnych — z zapalem oddała się duszą ludowi białoruskiemu, zbierała i śpiewała jego piosenki, płaciła hojnie za ich dostarczanie i próbowała je naśladować. Na fortepianie umiała najdobitniej oddać skoczność i tęsknotę motywów ludowych, a równie dziarsko tańcowała białoruską lepiciuchę“. Nie była wcale tak piękna, jak mówią poci. Niska, blada, nie urodziwa, słabej budowy, ale sympatycznej twarzy, małowowna, raczej surowa niż ujmująca w obejściu, spojrzeniem nakazywała względy należne tytułom swoim i człowieczeństwu.

A po zgłębieniu wszystkich górnych i podniosłych rzeczy, jakie były do poznania w Inflantach, kiedy tajne spiski, zawiązywane wspólnie z braćmi stryjecznymi Luckiem, Cezarym i Ferdynandem nie potrafiły życia wypełnić — panna Emilja jedzie na wojaż w głąb Polski. Zgorziona Warszawą i Konstantym, zachwycona Krakowem i Wawelem, porwana Pieskową Skalą, bo tam w zamku Kmitów wisiał na ścianie stary portret jakowejś panny Wiełopolskiej, która kiedyś przed wiekami gromiła w męskim stroju Turki i Tatory. Panna Plater ma już wtedy lat 23, ale patrzy na stare płótno z tą samą egzaltacją dziecka, kiedy przypinało obrazek Joanny nad łóżeczkiem, patrzy i z tem większą niecierpliwością ogląda się za jakimś romantycznym zajęciem. I coraz rośnie żądza czynu na miarę wszystkich trzech swoich ochmistrzyń.

A wtedy podchorążowie uderzyli na Belweder. Cokol-

wiekbądź powiedzieliby o tem miały inflanckie baronessy, Emilia Plater ostrzyła włosy. Życie zaczynało być piękne. Ogień rozniecony przez trzy westalki buchnął płomieniem! Naprzód pojechała do Wilna, aby się tam porozumieć z komitetem powstańczym. Spiskowcy nie chcieli naturalnie mówić z białogłową. Wróciła do domu, aby działać samotrzeć z kuzynami. Przedewszystkiem trzeba przyłączyć Inflanty i Białoruś do wolnej Polski. W tym celu należy zdobyć Dynaburg, który w każdym razie przyda się Polsce. Na radzie wojennej postanowili Lucek, Ferdek i Emilia Platerowie, że zdobędą twierdzę Dynaburg. „Szczególniejsza scena zaszła między tymi osobliwymi figurami — tak opowiada jeden z litewskich powstańców. — Młoda panienka nie mająca prawa rządzić sama sobą, przyrzekła uroczyście, iż rozkaże kilku tysiącom chłopów rzucić się na Dynaburg. Trzej uczniowie szkoły wojskowej, mniej możni od najniższego oficera, obiecali wydać twierdzę, która, jeśli niczem więcej, to przynajmniej była dla nich mocnym więzieniem.

Podchorążowie starożytnym obyczajem pasowali towarzyszkę spisku na rycerza-pannę i, jakby dla tego właśnie, że ten rycerz miał być powstańcem litewskim, darowali mu, zamiast przypasać miecz do boku, małą strzelbę myśliwską“. A potem wdziała Grażyna mundur powstańczy: szerokie do ziemi szarawary, szaraczkowy surdut po bok z czerwonym kołnierzem i kreską koronkową, na główkę włożyła z fantazją męski kaszkiet i srebrną ostrogę u butów. Trojgu wodzom brakowało jeszcze żołnierzy. Tych wzięto naprzód z Dusiat, majątku Cezarego Platera, gdzie po nabożeństwie niedzielnem panna Emilia przemówiła do ludu i zaraz 200 chłopów stanęło pod bronią. Na-

turalnie wyprawa na Dynaburg nie udała się, pomimo że wzięto do pomocy jeszcze jedną kobietę p. Pruszyńską. Ale niepowodzenie bynajmniej nie ostudziło zapalów panny, która pamiętała zawsze, że i żywot Darczanki narastał cierniami. Nie przyłączono wprawdzie do Polski Dynaburga, ale generał rosyjski Szyrman w krwawych utarczках z powstańcami doświadczył na swej skórze kilkakrotnie, jak pilnie uczyła się p. Plater strategji u br. D. A walczyć wypadało stale z wrogiem podwójnym: z kozakami i z opinją, wzbraniającą kobiecie „przytrudnego rzemiosła wojennego”. Każdy z dowódców, do którego się zgłaszała, witał pannę i jej oddział z entuzjazmem, ale gorąco namawiał, by zostawiwszy swoich ochotników, wracała szybko do domu. Być może, emigracyjni wielbiciele Platerówny przebrali miarę w opisie jej czynów frontowych, w opowieściach o heroicznie wygranych bitwach i cudownych ocaleniach z niewoli — w każdym razie służbę pełniła dzielnie, a na koniu trzymała się odważnie. Dotąd miała hrabianka adjutanta w osobie panny Pruszyńskiej teraz zmieniła go, znalazłszy po drodze towarzyszkę i przyjaciółkę Raszanowiczównę. Adjutant był przystojniejszy od kapitana i bardzo wesoły. („Z pod szerokich brwi panny Raszanowicz uśmiechały się ciągle śliczne czarne oczy, jak gdyby jej dusza we wszystkim widziała tylko igraszkę wesołą”) Z „frejszyców” Karola Załuskiego przeszedł hufiec Platerówny do oddziału Parczewskiego, który połączył się wkrótce z idącym na Litwę Chłapowskim.

Generał Chłapowski, który miał świetne imię z czasów napoleońskich i 680 źle ubranych żołnierzy a chciał się połączyć z Gietgudem, przyjął hrabiankę bardzo uprzejmie, szczególnie ucieszony dobrym ekwipunkiem jej od-

działu. Całem sercem rad był nowym żołnierzom również całem sercem namawiał dziewczę w pięknym kostjumie, aby wraz z swą figlarną towarzyszką wróciła do domu, tłumacząc także, że przytrudna służba wojskowa nie przystoi płci niewieściej. Na to panienka:

— Jenerale! Dopóki Polska nie odzyszcze zupełnej swobody, postanowiłam być żołnierzem!

Cóż było robić? Mianował ją honorowym szefem pierwszej kompanji w pułku Litwina Macewicza i pozwolił na służbę w linii. Koroniarze, którzy jeszcze nie znali twardej niewiasty, protestowali przeciw kalaniu świętego rzemiosła żołnierskiego i patrzyli na damę koso, szukając, w którym kącie namiotu dojrzą crosa. (Bo cóż innego mogło przywieść hrabiankę do obozu?) Być może dlatego Platerówna nie ruszała się krokiem bez swej adjutantki, a zresztą była nachmurzona, posępna nawet w uśmiechu i mało zajmowała ludzi swą osobą. „Przypominam sobie — opowiada adjutant pułkowy Domejko — że któregoś wieczora przy obozowem ognisku toczyła się w poufnej rozmowie rzecz, czy kobiety mogą brać czynny udział na placu boju w bataljach, a wielu oficerów i ja potwierdzaliśmy przez grzeczność opinię walecznej hrabianki, że kobiety powinny mieć udział w boju za ojczyznę... Macewicz tylko był przeciwnego zdania“.

Tymczasem hrabianka ćwiczyła pilnie brudnych rekrutów, mając wiele z nimi pracy, bo 25 pułk piechoty liniowej świeżo zorganizowany nie przedstawiał zbyt dobrego materiału wojskowego. Powoli lody tajały. Żołnierze przyzwyczajali się z czasem do panny kapitana, a szeregowiec Konstancy Gaszyński napisał na tornistrze wiersz deklamowany z zapałem w szeregach:

Czyż Bóg, któremu walka o wolność tak miła
W pomoc dzielnym powstańcom dwóch aniołów zsyła
I mieczem wybawienia święte stroi dłonie
Jak niegdyś Orleankę ku Francji obronie?

Białe pióra legendy zaczęły już stroić wieczyste
wałką postać dziewczęcia z pod Dynaburga... W walkach
pod Wilnem Platerówna udziału nie brała. Pułk Macewicz-
cza wysłano w tym czasie na załogę do Kowna, gdzie na
cześć Grażyny w mundurze powstańczym, odbył się uro-
czysty bankiet w gościnnym, a dobrze nam znanym domu
państwa Kowalskich. Nieszczęsna pani doktorowa, która
z racji Mickiewicza tyle łez przepłakała, podejmowała te-
raz u siebie jego duchową uczenicę. Musiały chyba obie
panie płonąć się szkarłatnym rumieńcem, a cień wielkiego
Litwina-wygnańca przytomny był wciąż ich rozmowom.
Nazajutrz w towarzystwie kilku oficerów pojechała panna
Emilja na wymarzoną oddawna przejażdżkę, do doliny
kowieńskiej. Brat Mickiewicza, Franciszek, który służył pod
Chłapowskim, był z nimi. Gdy przyjechali na miejsce, Pla-
terówna przemówiła dość gorąco i podniosło, a Odyniec
zapisał później w rymach jej słowa, zaprawiwszy je ekliwą
słodyczą:

Tyś jest przyjaciel, brat Mickiewicza...
Jeśli go kiedy jeszcze zobaczysz
Gdy sobie o mnie przypomnieć raczysz
Powiedz, że jedna dziewczyna młoda
Gdy przeczytała pieśń Wallenroda
Wzięła broń w rękę, nie żeby słynać
Lecz by za Polskę walczyć i zginąć!
Może, gdy umrę pod tą potwarzą
Jak Orleanki pamięć zniczają,
Lecz żadna z Polek, żaden z Litwinów
Wiem, że z mych sztydzić nie będzie czynów.

Lecz wkrótce wypadło w ogniu cofać się z pod Kowna.

Był to czerwiec roku 1831, siódmy miesiąc wojny narodowej, którą jakże inaczej wyobrażała sobie marzycielka! Odczuwała gorzko w swej żołnierskiej duszy wszystką bezsilę i niezaradność powstania, patrzyła własnymi oczyma na bezhołwie kampanji litewskiej. Z tem większą rezygnacją pełniła obowiązek żołnierza, nieustraszoną w obronie taboru pod Szawłami, zażenowana, gdy ją spadającą z konia uratował zrzędzący na babską wojnę Macewicz, i dumą promienna, gdy kapitana Platerównę za dzielność w rozkazie pułkowym pochwalono.

A kiedy nad powstaniem litewskiem zawisła hańba kapitulacji, albo przekroczenia granicy Prus, pannę Plater porwała wściekłość. „Okolo roznieconego ogniska — opowiada dalej Domejko — siedziało wielu nas Litwinów w towarzystwie Platerówny i jej nieodstępnej towarzyszki. Przez całą noc ciągnęła się rozmowa naprzemian smutna i pocieszająca. Pytano się wzajemnie, dokąd idziemy?

Błada i spokojna mało się do rozmów mieszała. A kiedy widziała weselących się: Cieszcie się, rzekła, prowadzą was do Prus, na hańbę narodu! Na trzeci dzień pożegnała nas odjeżdżających wejrzeniem pełnem dumy, wyrzucając nam gorzko, dlaczego dajemy się prowadzić do Prus.

Potem pobiegła do kwatery generała by zapytać, czy istotnie ta hańba już nieunikniona. Dowiedziawszy się prawdy, rzuciła mu wzgardliwe słowa:

— Szczęśliwej drogi generale! Jedź sam!

Generał zemścił się zato, nie uczyniwszy ani wzmianki o panience w swych pamiętnikach, a Platerówna

postanowiła wraz z towarzyszką i Cezarym Platerem, przedrzeć się do Królestwa, gdzie dalej jeszcze walczone. Przez dziesięć dni trwała wędrówka z Litwy do Warszawy. I wtedy wyczerpana padła bez sił w owej poetycznej chatce z wiersza Mickiewicza.

Wiść o kapitulacji Warszawy, była dla niej stosem śmiertelnym Darczanki. Strawił idealistkę ogień bezsilnej rozpacz. A potem wzięła ją pod swe skrzydła królowa wieków legenda. O Emilji Plater pisały żurnale całej Europy. Pieśni o niej śpiewano i sztuki grano w teatrach francuskich. Były wiersze angielskie, włoskie, niemieckie i francuskie, a w jednym z nich p. Maurice Justin dziękował Dziewicy orleańskiej, że się po raz wtóry na świecie pojawiła.



DONNA GIOVANNINA

*Dla ciebie wszystko straciła na ziemi
Dla ciebie drobne porzuciła dzieci.*

Krasinski



Te panią wpuszczają do świątyni romantyzmu tylko niechętnie przez tylne schody, w gęstej woalce na twarzy. Przesłuchuje się ją opryskliwie jako świadka: a dlaczego Krasieński napisał Irydiona, a czemu ją tak pochwalił w „Nocy letniej“, a jakie to drobne opuściła dzieci, potem patrzą, czy naprawdę podobna do ks. Rahosa i do hrabiny Idalji, a potem mówią biednej kobiecie, wplecionej w iksyonowe koło neurastenji dwóch poetów, żeby wracała do domu, bo się źle prowadziła.

An total nie jest rzeczą godziwą wyrzucić za drzwi harfiarkę, która trącała przedziwnie w struny harf wieszczych obu Wenedów i łańcuchem muślinu połączyła Lelum i Polelum w jednym buduarze, która nad duszą hr. Henryka sprawowała rządy przez lat wiele, Stowackiego „rzuciła na dno morza między gwiazdy nimfom świecące“, a jeśli do kogo to do niej napisano najpiękniejsze w języku polskim listy miłosne. Być może, daremnie szukał w niej tęczyowy mityk „kobiety wielkiej“, ale nie mówcie także, że się wprosiła na Olimp li jeno prawem pięknej buzi, skoro cudowny zaprawdę był lot kobiecej intuicji i wznosił ją do wyżyn rówieśnych. Chociaż sama jak „płotka w kryształowej wodzie litewskiej“ rzuca się w gwiazdzistej sieci, choć stra-

szliwym pieniądzem Ofelji płaci za harfiarstwo, umie przecież bystro patrzeć w głąb wieszczych istnień, — obgadana do syta przez rozmaite hrabiny z Chrystusem w pierścionku, a przecież jakże biała i czysta wobec rozbestwionych kurtyzan romantyzmu, wobec Aurory Dudevant i pani de Flahaut i ks. Belgiojoso — jakże biała i czysta pani Bobrowa.

Przed tem wszystkim kolor jej życia i duszy był jaskrawy, ale dość pospolity. Pani Joanna urodziła się w r. 1807 w Krakowie, choć wolałaby w Paryżu i nieco później. Do trudnej roli bohaterki na teatrze wieszczej poezji sposobila się najpierw w szkole radości życia na Wołyniu. Tę pensję znamy chyba dobrze. A więc dom matki, francuski od znaków na bieliźnie aż do liberji stangreta, a więc posłuszny los — kamerdyner, niosący na srebrnej tacy wszystko, czego się zachce. A jeśli łza wylana, to chyba nad romansem p. de Staël, a jeśli ząbek zaboli, to — jak Bogiem świadczy się Imć Turkuł — sławny dentysta z Wiednia osobną sztafetą do Zahajec przyjedzie. Rzadkie lekcje malarstwa i muzyki, częstsze hysterji i nerwowości, której naucza chora na serce przyjaciółka panna Paderewska, Ewunię Ankwiczówną, jeżdżącą na osiołkach w Rzymie podziwiali Odyniec z Mickiewiczem, p. Joannę zaś zapamiętał cwałującą na osiołku wzgórzami Czerczy rówieśny jej prawie chłopczyk, zwany Julkiem Słowackim.

Zresztą czasy nastały teraz dziwne i niewiadomo w jakim *fashion'ie* ukształtować serce. Wabi jeszcze trochę wypłowiałe rokoko i miła po niem pamiątka w rodzinie

starostwo z daru króla Stasia, lecz znowu ciągnie więcej nowa parwenjuszowska wprawdzie awantura *empiré'u*, która jakkolwiek kucharki mianuje diuszessami, ale olśniewa też tysiącem rzeczy przedziwnych w swej złoconej serwantce. Oto pięści dusze nowa opera włoska, *ce merveilleux maître Rossini*, tzy płyną nad romanssem Walerji, *cette bonne baronesse de Krüdener*, i oraz tyłu, tyłu ludzi ciekawych na świecie; *cet excellent archiduc Charles! cette aimable princesse de Liegnitz! ce chér prince de Metternich*, nakoniec *cette aimable madame de Staël*, patronka i orędowniczka dusz zboliałych, którą tak niedawno widziano na Wołyniu, jadącą na wygnanie w Rossieju. Ach i te jeszcze narodowe komeraże. Pan Czacki robi opodal wiele hałasu swoim Krzemieńcem, ale są to sprawy niestychanie mało interesujące.

W takim dziwnem i zachwyceń pełnem powietrzu urosła Joanna Morzkowska w najpiękniejszą pannę Wołynia. I dlatego ożenił się z nią Teodor Bóbr, który miał pozatem najgościnniejszy dom w Zahajcach i najlepszą kuchnię na Wołyniu pod pieczęcią prawie genialnego Minella. P. Morzkowska poszła za mąż, czyniąc sobie przyjemność, a mężowi zaszczyt. Teodor Bóbr, syn sprytnego radcy stanu w służbie rosyjskiej, *nouveau riche* zbożacony dopiero w drugim pokoleniu, był człowiekiem przystojnym, grzecznym i bogatym. Królikowie wołyńscy patrzyli nań przez ramię, więc musiał ich kaptować czapką i papką. Stąd domy otwarte i w Żytomierzu i Zahajcach, stąd szampanem płynąca gościna w najmilszym pałacu, gdzie goście miesiącami przesiadują. (Pp. Stecki, Karwicki i Berlicz Sas do niedawna jeszcze o tem opowiadali). Gościnnie człowiek został w r. 1826 marszałkiem powiatowym w Krzemieńcu,

i dumny ze swej kochającej żony, woził jej piękność powszędy. Na operę włoską do Petersburga, na kontrakty kijowskie, do Zofjówki. Zofjówka, przesławna *ville lumière* rokoka, rzuciła jeszcze ostatnie blaski swej wspaniałości. Jeszcze błyszczały perły jej wodospadów, posrebrzane smętkiem miesiąca, właśnie na modrych falach jeziora mknęły baciki kształtu łabędzi i snuł się cudny śpiew z Tankreda *di tanti palpiti*. Pływają też niby wspomnienie szumnych gestów złote rybki w stawie, ale stygmat innych tęsknot, tych samych, które kuzynka emira Rzewuskiego pognały na wschód — naznacza dusze. Stygmat tych tęsknot musnął może już wtedy niewiele o sobie wiedzącą duszyczkę p. Joanny, która w latach 1825—1827 jaśniała w Zofjówce niby nowa Zofja Greczynka. Już wtedy miała w swych rysach „coś z odaliski i anioła“, lecz ludzie tego nie widzieli. Była piękną i najszcześliwszą przez lat sześć, które przebiegły szybko, cudownie uśmiechnięte. Potem zachmurzyło się z lekka, a wszystko przez to powstanie w Kongresówce. Zaczęły się nocne narady i tajne związki w Krzemieńcu. Pan Bóbr, jakkolwiek w najlepszej zgodzie z rządem „wysadzał się — jak mówią powstańcy — na czoło patrijotów i przypuszczony został do związku bardziej z obawy, żeby nie wydał tajemnicy, aniżeli przez wiarę w jego dobre chęci“. Zanim zdecydowano się na ruchawkę, przyszedł na Wołyń z armją Dwernicki, a za nim Rydygier w pościgu. Nerwowej mateczce dwóch maluchnych córeczek zaprawdę trudno wysiedzieć w Zahajcach, zaczem p. Bóbr wystął żonę z Lolą i Sofinetką za granicę, co nie było znów ciosem zbyt dotkliwym, bo kochała męża bardzo, lecz wojaże więcej. W sam czas wyjechała p. Joanna do Drezna; wnet potem i Zahajce i Krzemieniec stanęły

w ogniu bitew, a pana marszałka zabrali niedobre Moskale do więzienia, i „z zasmarowanymi oczyma, żeby nic nie widział“ zamknięto go na pół roku w klasztorze Bernardynów w Żytomierzu. Nie miał szczęścia ani do rządu, ani do powstańców. Tymczasem młodzianka marszałkowa o niczem nie wiedząc, oglądała w Dreźnie piękne obrazy i toalety, i miłych młodzieńców na salonach p. Szymanowskiej, którzy potwierdzili zdanie Wołynia i czołem bili przed pięknnością. Julek Słowacki patrzył na to z boku i wtedy poraz pierwszy przedstawiony został pięknej współpawietniczce. Atoli stęsknioną mężatką władło wówczas jedno tylko uczucie: wrócić do p. Bobra. Więc gdy brzydkie historie powstańcze zlikwidowano w r. 1832, pani Joanna co prędzej spieszy do Zahajec. Dwór pomnożył się nieco w czasie wojażu: wiozła z sobą wymarzoną bonę dla Lolly i Sofinetki, oraz metra muzyki z małżonką. W Sobolówce, u starej p. Morkowskiej, spędzono najmilej Wielkanoc r. 1832, a gdy marszałek pojechał wkrótce potem do Odessy p. Joanna ekstrapocztą podążyła za nim, nie wiedząc dobrze dlaczego to czyni: czy, aby męża zobaczyć, czy, aby się trochę przejechać? Należało co rychlej wybrać z dylematu. Ponadto Lolly ma już rok dziewiąty, Sofinetka nie wiele mniej, przeto gwałtownie potrzebują edukacji, a w tej mierze żywi pani Bóbr ambicje bardzo wygórowane. Zaczem z początkiem roku 1834 państwo Bobrowie z córeczkami, babunią, wymarzoną boną i metrem muzyki przenieśli się na stałe za granicę, osiągnąwszy rychło weterinami boską ziemię Italji. W różowych i jedwabnych kapotkach, które wówczas w modę weszły, w pół-krynolinie, ubieranej kwiatami, w kokardach z włosów i muślinowem *camezon* — musiało być pani Zahajeckiej bardzo do twarzy.

Zobaczyli małżonkowie Wezuwjuusz i grootę lazuruwą, a na święta wielkanocne przybyli do Romy. Wielkanoc roku 1831 była śliczniejszą od tej, przed dwoma laty, bo oto święcili ją w starym pałacu wiecznego miasta, a zaraz w pierwsze święto Edward Jaroszyński wprowadził w dom ich gościa wielce znakomitego, którego zbogacony w drugim pokoleniu *nouveau riche* nie wiedział jak witać w pałacu na Corso. Był to bowiem ordynat na Opinogórze, hrabia Zygmunt Napoleon Józef Krasinski.

Pan hrabia, najwynioślejszy z ludzi romantycznej Polski, choć jeszcze nie najslawniejszy z jej poetów, nie był bynajmniej człowiekiem ujmującym. Daleki zarówno od aksamitnej grzeczności lowelasów wołyńskich, jakoteż ich urodziwości. Mały, zbyt szeroki w plecach, twarz miał nieładną, bez wyrazu, oczy schorowane bez blasku i wyglądał ponoć raczej „na biuralistę, który się nad papierami spracował“. Na otaczającą współczesność patrzył oczyma Ludwika bawarskiego, mówiąc, że jest episyjska i „cuchnie krawcem“, magnatów równych sobie lekceważył, komtesami w ezambuł pomiatał. Chorował na oczy, żołądek, piersi i nawał krwi do głowy. Ale gdy mówić począł, wtedy „nikła jego ziemiska i prozaiczna powierzchowność, a słowo było tak duchowe, jak gdyby nie miało z ziemią żadnej styczności“.

Voici, voici! Już w pierwszym dniu świąt Wielkiej Nocy zauważyła to pani Joanna. Że do niej nikt tak dotąd nie mawiał na Wołyniu nie dziw, skoro wogóle tak dotąd nikt nie mówił w Polsce... Urokowi słowa ulegali wszyscy słuchacze Krasinskiego, nawet Napoleon III, lecz ileż więcej gorących płomieni musiał teraz przydać opowieściom, skoro na widok pani Bobr „serce kołatało mu się w pier-



JOANNA BOBROWA

siach, jak kopyta koni". Słuchaczka zapadła odrazu w jasyr słów poety, który rozmawiał, równając węgle na kominku pałacowym przy placu Corso. To pewne, że jeszcze wtedy ani połowy słów przedziwnych nie rozumiała, nie widząc wcale jak się „w tym człowieku rodzi nowy ideał wieków, pełny czarów“, lecz działały się w niej rzeczy jakieś tajemne i niedocieczone. Nieznana moc słów, uśpionych pod skrzydłami rozmowy, porywała śliczną, lecz przeciętną *poulette* ze stepu gdzieś daleko w wyż. Gwałtowne przeistoczenie duszy kobiecej dokonywało się w rzymskim pałacu.

A Krasieński? Dozwólcie mu mieć jeszcze lat 23. Don Juan, umazany w *eltschmerze* i skryty w pysznych fałdach byrońskiego płaszcza, nacierał coraz mocniej. („Uważałem wtedy za chlubne pojąć kobietę, której wdzięki sławiono, której dobrą sławę ogłaszano“). Lecz zaraz potem wieczne miasto, które było miłością przed wiekami i przez wieki, kazało Don Juanowi pokochać bardzo i oddało mu na zawsze duszę pani Joanny.

Przez trzy miesiące byli odtąd nieprzerwanie z sobą i dla siebie. Choć ich nigdy ani na krok nie odstępował pan mąż Bóbr i *grande mère* Morzkowska, i tuzin pań rzymskiej Polonji z mułu i szpilek utlepionych i chociaż często słyszeli jednaki głos bony wołającej na Lolę i Solinekę: *allez chez votre chère maman*. Lecz cóż to wszystko wadzić mogło, gdy wziął ich w opiekę genjusz romantycznej miłości i użytył ordynatowi Opinogóry wszystkich najkosztowniejszych stylowych dekoracyj swego czasu. Drzewa oliwne i mauzolea Romy, Tybr, cyprysy i loggie Rafała błogosławiły ich szczęściu. Signora Unger śpiewała dla nich Paryżynę w teatrze Apollo, a ks. małżonek Azo szalał

w duecie zazdrości. Ubierali się codzien w lazur dnia na ruinach Kolizeum i w błękity pian przy wodospadzie Terni. Wszystkie gwiazdy nieba włoskiego migotały wieczorem ponad polskimi sosnami willi Borghese, a Danieiewicz Webera grał na fortepianie. W orszaku świętojańskich robaczków jeździli na konne spacerzy w Florencji. („Czy pamiętasz, jak te wieczory florenckie były czyste i spokojne? Czy pamiętasz, jak galopowaliśmy o zmroku, jak harmonijnie otulały nas cienie wieczoru, jak wszystko, co ponure i nieszczęsne w życiu, trzymało się zdala od naszych serc?”) Albo wenecka gondolaniosła ich w spiekotę południa do ogrodu dożów w Malamocco, i wpośród burzy igrali z wiatrem przeciwnym na lagunach. A raz pod *Ponte dei Sospiri* płynący, „słyszeli głos, który im mówił: zbrodnia i kara, ale z tego głosu drwiła pożerająca ich namiętność”.

Po rzymskiej wiosnie podeszło ku latu ich szczęście. Jeszcze jej w Monachium pokaże poeta niesamowite oczy Dürera, patrzącego ze ścian Pinakoteki, jeszcze w Wiesbadenie wtajemniczy ją w piękności „Nieboskiej”, w Kissingen czytać będą razem monolog Hamleta: *To be or not to be...*, ona pojmie doskonale wymowę tych słów, które od-tąd skrepują jego duszę, a potem — potem genjusz miłości romantycznej odmieni scenerję. Przyćmi lazury i tęcze, wpuści na scenę tysiąc nietoperzy i złe chochliki bólu, otworzy kaskady łez, każe chichotać szatanowi zazdrości i wiedźmom nienawiści, oraz przywoła czarną boginię rozpaczy!

W liście do Henryka Reëva tak płakał i żalił się (2) sierpnia 1834) kochanek: „Wiodłem żywot strojny w poezję chwili, szybujący naprzemian do wyżyn tragizmu, a potem spadający w bulfo, utkany z zachwyków i uragań, ze sław-

bości i egzaltacji, z głupstewek takich jak moda, wstążka i plotka i z rzeczy uroczystych, jak uwiedzenie i szal miłosny, jak męka kobiety cnotliwej, która się poświęciła... Tysiąc oczekiwań na szczęście i jedno spełnienie, a potem rozpacz zwykły koniec dramatu, w którym, jak mówi Balzac, dwie dusze rozłączone są przez wszystko, co się nazywa prawem, a złączone wszelkimi pokusami przyrody... Od pięciu miesięcy nie zmówiłem ani jednej modlitwy, jednak nie odczuwam zgryzot... Zdrowie moje poprawiło się, a wśród tysiąca obaw i oczekiwań nerwy się wzmacniają... Chciałem żyć i żyłem... Ponieważ to, co się stało nie było zabawą, ale dramatem rzeczywistym, namiętym, fatalnym i silnym, muszę teraz spodziewać się kary surowej i długiej. Niech i tak będzie!"...

Pan Bóbr, któremu „raczej okoliczności, niżeli Pan Bóg, włożyły w duszę *principes d'amertitude et de vide*, zrazu kłaniał się nisko ordynatowi, mającemu „dziwaczne myśli i śmieszne obyczaje“, potem starał się zachować dobrą minę, z kolei był jeszcze ciągle cierpliwy, nareszcie stał się *jaloux* i *inquiet*. Równocześnie damy, owe z mułu i szpilek, jeły z zapaleciem otaczać parę czułą pracowitym welonem plotek, komeraży i komentarzy. Pani Bóbr padła po raz pierwszy zemdlona na kanapę rzymskiego pałacu. Poeta stał się nagle nudnym i drażniącym, stał się „martwym głazem choć go zaklinała“. Pił pełnym haustem z puharu Byrona i układał z rozkoszą nowe tragiczne fałdy swego płaszcza. Pod stopkami pani Joanny ziemia palić się poczęła: czuła w sercu hydrę zwątpień, niewiary i zbrodni. Ich miłość czyż jest dalej całym światem? A świat dlaczego nie chce być ich miłością? Mimo wszelkie podstępny Don Juana, coraz trudniej pocie pozostać

w pobliżu, coraz nieznoszniej piszczą dzieci i dąsa się *grande mère* Morzkowska i miota zazdrosny pan Bóbr. Pani Joanna padła po raz drugi zemdlona na kanapę rzymskiego pałacu. Poznała prawdę, o której myśliciel wiedział od dawna. Miłość jest niszcycielką wszystkich porządków ziemi. *Ahi! null' altro che pianto al mondo duro.* Nie przestała pani i wtedy być dlań anielsko miłosierna. On zasię tymczasem układał w myślach szkielet romansu *à la Balzac* przeciw plotkarkom.

Dalszą, krótką już wspólną podróżą kierowały twarde rozkazy męża. Pół przytomni, bolesni i złamani sobą patrzyli jak przez mgłę na strzeliste iglice tumu kolońskiego, na szumiące bajką Nibelungów wody Renu, których już wówczas strzegła Heinego Loreley. Frankfurt był ostatnią zwrotką pierwszej pieśni o miłości. Tam wśród więdnących liści jesieni (30. września, 1834) pożegnali się. Poeta został we Frankfurcie, pani pojechała z matką i dziećmi na pokutę do Drezna, przysięgłszy przedtem wierność mężowi, który wracał na Wołyń sam uspokojony i jeszcze uspokajał w liście generała Krasieńskiego, że już skończone są amory dziecka.

Pierwszy rozdział ich historii przeminął. Przebiegł, triumfując na przemiany i cierpiąc, wszystką skalę romantycznej miłości, tak iż stała się przykładem, programem, typem i nieodrodnym dzieckiem czasu. Miała w sobie coś z Danta i Szekspira, była malownicza, jak opisy Walter-Scotta i smętna jak mazurki Chopina, bolesna, jak cierpienia Wertera, wulkaniczna jak Manfred i romanse pani Sand, przestrzegała przepisów Chateaubrianda, zańceń Balzaca. I była czysta, być może dotąd nawet spłodem ramion nie pobłogosławiona. Wieszcz dorobił przecudną ideologję

do swych pożądań, usadził erotomanję w adamaszkowej karocy ideału i panią do wnętrza zaprosił. Szła za nim p. Joanna nieprzytomna, jak mecium magnetyczne nieświadoma i bezwolna, upadająca pod nieprzeczuwanym nigdy wszechogromem uczucia, najszczęśliwsza, przerażona i bardzo nieufna... Jak gdyby w niej w ciągu półrocza inne, nowe i bogate serce rozkwitło.

„Rozłączeni, lecz jedno o drugim pamięta“... W chwilach rozłąki snuje się korespondencja, bujniejsza nawet w kolorach od przeżyć. Romantyk przywykł cierpieć dotkliwiej w przeżyciach wyobraźni, niż w zdarzeniach rzeczywistości. Przygniata tedy ją i siebie ogromem samoanalizy. Męczą się i krwawią wzajemnie. Teraz dopiero „drama się układa“ gęsim piórem na papierze Bath'a. Nietylko do niej pisze, ale do wszystkich odbiorców swych korespondencyj: do ojca, do Soltana, do Gaszyńskiego. Obwieszcza bohaterską tragiczność nieszczęsnego związku. Rozkoszuje się i pyszni męką, spada, jak jastrząb, na każdą trudność szczęśliwy, że mu w poprzek stanęła. Rano smutny, jak wszystkie czarne myśli korsarzy, wieczorem „wesół i mocen, jak pogański bożek“. A codzień to samo widowisko: walka pięciu ludzi w jednym. Ten pierwszy wyje z pożądanja, drugi ma damy dosyć, trzeci walczy o nią z Bogiem, czwarty każe jej wrócić do męża, a piąty patrzy uważnie, czy mu z tem wszystkim do twarzy. Ach, jakie te listy męczące! Dla nich obojga i dla nas!

Pisze Krasiński do Reeva:

...miłość ta kochanki, matki, siostry i dziecka nie dała mi sił i życia. Przeszła jak marzenie nad trumną.

Pisze w tym samym czasie do niej:

..Zdaje mi się ciągle, że panią spotykam 20 razy w dniu i dlatego mniej nędznie przepędzam dni moje

Pisze do ojca:

...Z ludźmi, choćym ich kochał najserdeczniej, staje się martwym głazem. Tak było przy końcu z p. B. Miłość własna staje na straży, jak anioł, wszystkich słów moich.

Pisze do niej:

...*Votre silence me domne de cruelles iniquities.* Zdaje mi się zawsze, że widzę Cię cierpiącą i omdlewającą. Niechby choć dwa słowa, szpilką na strzępku papieru lub urywku papilota!...

I znowu do niej:

...Czemże jestem? Błędną istotą, która się rzuca na kanapy stu oberży, codziennie innych i która własnymi nogami kopie sobie coraz głębszą mogiłę...

A potem:

...Gdzie pani przebywa? co porabia? Jak w Twym salonie zachodzi dzień?... Kto panią nudzi? Jakiego koloru suknie nosi Pani najczęściej? Z jaką myślą budzisz się i jaka sen Twój poprzedza?...

Lub znowu do Gaszyńskiego:

...Dotąd nic nie zaspokoiło pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom miłości własnej, ani żądzom serca nie stało się zadość. Czuję skorpioną żądań przewracającego się w sercu mojem.

Do niej:

...Dni, które zdala od Pani przepędzam warte są tylko o tyle, o ile niosą mi wieść od Pani...

A wreszcie do ojca:

...Jestem istotą chorobliwą, ale serca mego bronię. Nie uderzyło ono, od kiedy żyję, nieszlachetnie.

Skrzypiącym promem neurastenika płyną wciąż te listy od brzegu tęsknoty do urwisk rozpacz, a z błękitów marzonego szczęścia spadają w otchłań nicości. Trzeba sobie co chwila uprzytomniać, że to pisze młodzieniec 24 letni, nie ktoś zmęczony życiem. Czasem krzyk zbolatego kochanka przejdzie z nagle w surowe kazanie pastora, a gdy Giovannina milczy zbyt długo, to się ją niepokoi na sposób studencki, wielokartkowym opisem wizyt u jakiejś markizy Bobonigo, która stara się usilnie o względy poety i kto wie, czy nie zwycięży.

Kiedyindziej olśniony cudami karnawału rzymskiego będzie Zygmunt pisał do p. Joanny oziębłe i bardzo umiarkowanie, to znów kusząco podszeptnie, że można dać spokój skrupułom i dreźnieńską pustelnię zamienić na lazury Neapolu.

Co zaś działo się w duszy rozkochanej pani Bóbr, odbierającej listy Tantalą i Prometeusza? Działy się rzeczy nad podziw rozumne. Znalazła skądś siłę, która czasem, choć krótko niestety, pozwala jej przemierzyć wzrostem kochanka, wyżyn podślonecznych sięgającego. Prawi mu mądra pani w odpowiedzi impertynencje, jakich od nikogo jeszcze, nawet od ojca nie słyszał; potrafi urągać szyderczo Hamletowi, wstąpiwszy w „najgłębsze tajnie jego serca“, ale umie też przytulić do serca zmęczonego młodzieńca. Nie znamy ani jednego słowa z jej listów i tylko z *riposty* sądzić możemy, jak były ostre. Nigdy żaden Tretiak nie atakował tak surowo romantyzmu. To ona wtedy po raz pierwszy „duchowi jego dała w pysk i poszła“, a potem Słowacki rzecz w dramat przeanielił. Pi-

sala mu więc, że ma fałszywą wyobraźnię i doskonale wie, iż myśli fałszywie, że ma wyrachowane serce, że wymyślił sobie doktrynę poetycką, że jest chorym z urojenia i przesycił się nieznośną byrońską czezością, że trwa z uporem w tych błędach i dlatego mu źle na świecie. A ona tymczasem, ona biedna leży w łóżku, przyjmując odwiedziny przyjaciółek, którym niczem zaimponować nie może. Pewnie umrze niedługo i nie zobaczy go więcej, *e sua morte sarà dura* wedle wroźby siostry Agaty w klasztorze *Trenta tre* w Neapolu.

lekroć tak bystro zajrzy donna Giovannina w głębi duszy poety, on czuje się wtedy dźgniętym pod serce i uważa to za „największą przykrość życia“. I protestuje! Nie wolno pod grozą świętokradztwa zdierać zasłony z posągu w Sais, a takim zasłoniętym posągiem jest duch poety. Być może, że jest nieokreślonym, ale inne zarzuty mijają się z prawdą. Wszakże zawsze pragnął jej szczęścia i chciał, by życie słało jej kwiaty do stóp. Czemu nie ma serca i czemu jest kostywną w chwili, gdy jemu grożą suchoty?! Tak usprawiedliwia się przyparty do muru romantyk, a równocześnie pisze do Reeva: „Jedno sobie pamiętaj, Henryku! Nikt prędzej od kobiety nie zbada rzeczy do dna i nie pozna odwrotnej kart strony. Więc gdy nawiążesz z kobietą stosunek, nie próbuj jej imponować. Bądź wtedy sobą“... Draśnięty uspokaja się dopiero po nowym liście p. Bóbr, w którym będzie trochę rejterady: że ją źle zrozumiał, że nie zarzucała mu kłamstwa: jest zdrowsza i uczy się dalej po angielsku i nie wie, co czytać po skończeniu Moora. Wtedy na poetę spływa promień ukojenia: „Niech aniołowie błogosławią twój sen. Jesteś

wyższa nad ludzi, jesteś inna, niż rzymskie plotkarki, jesteś aniołem wśród ludzi i człowiekiem wśród małp“.

To napisawszy, tem więcej tęskni do jej widoku. Wąleśa się samotny skróś miast Italji, zesche kwiatki posyła z pod Wezuwjusza, Romea i Julję czytać zaleca. a gdy statkiem płynie, pragnie gorąco rozbicia o skały, czując przeklętą nienawiść do wszystkiego. Leczy się samotnością, leżąc w obłokach dymu na kanapie, wyszydza krygowane marjonetki dam polskich w Rzymie i czeka z drżeniem czerwca r. 1835.

Po ośmiu miesiącach zobaczyli się wreszcie w Kissingen, ale po to, aby stwierdzić odrazu, że wcale nie są szczęśliwi. Już nietylko mąż i dzieci, ale szyd, oszczerstwa i plotki sztyletowych dam przyszły tu zgasić szczęście Zygmunta i Joanny.

Mdleje kilka razy w dniu, zawsze piękna i anielsko-słodka: kocha go dwa razy tyle co dawniej, ale traci zmysły z wściekłości, gdy słyzy co mówią. On manfredową pięścią grozi ludziom i napełnia statek korsarza nowym ładunkiem piolunu.

Uświadomili sobie nareszcie, że sił nie starczy do walki i by omylić tropy wężącej za nimi plotki, uciekli z Kissingen. Czeka na nią w Trieście, chcąc się „na spalonym bruku tego miasta położyć i skonać, bo mu tak dolega każda chwila bez niej“. Po całym roku cierpień i oczekiwań oddała się mu wśród łez w Trieście. Poeta pochwyił ją w ramiona, „gdyż byłoby okrucieństwem walczyć z takim wyrazem twarzy“, jak pisał do Jarszyńskiego. Lećz i tu zapomnienia nie znaleźli, a dramat ich począł odtąd piąć się szybko ku szczytom kolizji. W rząd nieprzewalczonych trudności stanęły jeszcze czarne

wyrzuty sumienia i żądza pokuty, ekspiacji. Wrócić do męża, któremu już o wszystkim napisała? pójść za nim? zamknąć uszy na złorzeczenia córki, powstającej teraz przeciw matce? Jemu grozi klątwą ojciec generał, jej grozi mąż i dziewczynki. W hamletowej duszy poety nie szukać ani źdźbła dobrej rady.

Zadრęczają się oboje do szaleństwa i zarazem czują, że nigdy dotąd tak wyłącznie do siebie nie należeli. Tracą zmysły, myślą o samobójstwie. Gdy on postanawia bunt przeciw ojcu, ona chce ukorzyć się przed mężem, to znów zdecydowaną na wszystko dochodzi list z wieścią, że trzeba mu być woli ojca posłusznym. Staje się teraz kłótliva i nieznosna, a nawet gdy z uśmiechem włosy gładzi, zdawało się, że je chce wyrwać z głowy. We Wiedniu pożegnali się. Odtąd listy ich będą gorzkie i wyrzutami przepelnione. Szczególnie pani wedle świadectwa Danielewicza, „raz pisała rozpacznie *avec passion* etc.“ drugi raz krótko z pryncypjami, wyrzutami i odpychaniem od siebie. Oboje zaś nie umieli dać odpowiedzi na wibrujący wpośród nich dylemat: sen albo życie, nicosć albo szczęście?...

Mogłem być z tobą na ziemi szczęśliwy
 Mogłem uwierzyć, że tu czasem wiosna
 Spływając z niebios na śmiertelne niwy
 Bywa, jak w niebie, świeża i radosna
 Lecz teraz konam w próżniach ducha mego
 Teraz sam jestem wśród nieskończonego
 Okręgu cieniów...

Wszystkiemu, co tworzył, była jej postać przytomna. W darze jej złożył „Nieboską“, „Irydjona“ i „Myśli pobożne“, klęknął przed nią w „Nocy letniej“, w jej rysy przybrał ks. Rahosa z „Niedokończonego poematu“, i Kor-

nelję z „Irydiona“, ona nakoniec kazała mu „piórem ciężkiem jak ołów i lekkim jak puch“ pisać pierwsze w życiu i prześliczne erotyki. Lecz wszystkie promienie natchnienia poety nie dały im szczęścia na dziś. Życ bez niej nie umie i nadal. Nie znalazłszy otuchy w ewangelji, zagłębia się w lilozofję przyrody, szukając deski ratunku. „Tysiąc much czarnych igra mu przed oczyma“. Płacząc i trzęsąc się, błaga papę o błogostawieństwo, a do Sołtana pisze: „Gdybym się z drugą ożenił, pchnąłbym ją w serce na wieki“. Panią Joannę gnało tymczasem tam i sam nieszczęście. Jeździła do męża do Krzemieńca, bywała w Dreźnie i Paryżu, Frankfurcie i Wiesbaden. Tu ostatkiem sił przyjechawszy, błaga go o litość i chwilę zobaczenia. Przyjechał ukradkiem. Zaczęli mękę od nowa a wtedy zobaczył nagle, że inną jest teraz, niż była dotąd donna Giovannina. „Oczy z błękitnych w ciemne, przygaste się zmieniły, piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała. Smutek i choroba przetworzyły ją“. Stała się niższą od tej, którą on nosi w duszy, stała się o wiele niższą od poety. Była „schorzała i kwaśna, obłożona bonami i dziećmi“.

Musieli się kryć przed ludźmi. „Było kilka smutnych spotkań — pisał do Reeva — zgadnij gdzie? na cmentarzu, bo wszędzie indziej bywały tłumy gości kąpielowych. Tam wśród grobów niemieckich, pokrytych kwiatami, spędziłem z nią dziesięć do piętnastu wieczorów letnich. Jeśli burza nas zaskoczyła, mokła do suchej nitki. Nie bładła podczas grzmotów, jak dawniej. Stała tak na mokrych trawnikach, w sukni jedwabnej, w paryskim kapeluszu na głowie, z dłońmi swemi w mych dłoniach. Słowem, była to kobieta, która doszła do ostatniego stopnia egzaltacji! Bez względom na konwenanse światowe,

spokojnie patrzyła na to, że społeczeństwo niebawem ją odrzuci". Tak więc role odmiały się. Niedawno pani Joanna szydziła z egzaltacji hr. Henryka, dziś hr. Henryk litował się nad romantyczką na niemieckim ementarzu. Litował się więcej, niż kochał. Od niedawna stało mu się jasnym, że właściwie ma dla niej już tylko uczucie miłości, gdyby rzucił, tem samem ją zabije. Straciwszy wiarę nawet w miłość swoją, popada w zupełny rozkład sił ciała i duszy. Tarza się w więzach bezwoli i niemocy. Pięć godzin jest w stanie przeleżeć na jednym miejscu, to znowu „chodzi po pokoju i jedno słowo sto razy powtarza“, że aż Danielewiczowi dreszcz po nerwach przebiega.

Nakoniec, do walki dalszej niezdolny, dał za wygraną. („Widzę, że przestała być piękną. Danielewicz przekonał mnie, że jest starą a Załuska, że nie jest rozumną, jakież więc pokarm w niej może znaleźć moja próżność“.) Dnia 28. grudnia 1837 zaprzysiągł Zygmunt Krasiński ojcu na grób matki, że odtąd zrywa zupełnie z panią Joanną Bobrową.

W pół roku później dopiero zobaczyli się po raz ostatni i pożegnali na zawsze w Salzbrunie na Szląsku. Raz jeszcze milcząca i skamieniała, wstrząsnęła całą jego istotą („Nie kochać jej nie jest w mojej mocy... Dzień cały z nią minął mi, jak sen, pełen tęsknoty... Czasem kiedy się zamyśli i spojrzy, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuję jej ręce prosząc, by przemówiła, a łzy czuję w duszy, choć nie mam ich w oku“). Kawalerowie XVIII wieku kończąc *liaison* z damą, posyłali list zakleiony pieczętką z wyobrażeniem człowieka kruszącego kajdany i napisem:

elles sont rompues. Krasieński ofiarował pani Joannie na pożegnanie czarną siateczkę na pieniądze z westchnieniem: „O wspomnij mnie, ilekroć dasz grosz ubogiemu“. Poza nie opuściła go do końca.

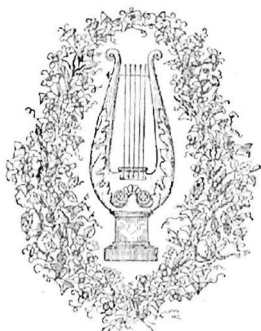
Bez słowa skargi pojechała na Wołyń, by dokończyć rozvodu, którego mąż żądał, by nowe, samotne urządzić sobie życie. Czy winna była nieszczęsnej doli swojej? Ktoś bardzo stronniczy i bardzo pani Joannie nieżyczliwy, bo K. Danielewicz, zaufany papy generała, tak osądził jej sprawę: „Mam dla niej wiele politowania, gdyż że ona się do tej historii nie przyłożyła, aż po długich oporach, ale zbyt wielkiego szacunku dla niej nie mam za to, że dała się ująć w tak niezgrabne i niemoralne sidła, jak są te, które Zygmunt zwykle zastawia kobietom“.

Poeta długo jeszcze miotał się i szalał. Czasem, na chwilę, liryka koła bole i wtedy ujmował w rymy jej nieszczęście:

Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi
Dla ciebiem drobne odjechała dzieci
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi
Teraz w ich stronę moje serce leci.
Gdzie ich kolebka? gdzie śliczne wejście?
Gdzie jasne pukle moich biednych dzieci...

Kiedyindziej rzucił sam na swą głowę tyle klątw i złorzeczeń, ile przedtem szczęścia wypił z puharu życia. W listach do Jaroszyńskiego rozdzierał szaty nad swą hańbą, męką i tragedją, zaklinając go, by, ilekroć zobaczy kuzynkę, mówił z nią melodyjnym głosem ducha, zwracał myśl ku Bogu i dzieciom oraz umacniał w przekonaniu, że nieszczęsny poeta pragnął zawsze „unicieść ją

skrzydłami ku niebu“ — a wkrótce potem rozpoczął się nowy romans i korespondencja. W sześciuset listach i setce wierszy do Delliny Potockiej przysięgał Krasieński, swojej nowej kochance, że jest pierwszą prawdziwą miłością i jedynym jego szczęściem na ziemi!...



O ile pani Bobrowa, zostawszy na świecie samotną i przeszedłszy tak szybko drogę od *femme incomprise* do *femme abandonnée*, korzystała z praw, które w roman-sach francuskich przysługiwały tym typom kobiecym — nie wiemy. Czy krwawiące rany swego serca leczyła wedle przyjemnych recept pani Sand i Eugenjusza Sue, czy oczy jej błękitne rychło nauczyły się nowych uśmiechów, też nie wiadomo. Jakkolwiek bądź było — wypoczywała, śmiertelnie spokojna, „z glazu cała”. Mieszkała kolejno w Dreźnie, Paryżu i Frankfurcie, kłopotąc się dorastają-cych panien wychowaniem i wiodąc, acz nierozwiedziona, żywot rozwódki. Pan Bóbr posyłał jeno rubli srebrnych 5 tysięcy rocznie na wychowanie córek, posag jej zaś i dobra oddał pod zarząd Imci Turkułła, który z kon-traktów kijowskich przekazywał pani co roku krezu-sową sumę 15 tysięcy rubli. A gdy od ostatnich Zygmun-towych spojrzeń minęły dwa lata, gdy grzebano Napo-leona pod kopułą Inwalidów, gdy Mickiewicz rozpoczynał wykłady w *Collège de France*, wtedy zaszedł jej drogę drugi z Wenedów — Słowacki.

Choć znali się oddawna z Krzemieńca jeszcze i z dre-zdeńskich salonów, patrzyli przecież na siebie ciekawie.

Smutna pani wiedziała, że to przyjaciel Krasieńskiego, on zaś przyglądał się z ciekawością dręczycielce Zygmunta. Zrazu chciał i to „kobiece serce wziąć za wezgiłowice swych snów“ gdy nagle omotała mu duszę ta sama obroża, w której mიაтал się przez lat pięć Krasieński. Lecz drugi z Wenedów wcale inaczej na kobiety patrzył. Jak zawsze tak i wtedy był drażliwym, sobie oddanym samotnikiem, a „jednem oczu spojrzeniem całe poematy opowiadał“. W narcyzowej duszy Słowackiego nie było prawie *allure'ów* uwodziciela. Choć wspominał z przyjemnością rozkochane oczki panny Kory Pinard i cichy ból Eglantyny, choć czasem „obłąkiwał jak szatan“ spotykane panienki, choć emablował Marię Wodzieńską, tkwiło przecieź coś mizoginistycznego w naturze poety, coś co go trzymało zdala od brutalnej z żywą kobietą styczności. Może — jak pięknie powiedziano — „zanadto kochał swoje marzenie o kobiecie, aby bez lęku zbliżyć się nadmiernie do kobiet rzeczywistych“. Miał przecie fraucymer przewspaniały pań marzonych w swych dziełach, a panie żywe były modelami marzeń i posłuszną kanwą poetyckiego haftu. Dwa jeno cienie stały zawsze w rogach pokoju twórcy „Anhellego“, jeździły z nim na wschód, na lodowce Alp i do podnóża piramid: Sally i Ludka. A teraz, pod koniec r. 1840, triumfował, naznaczony łaską poświęcającą geniuszu, bóg z przeciwnego słońca, świadom swej mocy i nieśmiertelności. Były to rzadkie w życiu poety chwile „dziwnie dumnej spokojności“. Z wyżyn 5-tej pieśni Beniowskiego, gdzie ślicznym gestem skrzyżował szpadę z wieszczem litewskim, patrzył na świat i przykrawał ludzi, jak Hogarth, na miarę karykatury rysowanej na paznokciu. Wówczas to weszła mu gdzieś w drogę Donna Giovannina.

Najbujniejszy z indywidualistów, który dotąd ani razu nie oddał kobiecie wszystkich swych „tęcz i granitów”. ujrzał się nagle złowionym w niewód smutnych oczu pani Joanny. Lelum obaczył w niej to wszystko i więcej jeszcze, niż widział Polelum. Jak piękną wydała mu się, o tem z zachwytem mówić będą „Beniowski” i ks. „Marek”: Miała oczy wykąpane w ptasiem mleku gołębicy i napięty łuk różanych ust, na głowie jak tysiąc świec paliła się gromada brylantów i rubinów, a błękitny cień rzęsów kładł się na rubinach lic. Zaś ponad wszystkiem świeciła dziwnie obłąkana gwiazda jej losu. Poeta Słowacki zajął ją sobą, chociaż teraz więcej, niż dawniej, nie lubił poezyj, pisanych po polsku. „Gadała doń jak anioły”, odganiając „stada czarnych cherubinów” i była „złotym duchem dobrej rady”. Zaczął się romans — teraz dopiero i naprawdę — niesklamany w niczem, a poprzedzony wpierw rozmową z drugim Wenedą. Przedziwną rozmową: chyba nigdy jeszcze tak z sobą nie zetknęło się dwu ludzi, którym w życie weszła jedna i ta sama kobieta. Juljusz, przejrząwszy z błyskawicową bystrością tragedję ich stosunku, pyta Zygmunta, nie mówiąc o co pyta i zawiadamia, nie podając, o czem zawiadamia... Zygmunt pojąwszy zaklina go w odpowiedzi i ostrzega przed zjawiskiem, które można podziwiać, ale przebóg kochać! („Istota, którą oczy twego ciała ujrzały, a na którąś oczyma już duszy był spojrział oddawna, jest najstodsza, najlepsza, najszlachetniejszą z dusz”). Ale nie Rafael malował lica tej Madonny lecz Rubens. A przeto: „zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madon! Bądź mężem z białego marmuru!” I ślicznie prawi mu dalej o kapłaństwie poety i znaczeniu poezji. Słowacki przeczytał natchnioną epistolę, odpowiedział z równym,

barwniejszym jeszcze polotem i — „zakochany wściekle“, poleciał za panią do Frankfurtu.

Ponieważ w romansach wielkich poetów jawi się zawsze zgrzybliwy i zaufany „fanulus ich faustyzmu“, który zazwyczaj bywa „potrzebnikiem zdrowego sensu“ filozofem, przeto i Słowacki znalazł swego — Konstantego Danielewicza. Był nim, chociaż na mniejszą skalę Leonard Niedźwiecki, mistyk i nauczyciel kaligrafji. Temu opowie, wstydliwie po francusku, to wszystko, o czem zamlecał przed matką. Z tych listów wiemy, że wiosną r. 1841-ego była we Frankfurcie szalona:

...„Czuję przyspieszone bicie serca mego i jej“...

...„uczę się języka miłości, żyję i promienieję. cóż można więcej?“

...„a ludziom zgrzybiałym, którzy myślą, że wzbudzają we mnie respekt, odpowiadam: *per Baccho!* dajcież mu kantarydy, dajcież mu dziewczynę, niech spróbuje być mężczyzną“.

...„zyskuję krok za krokiem, dni płyną mi przyjemnie“.

...„ścigam bańkę mydlaną, która się nazywa miłością“.

...„onegdaj czytałem jej moją Beatrix Cenci, a poruszenie, jakiemu uległa równało się *à celle qu'on recoit en se baignant d'une torpède...*“

...„męka moja jest bez końca...“

...„krolowa myśli moich nie daje mi chwili odpoczynku i rzadko trwa cisza na morzu, ja którym płynę pełnymi żaglami“.

...„cierpię i gryzę wędzidło, spieniony“.

Po prostu powiedziane, ale z krzykiem. Nie wodził się po cmentarzach ani kolizeach, nie przymierzał szaty

Ren'go ani czerwonego płaszcza Manfreda, a pielgrzymkę Childe-Harolda odbywa szybko, w butach siedniomilowych. Atoli chochlik romantyzmu nie przepuścił mu płazem tej... prostolinijności.

„Przez dwa dni — pisał Juljusz zaraz potem w liście do powiernika — nie widziałem jej, gdyż córka przyjechała. Te dni są dla mnie piekłem, nie mnie nie obchodzi, jestem wściekły i pogrążam się w czarnych myślach Korsarza i Lary. Został, jakże szybko, sam z „rozdartymi wnętrzościami“, a zgoła bez ochoty wstępowania w ślady Wertera. Przekonawszy się, że życie stało się nieznośne, stanął wieczysty buntownik odrazu okoniem przeciwko tej sile z zewnątrz, która ośmieliła się chcieć kierować jego życiem i — wrócił do Paryża. Ale napróżno — uczucie przybyło z nim razem. Na plac spotkania w niedoszłym pojedyńku, szedł z różą dla niej i z myślą o niej. „Pani i zawsze pani mięszasz się teraz do wszystkich spraw moich, myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego.. (Tak dotąd do nikogo nie pisał).

Coż w zamian dać mu mogła! Ona, która ciągle jeszcze tłumii uparte nadzieje w sercu, szłać Krasinińskiemu listy rozpaczne, nieprzytomne. (W tym czasie pisał Zygmunt do Deliny: „Pytasz mnie o panią Bóbr? Przysłała mi list jędzowaty, wściekły, śmieszny, pękający od próżności. Odpisałem, że już nigdy o mnie nie usłyszysz“). Gdy muszlinowe okowy jednego z Wenedów legły już dawno w popiele, drugi, cierpiąc, spowijał niemi swe serce. Wkrótce potem p. Joanna zawitała do Paryża, tedy spędzał u niej wieczory, towarzyszył w przechadzkach, najsmutniejszy chyba gość jej salonu, w którym „Gugus“ Czartoryski i Gustaw Olizar z państwem Andlej i doktorem Dagober-

tem rozniecali ogniska płochej wesołości. Próbował zrazu wypłoszyć z jej duszy ostatnie cienie tamtego, nie ustawał w wysiłkach on, który jednym spojrzeniem oczu całe poematy opowiadać umiał. Ale wnet spostrzegł, że wciąż tantemu poślubiona na wieki i uwierzył w istnienie wpływu magnetycznego, który na jej życie wywarł Krasiński. A wówczas z oblicza romansu zniknęły purpurowe kolory namiętności. Duma, kierownicze uczucie życia Słowackiego, uratowała go od szaleństwa. Nie zostanie przenigdy „kamieniem środkowym!” Tembardziej, że widzi codziennie: nie tylko niema dlań miejsca w jej sercu, ale nadto, samem istnieniem swoim, przypominać jej będzie zawsze tamtego. („Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, ze mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie i boleść dawna“...)

„Lepiej więc, że się rozstaniemy! Albowiem biada ludziom, co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów!...“

„Żegnaj Pani! Nic w mojem sercu niema, coby się mogło przydać Pani, owszem wszystko może odwiódłoby ją od egoizmu, od szczęścia“...

Lecz nie rozstali się. Marmurowy szal trwał dalej, mimo współczującą oziębłość pani Joanny, mimo tysiąca coraz piękniejszych słów Zygmunta, który przestrzegał Juliusza przed losem Malczewskiego, który prosił, zakazywał i tłumaczył: „W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość stanie się goryczą wam obojgu“.

Istotnie staje się znowu gorzki i zjadliwy, pisze swą arcy-komedję „Fantazego“, gdzie ich oboje stawia przed wklęsłym zwierciadłem satyry, lecz sam serce ma dalej podobne do zamkniętej ostrygi, albo do muszli perłowej bez ślimaka wewnątrz. Marmurowa część natury jego zwycię-

żyła. Tak. Lecz wiele razy z zimnego kruszcu serca dobywał się szloch tęsknoty bolesnej, cicho proszącej o litość! Wówczas woła do niej piękniej, niż Krasiński, piękniej od wszystkich w Polsce poetów:

„Na Boga, rzuć Pani błękitnymi oczyma w stronę Paryża, niech mi tu od tego spojrzenia błysnie i rozwidni się na chwilę ciemne powietrze“...

„...Gdyby Pani wiedziała, jak oddalenie upięknia każdy ton głosu, gdyby Pani wiedziała, jak mi tu słycać każdy szept w jej domu, każdy szelest sukni!“

„...Gdybyś Pani chciała religijnie być trochę dobrą i litosną, jak święta, a jak łatwa byłaby to praca!“

Umiała w takich chwilach świadczyć mu wiele dobrego i umiała gładzić jego ból i nie cofać serca z przestachem i tak przedziwnie grała dobrymi listami na strunach jego duszy, że o wszystkim złem zapominał. Drażliwy odludek tajał i zmieniał się nawet — w uśmiechniętego *cavaliero servente*. Będzie pokornie Słowacki z zapaiem godził guwernantkę angielską dla panienek, stoczywszy z nią wpierv całą „wojnę kocią“, będzie książki zamawiał, na które Giovannina niecierpliwie czeka, będzie po sklepach paryskich, wespół jeździł chętnie pomocny w zakupnie wyprawy dla najstarszej córki.

Z czasem byłby zapomniat i może odszedł. Lecz nagle — pozornie nagle i niespodzianie — okryły się w nim płomieniem dawno żarzące ognie mistycyzmu. Beniowski padł na kolana, wdziawszy „bluzę robotnika Pana Boga“ i zaczął wysłuęę ideałom, które teraz po brzegi wypełnią jego suchotniczą pierś. „I ze skał manfredowych powrócił do łąk, gdzie słycać świegotanie jaskółek“.

Tęsamem więc podeptał swą miłość i odprysnął się donny Giovanniny? Bo wszakże Gustaw, gdy zmienia się w więzieniu bazylijskim w Konrada, gardzi sercem kobiecym i Kordjan przekreśla je na szczycie Mont-Blanc i biały Anhelli nie wiedzieć nie chce o niewieście... A otóż nie! Słowacki wziął teraz wspólnie z sobą kobiece serce i poniósł ku gwiazdom, wezwawszy ją, by razem z nim została robotnicą Pana Boga i współpracownicą ducha. „Teraz wiedz pani, że kocham ją tylko, jako pięknego ducha, który leciał i upadł i cierpi — i co będę miał mocy wskrzeszania wydobędę z siebie, aby mu lepiej było!”... Niech Pani żyje w powietrzu czystym i kryształowym wśród zapachu konwaliaj dzieciństwa!”

Dokonała się najpiękniejsza metamorfoza, jaką znają dzieje romantycznej miłości. W symfonii zwanej Kochaniem poetów nie zapamiętano od wieków tonu tak czystego, jeden tylko Dante Alighieri podobnie wielbił Beatrycę w swoim „Życiu Nowem”.

Ale ona? czyż zdoła wznieść się tak wysoko ku niemu, czy nie odpowie na hasło cynicznym odzewem pani Dudevant? Nie, bo ją ból życia oświecił i umocnił i ku niemu przybliżył. Snać wszystkie wdzięki spromieniły się blaskami w jej piórze, gdy na wezwanie odpisywała, bo poeta zadowolony z odpowiedzi. Jeno mu w liście tyle przypomina, że ciągle cierpi jeszcze, i że cień hr. Henryka nie odstępował nigdy jej kroków. Odpowiedział, jakże inaczej niż dawniej, tuląc ku sobie zbolące serce Giovanniny. Niech nie złorzeczy Zygmuntovi, niechaj go nie przeklina. Wszak obaj podobni do siebie. „My oba zmęczeni, stargani, senni na pół, o sercach, podobnych zbitym czerepom porcelany saskiej. Przywołaj dobrą część ducha dawniej znanego i ko-

chanego... W sześcioro skrzydeł czyliż nie potrafimy latać, dalej niż myśli ludzkie latają?!"

Balsamem dla stłuczonego serca donny Giovanniny stają się odtąd przecudne listy Juljusza, a mistyczna miłość ich obojga rozkwita pieśnią najczystsze go związku dusz romantycznych. Zaprawdę, nigdy piękniej nie ozłocił człowiek swych spojrzeń na kobietę, która kiedyś była mu przelotną kochanką!

Nauczyła się cieszyć widokiem przedziwnej niteczki, która, wedle jej słów, łączyła ich serca, on zaś przyobiecował: „Ile razy pociągniesz za tę nitkę, to się odezwę jak dzwonek nawet z poza świata i po wiekach“. Wieńczył ją mistyczny kochanek kwiatami z nad fal oceanu, pozdrawiał benedykcją aniołów, leżąc na kamieniach druidycznych twarzą ku słońcu i na zawsze zapewniał o swej „szczerej, wielkiej i pokornej przyjaźni“. W jej oczach i w promieniach tego niezemskiego kochania przebiegł bezkresną drogę, jaka dzieli „Fantazego“ od „Wykładu nauki“ i „Genezy z ducha“. Szła za nim, tak niemal posłusznie, jak kiedyś w Rzymie za Krasińskim. Nie ulękała się i nie osłabła wśród drogi. Bo do dawnej mocy intuicji dodała moc nową: blask i siłę cierpienia. A przeto ukoronował ją mistyk i „wobec duchów, które go otaczały“ nazначzył mianem, jakiego „dotąd w całej Europie nie było potrzeby“: mianem **KOBIETY WIECZNEJ**. W krwawym trudzie przeistaczania się, w syzyfowej pracy nad zdobywaniem królewskich obszarów dla zachceń swego ducha, nieraz mu się zły okrzyk wyrывa, „jak straszną rzeczą być człowiekiem“, wąpi wtedy w siebie i w nią, wyrzekając, że żadnej nowej gwiazdy nie zapala. Ale ostatni list, jaki na świecie napi-

sał, ostatnie blaski szklanych oczu upióra — do niej były zwrócone.

Misterjum Juljusza Słowackiego i Joanny Bobrowej nie miało sobie równych i odprawia się zawsze, ilekroć dziś czytamy tych dziesięć, jedynych w kulturze polskiej listów miłości, na gwiazdach pisanych.

Harliarka Wenedów miała potem cierpieć samotnie przez lat jeszcze — pięćdziesiąt. Spuszczono do grobu śmiertelne szczątki Juljusza, dawno odszedł Krasieński, z kolei żyć przestał tuż przed wyjazdem na polowanie pan Bóor, który został rzeczywistym radcą stanu i kamerjunkerem Najwyższego Dworu, wreszcie umarła Delfina, a w końcu zstąpiła w grób cała epoka romantyzmu. Ale została przy życiu Ofelja. Spokojna na zawsze daleko od ludzi i uczuć społeczeństwa, potem znieczulona słodkim narkotykiem obłądki. Ludzie patrzący na apatyczną kobietę (Z. Kaczkowski) pojąć nie mogli upodobania poetów. Pod koniec dni swoich utraciła wzrok i już czytać nie mogła listów Krasieńskiego, które zawsze w *écritoire* ze woziła. Listy, w których powiedziano, iż „była czystsza przez swe cierpienia, niż inne w dziewictwie“.



SALON EWUNI

*Znasz-li ten kraj
Gdzie cytryna dojrzewa
I pomarańcz błosk
Majowe złoci drzewa?...*

Mickiewicz: Wezwanie do Neopolu

Pięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt pięć jaszczurek z murów Porta Pia, pnących się po basztach Belzarjusza, zoczywszy mnie zatrzymało się i wszystkie ząbki białe do mnie wyszczerzyły, a patrząc oczyma brylantowymi w słońce, kazały się Pani kłaniać i pytały, czemu Pani tu niema? — takim przepysznym frazesem witał Ewunię wieszcz „Nieboskiej“. Niemniej rycersko pisał parę lat przedtem śpiewak Wallenroda: „Przysięgam na wszystko co jest zielone od mirtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin znajdzie Pani u mnie kolor nadzieji!“

Wszelako nie tych komplementów zazdroszczą Ewuni Maryle i Laury, a także i nie zaszczytu, że ta, jedyna w rodzinie romantycznej panna na wydaniu, była wieszczowi aniołem przewodnikiem przez „rzymskie bramy, groby i świątynie“. Ewunia miała inną rzecz, godną zazdrości w domu rodziców: salon literacki, jedyny polski salon, o którym rzec można bez przesady, że należy do literatury europejskiej. Ten salon wśród swoich świec i kominków gościł Montalemberta i ks. Lamennis'ego, Horacego Vernetą, Mickiewicza, Odyńca, Krasieńskiego, Camucciniego, Stattlera i Henryka Rzewuskiego. Dla Ewuni stworzył ks. Lame-

nais swój natchniony *Hymne à la Pologne*, dla Ewuni tłumaczył Mickiewicz „Mignon“ Goethego, do jej sztambucha wpisał „Matkę Polkę“, u Ewuni zaczął Rzewuski opowiadać „Pamiętki starego Soplicy“, dla Ewuni był bardzo uprzejmy Pius IX, a kto się nie wpisał do jej albumu, ten chyba nie był w r. 1830 sławnym w Rzymie. I to jeszcze dodać trzeba: wśród pań romantycznych Ewunia Ankwiczówna najbystrzej wyczuwa tajemnice poezji wieszczej, i to dzięki bardzo starannej kulturze literackiej, której nabrała już przedtem, zanim pozna poetów.

Poznała ich w Rzymie w r. 1829. Z dwiema dziewczątkami, którym loki pierścieniami spadały na szyję, przyjechali na stały pobyt do Romy państwo Ankwiczowie z Galicji, rozbiwszy namioty w strojnym pałacu przy via Mercede. Jedynaczka ich Ewa Henrietta (* 1810) była rozpieszczona, wątpiła i chciała żyć poetycznie, kuzynka zaś Marcelina studjowała żywoty świętych i marzyła o habicie. U Ankwiczów bywało codzień wiele gości: jakaś pani Moszyńska z psem kudłatym, jakiś 90 letni szambelan w żabotach i ostatni komandor maltański Dunin, który zatracił rachubę czasu, stary Aigner, budowniczy z dworu króla Stasia oraz wielu ludzi, mających dużo złota, i mało rozumu, a tak dobrze znanych nam z „Nowej Dejaniry“. Stanisław Ankwicz, wcale nie głupi hrabia austriacki, był członkiem krakowskiego Tow. naukowego, lubił muzykę, archeologję i dobre towarzystwo. Pani domu, solidny materiał na matronę polską przywiozła też z sobą dużo literackiego polotu. Zaczem, gdy wkrótce o ściany ich domu zaczęły bić bujne fale życia kulturalnego Rzymu — pp. Ankwiczowie nie zamknęli przed nimi drzwi. A był to właśnie czas, w którym wieczysta Roma stała się jakby

stolicą romantycznej Europy. Wszystkie uciśnione i niespokojne dusze wieku biegły w pokorze na naukę do cudownego miasta, gdzie najwyższa zmysłowość łączy się z najświętszą ascezą, gdzie w krynicach ruin biją źródłiska nowego życia. Modlili się malarze do Rafała i Michała Anioła, klęczeli w zachwycie poeci przed grobem Cecylii Metelli, Tassa i Shelleya. Jak kiedyś Herder, Goethe, Canova i Byron, tak teraz Thorwaldsen, Mickiewicz, Cammucini, Overbeck i Delaroche. Nie jest to jeszcze ten Rzym, w którym Irydjon z Anhellim usiądą na bluszczach grobowców, ani owa Roma, w której Mickiewicz będzie nawracał papieża na katolicyzm, nie jest to jeszcze miasto, w którym rozbija cierpiętnicze namioty Makryna Mieczysławska. Rzym r. 1829 szaleje i śpiewa pieśń młodości, buntu.

„Byron, jak Codes opanowuje most na Tybrze“, pieszczą się słońcem poeci i malarze, upajają się ideałami francuscy - księża rewolucjoniści, szukają nowych dróg plastycy - nazareńczycy protestujący przeciw karmelkowemu malarstwu i politycy, wygrażający Metternichowi i archeologowie w kopalinach Forum. Katolicyzm, malarstwo religijne i archeologja cieszą się łaskami mody. A wszyscy w miłosnej ekstazie mówią z Szyllerem: „Żebrak najlichszy u bramy Anioła wspañialej mieszka, niż my na Północy, bo w lico Romy wieczystej spogląda“.

Ten sam zadźwignął ton rozmarzonej ekstazy w domu państwa Ankwiczów i owionął białą duszę panienek. Ewunia zaczęła uczyć się i bywać. Uczęszcza pilnie na kursa archeologii u Pietra Visconti, studjując z gorliwością zażytki starego i nowego Rzymu, jakby w przeczuciu przyszłej roli cicerone'a poetów. A panna Marcelina czyta dalej żywoty świętych. Bywają u ks. Zenejdy Wolkońskiej

i u Gagaryna, u ks. Torlonji i u p. Wiery Chlustin, która właśnie przybyła z Rosji z córką entuzjastką wszelkiego piękna. Barysznia Anastazja, zwaça się sama „Korynną z nad Donu“ gra z pamięci wszystkie znane dotąd sonaty Beethovena. A choć czasem trochę przypomina nieśmiertelną córkę Geldhaba jest przecież trzecią w trójce romantycznych dziewczątek. W tem towarzystwie święci się wszystko co czule i nieziemskie, bo czemuż jest ziemia? *un amas de larmes*, w tem towarzystwie umieją na pamięć poezje obu Byronów angielskiego i - polskiego. Na dźwięk imienia Mickiewicza wszystkie trzy podlotki milkną i płoną się najkrańszszym z rumieńców. Panienki poczyniły już wiele znajomości: znają bez liku hrabiów, dyplomatów, bankierów, a także trochę artystów, wśród których jest nawet marszałek malarzy napoleońskich i wspaniały batalista: Vernet.

Horacy Vernet, ładząco podobny do męża Maryii, został świeżo dyrektorem francuskiej akademji malarzkiej w Rzymie, urzęduje w przepięknej willi na monte Pincio a ma „młodziczką śliczniutką“ córkę Luizę, czwartą w romantycznem gronie dziewczątek. Świeżo też przyjechał z Polski Wojciech Korneli Stattler, Jan Chrzciciel romantycznej plastyki polskiej. Lecz jeszcze jadą inni z Polski pielgrzymi, oczekiwani przez panienki z niecierpliwością. Nareszcie stało się! Na jednym z wieczorów u ks. Gagaryna papa Ankwicz poprosił, by go przedstawiono młodzieńcowi, który wkrótce pojawił się na salonach przy ulicy Mercede.

Chwilę na zawsze dla Ewuni niezapomnianą opisał Stattler w swych wspomnieniach: „Oczekując na chwilę poznania Go, nie mogłem się oderwać od tysiąca posągów w bronzie i marmurze i biustów wieńczonych na Kapitolu.

Śniło mi się, że go widzę... z Dantem, Arjostem i Tassem... P. Henrjetta Ankiewiczówna drżała z radości, iż go wkrótce zobaczy. Jakoż nazajutrz zaprosiła nas wszystkich, by go wspólnie powitać. Wkrótce zameldowano: Adam Mickiewicz... wszedł mężczyzną, 29 lat mający, czarnego zarostu, z zapadłymi policzkami, opalony włoskiem słońcem, pewny siebie i śmiały. Stanąwszy wpośród nas, wpatrzył się w Henrjetę, jakby ją jednym spojrzeniem, jak świat cały chciał ogarnąć. Biedaczka spuściła oczy. Słowa przemówić nie mogła“...

Od tej chwili salon pp. Ankiewiczów zaczął należeć do historii, a towarzystwo przy via Mercede nr. 9 powiększyło się odtąd znacznie. Hrabina Moszyńska z psem kudłatym i 90 letni szambelan Dunin wraz z wszystkimi wysoko urodzonymi *comtessami* ustąpić musieli na plan drugi wobec tej gromadki młodych, radujących się cudami Romy i własnej młodości ludzi, których tu przyprowadził prorok Mickiewicz z nieodstępny'm sateletą Odyńcem. Ponadto przybył jakiś uwieczniony na Kapitolu malarz z Wilna Karczewski, ten wkrótce umrze z głodu, oraz melancholijny i mrukowaty heglista Stefan Garczyński, który w sekrecie próbował już rymy układać. Znalazło się jeszcze dwóch Potockich, Artur i Aleksander i porucznik Lieven; historyk rosyjski Turgieniew, księża Chołomewski, Zajęzkowski i Parczewski i nauczyciel pańienek Visconti, rzeźbiarz Todollini i naturalnie wszyscy Polacy, jacy do Rzymu zjechali. Ot i wszyscy członkowie owej — żartobliwie ochrzczonej przez Mickiewicza — rzeczpospolitej mercedeńskiej. oto delegaci na sejmik polski u Ankiewiczów. A niekroć goście Ankiewiczów pójdą gromadą na *soirée* do p. Chlustin lub księżnej Zenejdy spotkają tam

zawsze starego Thorwaldsena, (dziaduś pono wzdychał ukradkiem do Marceliny, a wymyślał romantykom od barbarzyńców), poznają Camucciniego, który malował płaskorzeźbami i jeszcze czcigodnego staruszka, co był za swych lat młodych największym malarzem Polski Stanisławowskiej — Norblina! Barysznia Anastazja jest nieoceniona w odnajdywaniu sławnych ludzi! Dość powiedzieć, że raz odszukała nawet bawiącego chwilowo w Rzymie powieściopisarza Coopera z Ameryki, chwataę drugiej półkuli i kazała mu wraz z córką złożyć hołd Mickiewiczowi.

Wśród muzyki płynęły wieczory. W rzędzie pań grających i śpiewających prym wiodła Łwunia, uczenica Hertza, z którą sam Kalkbrenner ćwiczył na cztery ręce. Upajano się „Wilhelmem Tellem“ Rossiniego i „Violettą“ Herza, zaś Mickiewicz rozkazał paniom nauczyć się pieśni o Filonie. A potem wzięła ich wszystkich pod komendę Łwunia, obiecawszy pokazać wszystkie skarby Romy, które od dwu lat studjowała. Papa Ankwicz był gospodarzem i nie szczędził dukatów. Wspaniałe lando na sześć osób oraz kabriolety czekały codzien przy via Mercede. Odyniec opowiedział już dawno, jak pięknie im się działo. Z Polską i młodością w sercach wchodzili w kopułę św. Piotra i w podziemia Watykanu, byli w Genezzano i willi Albani, jeździli śpiewając na osiołkach, zwiedzili Forum i Collosceum przy blasku pochodni. Więcej jeszcze! Chyba nikomu innemu nie pozwolił Watykan tak, jak im wędrować nocą z pochodniami po muzeach swoich, gdyż ciekawi byli jak rzeźby nocą patrzą z piedestału. Chodzą społem do łóż w teatrze Tordone, odwiedzają w pracowniach Overbecka i Craffonare, ciskają confetti w karnawale rzymskim, piją *lacrima*



EWUNIA

Christi, improwizują. Wśród szumu kaskatelli nad brzegami Anio, w zapachach laurów na Tivoli...

Wiedzie za sobą pielgrzymów cicerone o dziecinnem licu a starej nad czołem mądrości, panna w szarym płaszczu z pelerynką i kapelusiku pasterzy. *Comme fresca e frasca!* Malowana przez Craffonargę, rzeźbiona przez Todolini'ego, i przez wszystkich wielbiona. Ściga się z motylami u grobu Tassa, przystaje przed gładjatorem na kapitolu, by wygłosić werset z Childe-Harolde'a, a zagadnięta przez Odyńca cytatem z Marji Stuart, prawie bez zajknięcia recytuje ciąg dalszy, albo też uweźmie się namawiać wieszczą u grobu Cencich, by dramat o Beatryczy napisał. On zaśię:

Ty umiesz przejrzeć nawet serce glazu
Gdy błękitnemi rzucisz nań oczyma
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu
Ach, wiesz ty może i przyszłość pielgrzyma?

A miał ten pielgrzym na sobie zarzucony przez ramię czerwony płaszcz hiszpański i głowę odkrytą i włosy czarne, długie rozrzucone przez wiatr na białem czole.

Jak chłopcy biją się śniegiem na ulicach Polski, tak oni, panna i poeta, witają wiosnę r. 1830 rzucając na się garściami świeżych fiołków: ona kładzie mu na czoło wieniec z lauru, przeplatany pękami róż, a potem uczą się skandować: „Skąd Li — twi — ni wra — ca — li? W tym czasie p. Marcelina nie ustawała w odmawianiu Eitanji na intencję nawrócenia flirtujących poetów.

To że się przytem, pielgrzym z panienką, kochają okrutnie, nie maćci uroków sielanki. Czyż można było nie kochać się w śpiewaku IV części „Dziadów“ i nie zazerościć Maryli nieśmiertelności? *My beloved, homunc de sou*

siecle, et gloire de la Pologne! — zapisuje ukradkiem Ewunia w swym dzienniczku, miłując wieszca, który tyśiąc razy lepiej od starego Visconti'ego objaśnia archeologję. Ale nie przydawajcie barw tragicznych tam, gdzie ich wcale nie było. „Henrjetta, (powie po latach dawna barysznia Anastazja w swych wspomnieniach), cenila w Mickiewiczu nie człowieka, ale poetę, kochała się w jego sławie nie osobie“. Nie myśleli wcale walczyć z przeznaczeniem, a miłość ich nie była z pewnością największą wśród roznieconych przez amora w romantyzmie polskim. Też nie trzeba dziwić się papie Ankwiczowi i wymyślać mu od stolników Tadeuszowych za to, że nie chciał wydać córki za poetę, tembardziej, gdy tak zaciężyla na szali hr. Guiccioli. Cóż miała tu do roboty wspaniała eks-metresa Byrona, wygorsowana jak kielich lilji? Przecież nie bywa wcale na wycieczkach, a poeci widują ją chyba z daleka na wieczorach u Gagaryna. Otóż patrząc na grafinię w bylantowym kanaku zarzekal się stary Ankwicz, że nie dopuści, aby kiedyś jego córkę podobnie palcami pokazywano, zaś Ewunia tem bardziej marzyła, by móc stać się taką samą w twórczości polskiego Byrona.

A kiedy przestały kwitnąć pomarańcze nad brzegami Anio, salon Ankwiczów przeniósł się do Szwajcjarji. Panna żegnała wieszca z rozpaczą, on zaś uczynił rzecz, którą odtąd przez lat sto naśladować będą gimnazjaści: ofiarował Ewuni egzemplarz IV części „Dziadów“ z ustępem pożegnania, zakreślonym słówkiem: „to!“ Potem długo jeszcze był markotny, że mu nie dano za żonę hrabianki. A już do reszty zmalowały szanse małżeńskie poety, nie mającego ani koneksyj, ani tytułów, ani dukatów, od chwili, w której papa Ankwicz wprowadził w swój dom hr. Zygmunta. Ułożono

odrazu na radzie rodzicielskiej, że przyszły ordynał jest wymarzonym mężem dla rozpieszczonej jedynaczki. Niestety papa Ankwicz, nie znający jeszcze dokładnie historii literatury, padł ofiarą fatalnej pomyłki. Zasłyszał, że Krasiański pisuje wiersze rozręsknione do Henrjetty i ręce zacierał! Tymczasem panią serca Zygmunta była Angielka Henrjetta Willan, na marjaż z Ewunią nie miał skwaszony młodzieniec wcale ochoty. Swoim obyczajem patrzył z góry na całą rodzinę, przedrzeźniając później w listach do Reeva „zdechłe oczy“ Ewuni i zamiary papy. Nie mniej wszakże pisywał do nich bardzo piękne listy i bywał stałym gościem na szwajcarskich wycieczkach. Zwiedzano teraz Ferney Woltera i willę Diodati Byrona i Copet pani de Staël. A znowu dwie gwiazdy zagraniczne rozjaśniły salon Ewuni: Stary Sismondi z Bonstettenem. Potem, lecz już bez Mickiewicza, wrócono do Rzymu. Ewunia studjowała dalej archeologję, zbierała z pasją antyki, pomnażając swój sztambuch przepisywaniem coraz nowych wierszy. Najmilszem atoli zajęciem stała się korespondencja. Pisując obie z matką częste czułe listy do pana dobrodzieja, dopytując skwapliwie, co robi i tworzy. Poeta w listach trochę oficjalnych do matki prosi o rękopis dzienniczka podróży do Florencji, opracowany przez Ewunię, obiecując szanować skarb bardziej, jak Watykan szanuje Cycerona. Namawia do pisania po polsku, znajdując grzecznie w jej stylu „ściśłość i poprawność starego pisarza“. Pod wpływem tej zachęty Ewunia próbuje sił w piórze. Tłumaczy na włoskie Farysa i wiersz Odyńca, próbuje przekładów Byrona, przepisyuje posłusznie dla poety francuski przekład Wallenroda, dokonany przez ks. Zenejdę. Niedościęgniona wszakże jest w jednej tylko scjencji: w znajomości Włoch.

„Neapol — pisze Mickiewicz — zna lepiej odemnie, a o Wezuwjuszu, tyle razy słyszała, ile menueta z Don Juana“.

Z rokiem 1832 bywać zaczęli w salonie Ankwiczów nowi, dziwniejsi goście. Zabrakło pustych śmiechów młodości i nikt nie jeździł na osiołkach. Batuta spoczęła w rękach kochanki aniołów Marceliny, która coraz usilniej pragnie spłonąć całopaleniem na stosie ofiary i „codzień się budzi z nową miłością u Boga i ludzi“. Kryła się w tem dziewczęciu cichem jakaś wielka siła władzy nad duszami. Niektórzy mówią, że od jej wpływu począł się przełom mistyczny w duszy Mickiewicza, a ks. de Laménais powiadał, że jest stworzona na Rzymiankę lub świętą. Zdaje się, że sprawą p. Marceliny przy koninkach u Ankwiczów zasiedli teraz kołem żarliwi romantycy w sutannach. Ongi Mickiewicz ton dawał towarzystwu, dziś czyni to — ks. de Laménais, namiętny rycerz wojującego kościoła romantyzmu, cudowny entuzjasta, zwany „ostatnim ojcem kościoła“. Tuż przy nim 18-letni marzyciel, Karol de Montalembert, o którym wkrótce głośno będzie w Europie. Dotąd jeszcze nie wyklął ich papież i nie kazał łamać świec nad głowami. Na razie chadza ks. Hieronim w spodziewaniu kapelusza kardynalskiego i nie ciska piorunów o stolicę Piotrową. Istne koncylium romantycznego kościoła ujrysz teraz w salonie Łwuni. Bo bywa także najwspanialszy z kaznodziejów francuskich, „cichy, wolny i śmiały“ o. Lacordaire i kardynał Mezzofanti, który ongi dla spowiadania legjonistów nauczył się po polsku i przebiegły Ventura, generał Jezuitów, nareszcie ks. Ożarowski, oraz gorący przyjaciel domu, dawny ułan ks. Kajsiewicz. Trudne do pojęcia są dziś owe mistyczne zachwyecenia owe godziny zadumy, w których dziewczęce rojenia jedno-

czyły się z głęboką myślą purpuratów św. teologii, a rozogniony, jak kacerze, mistyk rozstrząsał z panienką sprawy przeanielenia kościoła. Zaprawdę, jeden tylko romantyzm umiał tak dziwne związki kojarzyć i owijać stułą zrozumienia myśli dziewic i kardynałów!

Z literatów prym dżierży od r. 1832 Henryk Rzewuski, który tutaj zrozumie dopiero, jak wielkie skarby kryją się w jego anegdotach. Z malarzy zjawi się czasem mistrz Delaroche, za którego wyjdzie już wkrótce panna Luiza Vernet. January Suchodolski jest obecnie równie częstym gościem, jak dawniej Stattler, który wrócił do Krakowa. Ewunia odwiedza często atelier pana Januarego, zaprzyjaźniona z jego piękną żoną, która tak bardzo podobała się Słowackiemu. Mickiewicz obecny tylko u Ankwiczów duchem i listami, zaś ilekroć z Drezna przyjdzie list poety, jest w domu Ewuni wielkie święto. Jakże gorąco i „okrutnie“ uprasza go stęsknione dziewczę o przysłanie III części „Dziadów“, na której jeszcze farby drukarskie nie obeschły, jak zachwyca się „prześlicznym kawałkiem“ widzenia ks. Piotra, a sprawę, nad którą ludzie bali się rozmyślać, sprawę liczby 44 wytłumaczy doskonale i pokłóci się o to z przekornym Henrykiem Rzewuskim.

A potem... potem wyszły za mąż panienki. Barysznia Anastazja poślubiła dyplomatę hr. de Circourt, Ewunia została, w r. 1837 dopiero, panią Sołtykową, do czego w nieostatej mierze przyczynił się Krasieński. Pan Sołtyk był młodzieńcem „zacnym, fantastycznym, ale nieogładzonym“, mimo to Ewunia, o dziwo, czuła się bardzo szczęśliwą, (jedyna chyba zadowoloną mężatką wśród pań romantycznych). Przyjemności stanu małżeńskiego opisze w swym dzienniczku z taką samą egzaltacją, z jaką przedtem wzdychała do

Adama Mickiewicza. Atoli trzeźwy los znajdzie jeszcze sposobność powiedzenia jej, że nie zawsze w życiu kwitną kwiaty nad brzegami Anio. Pani Sołtykowa owdowuje, potem straci ojca i wyjdzie po raz wtóry najnieszczęśliwiej za jakiegoś świeżej daty comte'a Kuczkowskiego. Romantyczka, trzymana w karchach materialnych przez ojca, nie umiała wśród flirtu z artystami nauczyć się rachuby życia. Popadnie wreszcie w nędzę w Krakowie, a b. dziedzi-czce Woli Justowskiej pod Krakowem grozić będzie nawet więzienie za długi i marnotrawstwo. Wszelako zachowa zawsze bez skazy piankową duszę marzycielki. Stary już Mickiewicz w ostatnich latach pisuje do Ewuni, zdziwiony, że i jej nawet życie nie oszczędziło. Srebrnowłosa Ewunia pojedzie na ostatni wojaż do Włoch z dorosłą córką, zawsze poetyczna i zgorziona jej trzeźwością w krańce „szczęścia i pociechy“. Po 50-ciu latach od upadku rze-czypospolitej mercedeńskiej spotkają się jeszcze z Odyńcem i oboje staruszkowie będą zmyślać pozeciwie historję swej młodości, iżby się pięknie wydali w oczach potomności. W r. 1879 przyjdzie jej życia dokonać. (A kiedy p. Garczyńska, która chorą przez dwa lata pielęgnowała, przyszła jej dać ostatni proszek, którego żadną miarą zażyć nie chciała, musiała rzec: Widziałem w Rzeszowie piękny portret Mickiewicza, jak Pani proszek zażyje, to go jutro przyniosę. Wtedy Ewunia z ochotą i uśmiechem proszek wzięła, a w kilka minut spokojnie ducha oddała).

Minęło w dziejach romantyzmu wiele mniej i więcej rozbawionych męzatek i opuszczonych nieszczęści, ale jeden jest tylko uśmiechnięty podłotek, i jedyne wśród ruin forum rzymskiego dziewczątko z wiosną w sercu Ewunia.

W starej arji Don Juana i w pachnącej pomarań-czami pieśni z Neapolu znajdziecie zawsze jej uśmiech!

SZCZĘŚCIE LISZTA I BALZACA

*Wszystko, co posiadam w duszy i sercu
mają wiać całą i najlepiej mam w Tobie,
przez Ciebie i z Toią!*

List do ks. Karoliny, 2 maja 1849

*O ma vie, ma chère vie, la fleur de mon
amr, et ce mes joies!*

Balzac do p. Hańskiej, 19 grudnia 1842



F. KRÜGER, pinx.

KS. KAROLINA WITTGENSTEIN

Przypomnijmy sobie z kolei dwie, tylekroć opowiadane, historyjki romantyczne.

Historja pierwsza: gdy w r. 1847 Liszt, bóg fortepianu, przyjechał z koncertem na kontrakty kijowskie, jakaś pani wytworna płaci biletem sturublowym za fotel. Maestro posyła nazajutrz sekretarza z podziękowaniem szczodrej melomance, a zaproszony przez panią na wieś, uczuwa dla niej miłość, która odtąd stanie się motorem wszystkich jego dni i czynów. Tą panią była Karolina z Iwanowskich ks. Wittgenstein (* 1819 † 1887).

Historja druga: W bezliku listów kobiecych, jakimi zasypywano stojącego u szczytu sławy Balzaca znalazł się w r. 1833 tajemniczy liścik damy polskiej z Ukrainy. List, choć podobny do tysiąca innych, dał przecież początek wielotomowej korespondencji, potem szalonej miłości, potem 10 cio letniej udręce genjusza, nareszcie smutnemu małżeństwu. Tą panią była Ewa z Rzewuskich Hańska (* 1806 † 1882).

Jak to się stało, że ci dwaj ludzie, rodzic nowożytnej powieści, z rodzicem muzyki fortepianowej, idący w szrankach sławy o lepsze z Napoleonem, syci róż, kobiet i nieśmiertelności, podporządkowali się zupełnie dwom nimfom

z polskiego Orientu, ofiarowując życie i twórczość swoją kobietom, schowanym w stepie ukraińskim, z których pierwsza była brzydką i zdenerwowaną, druga bardziej otyłą i zimną, jak uroczą i subtelną? Jak to się stało, że z zwyczajnego *liaison devant Cupidon*, z romansiku hrabin z artystami wykwitnął wysokiego typu związek dusz, a panie sięgają dziś, słusznie czy niesłusznie, po efektowne miano *des femmes inspiratrices*, czyli Egeryj, czyli westalek, życiem twórczem darzących?

Były to dwa ostatnie gesty, dwa świetne, przedśmiertne zwycięstwa kultury magnackiej starej Polski.

Rzec można nawet, że w wiktoryjach owych nie tkwi zgoła nic nadzwyczajnego, bo i jakże dokonać się nie miały w epoce, w której tak bardzo popłacał stary polot sarmacki i urok egzotycznego *entourage'n*? Dekoracja była istotnie przepyszna: Dziewiczy bór kresów wschodnich, nietkniętych cywilizacją (och, ileż cierpi na tem Balzac, jadący do Wierchowni!), zaczarowany kraj, w którym wszystko, jest ogromne, nietknięte i barbarzyńskie — i w tym borze dwaj królewicze spotykają dwie istoty, nieziemskie, uciśnione smutkiem, dwie istoty, promieniejące pięknem dusz i doskonale świadome tego, jak trzeba imponować Europie. Królewicze odrazu oniemieli: „Co za wyjątkowy, niesłychany i zupełny egzemplarz duszy wspaniałej, umysłu i rozumu“ woła Liszt, a w tych samych niemal słowach tarza się przedtem z podziwu Honoré de Balzac. Bynajmniej nie z romantycznego przypadku ugrzązł król wirtuozów w Woronińcach, a Balzac w Wierchowni, jak nie z przypadku płynęły wysokie walory obu pań, podwójnie rasowych. Rodowo i cywilizacyjnie. Skrzyżowanie kultury rokoka z Biedermeierem, ożywienie świecidełek oświece-

nia przez gimnastykę romantyzmu dało życie obu kwiatom wspaniałym.

Trzeba zajrzeć do tej oranżerii, w której kwiaty rosły.

Karolina Iwanowska jest córką wolterjanina i wielmoży, władającego tysiącami włók na Ukrainie i tysiącami tomów ozdobnych w szafie bibliotecznej. Jej matka Podoska, z rodu, który wydał osławionego biskupa, to typ zwyczajny niespokojnej sawantki z czasów kongresu wiedeńskiego. Zbyt frywolna w etyce, by zostać polską matroną, zbyt spragniona życia, by zamknąć się w Wierzbachowie, szasta się pani matka po świecie, śpiewa i flirtuje z ostatnimi markizami rokoka, płacąc bez wahania dobrą sławą kobiety za każdą chwilę bujnego życia. Nie ciekawi nas wcale, co łączyło mamusię z Metternichem, ale wspomnieć trzeba, że umiała na swe berlińskie salony ściągnąć Szelinga z Humboldtem i Rossiniego z Meyerbeerem. Trzem córkom, z których Karolina jest najmłodszą, ukazuje pani Podoska od dziecka cuda zagranicy. gdy ojciec opowiada w domu o cudach mądrości.

Pani Hańska, starsza znacznie od Muzy Liszta, rodzi się z dynastji torysów wyjątkowo dumnych i nieznośnych, ale też i wyjątkowo (taki był już u nich zwyczaj!) — mądrych — Rzewuskich. Jest bliską kuzynką szalonego emira i tej niesłychanie uczonej Kaliksty, o której mądrościach legendy krążą, jest rodzoną siostrą pisarza „Pamiętek Sopolicy“, jak również siostrą Karoliny Sobańskiej, pięknej i zmiennej, jak Morze Czarne, a dumnej z romansu z Mickiewiczem.

Z takiego *milieu* wyszły obie wyjątkowo zdolne i rozwinięte księżniczki na spotkanie swej, jakże podobnej doli, na walkę z nieodmiennem przeznaczeniem, które po wiek

wieków, łamało dusze dziewczęce, a zwało się *marriage forcé*. Ognie rozjęsknionej młodości, marzenia wyobrazni, przesyconej lekturą, gasi mąż, mężowi odwieczny zwyczaj każe być tępym, brutalnym i nieczulym. Takim mężem był Wacław Hański, kawaler orderu św. Anny i Jan Jerozolimskiego, któremu dano w 17-tej wiosnie Ewę Rzewuską, takim samym i stokroć gorszym był głupawy ks. Wittgenstein, zmoskwiczony Prusak, który mimo jej trzykrotnych protestów poślubił Karolinę Iwanowską. Do niedawna *marriage forcé* było zwyczajnym, przyjemnym nawet figielkiem życia, teraz dla tych obu uświadomionych już etycznie kobiet — stało się nieszczęściem. Zbyt mądre, po szkodzie matek, by rzucić się w ramiona lekkomyślności, za mało przeciętne, by zadowolić się kaskadą w parku i pieskiem malowanym. Trzeba żyć dalej w świecie książek i marzeń. Stają się obie twarde, zimne, męskie. Karolina Wittgenstein pali hawańskie cygara, Ewa Hańska gardzi wszelką uciechą życia. Virago. Obie mają jedyną uciechę w córeczkach. I równocześnie u obu pań wytwarza się nadmierna, na razie na nic nieprzydatna, doza samodzielności, której absolutnie nie ma gdzie użyć w stepie ukraińskim.

Owa to samodzielność każe ks. Karolinie bez skrupułu zerwać już po kilku tygodniach wszelką styczność z oficerskimi nawykami jej małżonka i zamknąć się w Woronińcach, ta samodzielność każe p. Hańskiej żyć w odosobnieniu od pana Hańskiego i pożerać bez miary, lecz z sensem, stopy książek, jakie tylko w Paryżu drukowano. To pewna, że obie chłoną więcej niż cała Ukraina razem. Lektura ks. Karoliny jest nawet zgoła rabinacka. Studjuje talmud, łacinę, grekę, filozofów, estetyków, nicomal ojców kościoła. P. Ewa, która w pierwszych latach małżeństwa

traci kilkoro dzieci, jest w doborze książek naturalniejsza, bardziej kobieca i rzadko tylko sięga do Swedenborga, czy Tomasza z Akwinu. Obie smutne czytelniczki są przedziwnie samodzielne w lekturze, a w każdym razie krytyczniejsze od pierwotnych romantycznych dusz w papilotach. Nie pożyczają już żywcem sytuacji u bohaterów romansów, ani ich sukien, ani ich frazesów. Być może, że radeby nawet w krwawym trudzie swe własne przebudować dusze. W każdym razie pragną czegoś więcej ponad ustronną kozetkę w przyciemnionym buduarze Paryża. A kiedy rozpoczęły dwudziestą ósmą wiosnę, (p. Hańska w r. 1832, ks. Karolina w r. 1847) jeszcze przed nakazaną przez Balzaca granicą wieku — lektura przerwała się nagle, „ideał sięgnął bruku“...

Zdarzyło się po prostu, jak w życiu. Balzac, lekarz i znachor kobiecej niedoli porywał p. Ławę, od pierwszych przeczytanych kart, tak iż zdobywa się na czyn, wówczas jeszcze arcy-smiały — list do autora. Pisze i prosi o odpowiedź na szpaltach *La Quotidienne* (mamy pierwszy początek miłości z anonsów!). List pachnął nie tylko „larendogrą“, ale wdziękiem i kulturą. Ot taki:

„Pisać pragnę do Pana niekiedy... Nie patrz na mnie, jak na istotę fantastyczną, którą ożywiają wznioste ideały. Nie! Jam prosta i prawdziwa, ale bojaźliwa i trwożna. Znaczą tak mało, że ledwie zwracają na mnie uwagę, nie mam siły ani odwagi do tego, co mnie ożywia, to jest do miłości. Umiałam kochać i kocham jeszcze. Nikt nie mógł pojąć ognistej duszy, która całą mą istotność rozpala. Pan mnie zrozumiesz, pan... Pan uczujesz, jak ja, że powinnam była kochać raz, raz tylko, a gdybym nie została zrozumianą,

wegetować i umrzeć. Dałam serce i duszę i jestem samotna“ ..

Chyba nie te okrągłe frazesiki usidłały Balzaca. Tysiąc podobnych przesyłały mu codzień rodaczki. Wszelako w liście tkwiła siła tajemna, ta sama, którą znamy i która nieraz łączyła dusze na wieki. Siła, której uległ Dante ujrawszy Beatrycę i Malczewski, gdy pojechał do państwa Rucińskich i Krasiński w pierwsze święto Wielkiej nocy w Rzymie.

Co się dalej działo, opowiedziano najdokładniej w dwu wielofuntowych tomach, na tysiącu stronice i w trzystu z górą *Lettres à l'étrangère*. Działy się rzeczy zdumiewające, w tempie, o wiele szybszem od akcji wielu balzakowskich romansów. Pierwszym listem Balzac zdziwił się mile, drugim i trzecim (bo szły zrazu szybko po sobie) był ołśniony, po czwartym dał za wygraną i -- odpisał. W miesiąc później genialny pisarz kochał już kobietę, której nigdy nie widział i której adresu nigdy nie zdołał wymówić. Po dwu miesiącach tęsknił, jak dziecko, po sześciu szalał jak wszystkie Wertery. Gdyby vicomte do Lovenojoule nie wydarł z rąk owocarza tej korespondencji, nie uwierzylibyśmy może nigdy, że to prawda. Tylko przez krótką, pierwszą chwilę Jowisz Francji utrzymuje się na piedestale wielkiego twórcy, pocieszając z wysokości chmur biedniutką *femme incomprise*, (choć już w drugim liście wyzna: Gdyby Pani była mniej czarownicą, mniej kapryśną, mniej tajemniczą, powiedziałbym: o pisz do mnie częściej). Mówi jej o Paryżu, udziela rad, informacji, odpowiada na całe tuziny ciekawskich pytań, czasem podziwiał lub zachwyca się łaskawie, potem prosi usilnie, by najdokładniej pisała o sobie, nareszcie zaczyna mieć pretensję do wszyst-

kich jej myśli, sam odbywa spowiedź generalną, *enfin* stwierdza krótko, że tacy oboje podobni w marzeniach i celach, a wreszcie — bardzo kocha.

Zważmy, że p. Hańska znalazła się w sytuacji niełatwej. Jej rówieśniczki miały do dyspozycji cały, świetny aparat dekoracyjny: lazury Italji i ciche altanki na Litwie, kapelusze z wstążkami, fortepian i wszystkie nuanse rozmowy w solitudzie. Pani Ewa zaś posiada jeno inkaust w kałamarzu, tuzin arkusików w *ecritoir'ze* i pocztę, która wędrować każe listom tygodniami z Ukrainy nad Sekwanę. A przecież! *Scriptsit, vicit*. Jak na złość, podobnie jak u p. Bóbr, nie znamy wcale z wyjątkiem jednego urywku, tych czarodziejskich pisań. A były przedziwne: *ces lignes melancoliques, auxquels j'ai cru... Il y a certains phrases de vos lettres, które sprawiły, że mi serce trzepotało... A przeto: je vous aime déjà trop sans avoir vu... Je vous aime inconnue...* Kocham Cię, chociaż Cię nigdy nie widziałem.

Nie można zapominać, że piszący to człowiek jest fenomenem. Jest geograwem Francji i wychowawcą nowoczesnej literatury, jest poetą pieniądza, jest tytanem, pe-lazgiem i delirykiem pracy, galernikiem wysiłku, jest ży-ciem wiecznym tułaczem myśli bez spoczynku, najdziwniejszym z autorów, jakich zna psychologja twórczości, jest mocarzem mięśni, mózgu i fantazji jest... Mniejsza zresztą jak go jeszcze nazywają dość na tem: Honorjusz Balzac, nie patrząc na żadną z narzucających mu się *grande-dam* świata, powiadał pani Hańskiej iż nareszcie posiada miłość wieczną, żywą, anielską, jakiej zawsze pragnął.

Rychło całe domostwo Balzaczowskiej duszy ogarnął pożar uczucia, wypełniając wszystkie zakamarki jego istnienia. *Disposéz de mes rêves!... Demain je briserai ma*

plume, si vous le voulez! Demain mille femme n'entendraient ma voix! I powiedziane to wszystko bez krzty patosu, bez cienia pozy, bez rozdzierania szat i rozcworzenia jaźni! Zgroza bierze patrzeć, jak mało stylu romantycznego tkwi w tej spowiedzi. Gdzież cały teatr byroński, gdzie mussetowskie spliny, gdzież doświadczenia jego własnych bohaterów z *Comédie humaine*?! Jesteśmy wprost zgorszeni dziecięcą prostolinijnością wynurzeń olbrzyma, powiadającego o sobie, że jest czysty, jak dziecko i kocha miłością dziecka. Z czasem dziecko staje się gadatliwe. Listy miłosne przybierają formę protokołów, pedantycznie dokładnych. Podobnie prostych monottonnych, naturalnych i gaduśkich niema w całej epistulografii romantyzmu! Jeden frazes Krasieńskiego miewał ozdobniejszą szczydła patosu, niż ich tu znajdzie w obu tomach, jedno pozdrowienie miłosne Słowackiego dla donny Giovanniny dzwoniło głośniejszym od nich wszystkich, dźwiękiem poetyckim... Wszystko przemawia za tem, że p. Ewa była rozczarowana. Może podświadomie, ale przecież. Czekala pewnie dzikich skoków duszy królewsko-romantycznej i ślepiących gromów frazesu Jowisza Francji. Tymczasem przeraziły ją wyrazy niestychane w prostocie: *ie suis pur comme un enfant, et aime comme un enfant*. „Jestem ofiarą wczorajszą i jutrzejszą swej wstydlivosti wobec kobiet, ofiarą swej łagodności i swych wierzeń“.

Szybko przyjmie p. Hańska do zatwierdzającej wiadomości, że król romansopisarzy Balzac stał się cały jej własnością i szybko oswoi się ze swem szczęściem i królowaniem. Każda inna *femme incomprise* byłaby już po pierwszym liście Balzaca poczuła wolę Bożą i pojechała za głosem przeznaczenia do Paryża. P. Hańska pozostaje



DAFFINGER, pínx.

PANI HAŇSKA

515

w Wierzchowni. Bynajmniej nie ze skrupułów religijnych — jest aż nadto liberalna — raczej dlatego, bo bardziej ufa trwałości uczucia *à distance*, lub może z racji swego zrównoważenia, zresztą niewiadomo dlaczego dość, że p. Hanska pozostaje w Wierzchowni i koresponduje z Balzakiem dalej.

Najpiękniejsze lata ich miłowania zawarły się w tej korespondencji. Uniwersalista Balzac, tak jak w „Komedji ludzkiej” dał całość obrazu społecznego Francji, tak w stosunku tym przemierzył był wszystkie etapy miłości od cen mieszkania do ceny gwiazd. Dalsze wydarzenia są wiadome. W ciągu pierwszych lat dziesięciu widzieli się dwa czy trzy razy w Genewie i Wiedniu. Jakże miłutko nieporadnią w chwili pierwszego pocałunku, spełnionego w cieniu restauracyjnych drzew, jak przepyszny zda nam się ten prawodawca „Fizjologii miłości”, gdy, niezem skłopotany student, nie umie pozbyć się obecności trzeciego niepotrzebnego — męża! Czy podobał się p. Ewie z wejrzenia genialny, pękaty i zakochany pisarz nie wiemy, tem więcej słyhać atoli o wrażeniach, odniesionych przez Balzaca. Ktoś, kto ją wówczas widział zagranicą powiada:

„Była to — piękność wspaniała, nieco nalana. Mimo tuszy, potrafiła zachować urok, opieprzony akcentem cudzoziemskim, rozkosznem zachowaniem się zmysłowem, robiącym na mężczyznach wielkie wrażenie. Miała cudowne ręce i ramiona, skórę delikatną i jasną, oczy bardzo czarne, zamglone, niepokojące, usta wypukłe, bardzo ponsowe, głowę o rysunku czystym, okoloną lokami *à l'anglaise*. Wężowa miękość ruchów nacechowana była lubieżnością”.

Gdy się kochankowie rozstali, poczęła znaczyć się widoczna odmiana w sytuacji. Heloiza, wróciwszy na Ukra-

inę, z wolna, ledwie dostrzegalnie zaczyna stygnąć. Abelard goreje z każdym dniem więcej. Coraz częściej powtarza się w listach smętny *subjonctif*: gdybyś ty chciała zrozumieć, gdybyś była inną, gdybyś nie skąpiła serca... Coraz wyraźniejsza różnica temperamentów: trzeźwej kobiety-virago i płomiennego, jak wulkan, samotnika. O rozwodzie z p. Hańskim nie ma nawet mowy. Balzac zaś żyje tylko tą myślą: *J'irai demander au tsar la permission necessaire à notre mariage!* Ale *carissima* nie chce. Trzeba czekać, dopóki nie umrze p. Hański. Na razie posyła mu się ciągle autografy sławnych ludzi. Wszystką treścią życia Balzaca jest tęsknota. Do jej przyjazdu? Nie. O tem także niema mowy. Tęsknota, już tylko do listów z Wierchowni. Przychodzą teraz rzadko, arcytrzeźwe, wzywające do spokoju, nawet bluźnierczo ironiczne. (*La grrrrande comédie, comme vous dites, en vous moquant de votre!...*) U niego zasię jeden i ten sam motyw wieczysty: Kocham (cię więcej, jak kochać można i więcej, jak sama tego chcesz! *Jamais Abelard n'a rêvé Héloïse avec plus de puissance...*

Gdy tak sprawy stały w Wierchowni, ks. Karolina z Iwanowskich Wittgenstein żyła w Woronińcach wśród pustki, książek i goryczy. Zmienawidzona przez rodzinę męża, płacąca bez miary jego długi i mająca w swym domu jedyną, jak p. Ewa duszę przyjazną — w córeczce.

Wtedy Liszt zagrał w Kijowie Chopina.

Słowo Liszt znaczyło w Europie więcej nawet od słowa: Balzac. Liszt — to był zwycięski pochód muzyki przez kontynent i pierwszy wielki triumf estrady. Liszt — to był szaf świata, od Londynu po Odessę, od Skandynawji po Hiszpanję. Liszt — to było ukoronowanie muzyki na pierwszą i najwyższą ze sztuk! Muzycy usunęli

w cień poetów. „Muzyka i tylko muzyka jest ambrozją życia ludzkiego“ wołał młody Karol Libelt, a Europa cała zamieniła się w słuch wokół estrady, na której uderzał w klawisze wirtuoz o błyszczącym oku i rozwianych włosach. Był prorokiem muzyki, bo nie wiedziano jeszcze o istnieniu Wagnera, był najukochańszym wirtuozem i w Polsce, która nie słyszała grającego Chopina. Łatwy do entuzjazmu. Lwów płakał słysząc „króla olch“, wyprzęgał konie, obrzucał „nieporównanego, jenjalnego“ gałęziami bzu, nie podzielając zdania Szajnochy, który znajduje mistrza „wielkim prostakiem, a przynajmniej ordynaryjnym, afektowanym przesadnie głosem i ruchami... We dnie zajada się i zapija z paniczami, w nocy przegrywa ogromne sumy w dżokejskim klubie“. Potem w Krakowie witały mu tłumy beamerji i banderje krakusów, a Roman Zmorski wołał w rymie egzaltowanym:

Cześć ci, ogniem piekła zięjący
 Burzą, zgrozą, trwogą grzmiający
 Szalony i dziki
 Szatanie muzyki!

Szatani muzyki adorowały nad życie wszystkie anielice o białych ramionach, te które do dziś dnia klęczą w ekstazie na oleodrukach: Liszt a m Klavier. Jadąc na kontrakty kijowskie w r. 1847 miał Liszt za sobą: sielankowo-tragiczną miłość Katarzyny de Saint-Criq i krzykliwie romansowe przeżycie oraz troje dzieci z Marią de Flavigny hr. d'Agoult i zamkniętą w hotelu Lolę Montez. Wszelako ponad to wszystko przeniósł romantyczny maestro półroczną lekturę Dantego w Woroninacach, którego czytali wspólnie z ks. Karoliną. I wtedy bogom równy

cudotwórca znajduje na Ukrainie wszystko, czego daremnie dotąd szukał. Jakaś przedziwnie tkliwą adorację swej twórczości, chęć współpracy, współsławy także i współżycia naturalnie. Maestro z długimi włosami i nieśmiertelnością, przed którym klęczała Europa, uklęknął sam i odłożył tournée po Ameryce. Powiedziała mu, że pragnie zostać jego żoną, tak samo nagle i po prostu, jak to uczynił Balzac w liście do p. Ewy. Zaczem sprzedaż dóbr za milion rubli, ucieczka za granicę i wyjazd razem w świat.

Róże i ciernie uplotły odtąd wieniec ich wspólnego życia. Przyniosła mu dużo szczęścia i wskazała nowe skarby twórczości w jego duszy. Gdy objął kierownictwo opery w Wejmarze, ona kupiła zamek Altenburg pod Wejmarem i budują wspólnie świątynię tonów, do której Germania bierzy na czworakach, sławiąc nowego Johanna Wolfganga. Ks. Karolina mieszka tu z córką i ochmistrzynią, zmienia wirtuoza w kompozytora, zniewoliwszy do pracy nad muzyką programową, symfoniczną. Oboje są całym światem dla siebie, a świat cały składa im hołdy. Aczkolwiek pani okazała się w bliższym pożyciu stanowczą, nerwową i apodyktyczną, dobrze z nią maestrowi. Dwór wejmarski patrzy na drażliwe *liaison* przez palce, bo istnieje jeszcze nadzieja rychłego rozwodu i małżeństwa. W tym czasie, kiedy Balzac pragnie *aller au tsar*, ks. Karolina przy pomocy dworu w Wejmarze kołacze usilnie, lecz daremnie do carskich wrót, bo rodzina jej i męża zdołała już uniemożliwić rozwód „polskiej rewolucjonistce”. Liszt całym blaskiem swego prestige'u osłania najdroższą przed sztyletami intryg, a ona, szczęśliwa, snuje wysoko bajkę życia wśród uwielbienia wejmarczyków. „Nie sposób było — mówi Ryszard Wagner (zważcie) ten

złoshiwy Wagner!) — oprzec się niezwyklej żywości umyśłu księżny. Jednak ciekawa najwyższych spraw, jakie nas zajmowały, jak i przypadkowych szczegółów naszego stosunku do świata, umiała nas wprowadzić w jakiś rodzaj ekstazy, w której każdy musiał dawać z siebie najlepsze, na co go stać". Także Hektor Berlioz słuchał pilnie wskazówek księżny, a nowej kraszy dodała sympozjonom uroczą dorastającą córeczka. „Za Lisztem, przy fortepianie — powiada w „Dziennikach“ swych Hebbel — stoi dziewczątko w polskim stroju narodowym, w djademie i złotych ozdobach, obraca kartki i czasem gładzi rączką długie, rozwiane w czasie gry włosy mistrza... *Traumhaft, Phantastisch!*“...

Około r. 1843 umarł nareszcie w Wierchowni Wacław Hański, kawaler orderu św. Anny i krzyża jerozolimskiego.

Pani Ewa była wolna. Balzac przestał pisać kunsztownie dwuznaczne listy do obojga małżonków i czekał z niecierpliwością spełnienia dziesięcioletnich zabiegów. Lecz było o to trudniej, niż kiedykolwiek. Po pierwsze miłość ich straciła urok zakazanego owocu, powtóre Rzewusczy ani słyszeć nie chcieli o związku Ewy z człowiekiem, który był tylko powieściopisarzem i bezprawnie używał tytułu markiza, po trzecie martwiły rachunkową panią prawdziwe i urojone kłopoty Balzaca. Czwarty i najważniejszy powód utrzymywany był w najgłębszej tajemnicy: *cara signora* miała już dosyć nadmiernej miłości małego pękatego człowieka. Ten zaś na przekór wszystkiemu, kochał jeszcze więcej i z właściwą sobie pasją zawziął się, aby przewalczyć trudności, ażeby zapomocą największych honorarjów, jakie kiedykolwiek płacono literatowi, zdobyć dużo, dużo

tysięcy franków. („Chciałbym być większym, być sławniejszym, być wieniec, który główkę twoją okoli, był najkwietniejszy ze wszystkich!...“) Ubierał się w biały szlafrok, pisał przez ośmnaście godzin na dobę, spał tygodniami w drukarni, i wyciskał łokciami z nim razem spracowany stół, na którym po jednej stronie stał widok Wierchowni w ramkach, po drugiej minjatura p. Léwy, dzieło Daffingera. Zawziął się, pewny, że dopnie swego poeta pieniądza, geograf Francji, żyd tułacz myśli wieczny w ruchu bez spoczynku i nieszczęśliwy kochanek kasztelanki witebskiej...

Pani Ewa w cała rada tym objawom miłości, utrzymywała się świetnie w roli pocieszycielki geniusza, prawiła mu nadal kazania o marności bytu, (zapewne niemniej zdawkowe od morałów p. Bobrowej), narzekając że się starzeje wśród pustki i nudy. Ale to nie zrażało poety. („Choćbyś miała lat pięćdziesiąt, moje oczy będą cię zawsze widziały w tej sukni wymarzonej na pagórku w Neufchâtel!“). Zalecała mu cierpliwość. Balzac czekał cierpliwie, tworzył zaciekle i gromadził kapitał z namiętnością, referując najpokorniej o postępach swej gigantycznej pracy.

Dzielić się z nią gotów był wszystkim, nawet - - geniuszem. Zdarzyło się raz, że pani Hańska napisała swym okrągłym, „pięknym i szarmanckim“ stylikiem jakąś *nouvelle*. Rzecz poszła odrazu do pieca, ale treścią pochwalono się w najbliższym liście do poety. Balzac, rzecz prosta, zachwycił się pomysłem, użył go natychmiast jako kanwy do powieści *Modeste Mignon* i odtąd uwierzył święcie, że p. Léwa jest współautorką jego powieści. „Twoja myśl przybiegła na skrzydłach wiatru i poczty i zakwitła w mej duszy, jak ziarno, które padło na swą glebę, jak

kwiat pod promieniami słońca. Zda się, iż dałaś mi jakoby milczący rozkaz wykończenia tego, co sama stworzyłaś. Rzuciłaś dzieło swe w ogień, ogień zaś wrócił mi je. W dwa dni po otrzymaniu tego listu zobaczysz w *Débats* jak kwitnie i weseli się *Modeste Mignon*. O, jakież to piękne! Nie marzyłem nigdy, że będę miał tak umiłowanego współpracownika. Nie do uwierzenia, jak pysznie pracuje się we dwoje!”

Istotnie piękne to było, gdy twórca *Comédie humaine* wszystko swoje ofiarowywał dziedzicze z Wierzchowni. Albowiem całe życie jego duszy koncentrowało się w jej sercu, a miłość była „kwiatem podwajającym każdej wiosny owoce swoje i zapachy”. Tych wiosen miało jeszcze minąć dziewięć w męczącym oczekiwaniu. Dwa razy w ciągu czasu owego dozwolono Balzacowi modlić się przed wielkim ołtarzem swej miłości. Był w Wierzchowni w r. 1847 i 1849. W ciągu „dni ośmnastu przebył 1/4 część średnicy ziemi”, osiągnąwszy pono rekord w szybkości podróży z Paryża na Ukrainę. Oszołomiony wielkością osobliwego kraju, w którym obok najświetniejszych przepychów znalazł najjaskrawsze braki, zachwycony, ten wieczny kombinator, dębina ukraińską, na której chce we Francji spekulować, hawi tu przez kilka miesięcy, w ciągu których pani Hańska krząta się spokojnie koło swych interesów i wydaje córkę za mąż. Nareszcie, gdy posiwiał i doszedł do zupełnego bałwochwalstwa, a 40-letnia dama wyziębła zupełnie — naznaczono dzień ślubu w r. 1850.

W tym czasie Liszt z ks. Karoliną nie byli już także szczęśliwi. Temperament księżny i niemożność rozwodu, pracowały nad tem oddawna. Sytuacja nierozwiedzionej rozwódki stawała się coraz trudniejsza. Dwór wejmarski

zaczyna po prostu ignorować damę, a bogi, obojnie niemiaszki czynią jej afronty na ulicach. Liszt przestaje nawet bywać u dworu, odsuwa się od Wagnera, z którym go poróżniła, opuszcza Wejmar, czując otów u skrzydeł. Jest zmęczony. Uwielbia jak dawniej rozum, mądrość i pieściwość swojej Egerji, pisze pod jej natchnieniem oratorjum o św. Stanisławie, a pono nawet pod jej dyktandem ową genialną książkę o Chopinie, ale rad chroni się w zacisze samotności przed atakami newrozy i halucynacjami ks. Karoliny, przed towarzystwem otaczających sawantkę uczonych profesorów Zurychu, którzy nudzą jego i Wagnera. Widują się ledwie kilka razy do roku, zresztą stanowcza, apodyktyczna, w swoje cele zapatrzona pani pisuje doń „łokciowe” listy i dalej pracuje w estetyce. Walka o rozwód trwa dalej; jej nerwy, intrygi rodziny, porażki w zapasach z prawem kanonicznem trują każdą chwilę jaśniejszą. Nareszcie gdy ks. Karolina miała lat z górą czterdzieści, a siwy Liszt rozpoczął pięćdziesiątkę, Watykan zezwolił na ślub. Aby uniknąć możliwych intryg w ostatniej chwili uroczystość odbędzie się w prywatnej kaplicy Piusa IX. Wiadomo co się stało. Życie pożyczyło efektu z zeszytowych romansów. W przeddzień uroczystości zwiedzał właśnie kaplicę ktoś z krewnych księżny, wypadkiem w Rzymie bawiący. Czy to ślub? Księżny Wittgenstein. Z kim? z Lisztem. Ow krewny porusza niebo i ziemię. Pius IX znowu cofa pozwolenie. Księżna Karolina uznała w tem palec boży i przysięgła dobrowolnie, że nigdy Liszta nie poślubi. Rzuciła się z całą pasją w komtenplacje religijne i zaczęła pisać dzieło w 25 tomach o słabości kościoła. A maestro niech z nią jedzie ku gwiazdom. Pisze mu o tem bardzo podniosły list:

Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało, nie móc

nigdy wrócić do Woroniec, nie móc wrócić do Wejmaru. Ale w jednym i w drugim wypadku kierowało mną jedno i to samo przeświadczenie, że nie poto jesteśmy na ziemi, aby trwać na miejscu, lecz dla idei i czynu. Dlatego pogodziłam się z myślą, że nie zobaczę już nigdy mego domku ani kwiatów, które pod okiem ojca i matki sadziłam, że nie zobaczę komnat, gdzie moje dziecko rośnie. Wejmar był wtedy ideą większą, jak Woroniec. A dziś Rzym jest jeszcze większy od Wejmaru! Dlatego ofiarowałam Woroniec za Wejmar, a Wejmar za Rzym, bo ty, ty jesteś i będziesz w Rzymie większym, niżeliś mógł być w Wejmarze!"

Marzeniem ks. Karoliny stało się uczynić z Liszta kompozytora religijnego i współpracownika swej misji reformy kościoła. Cóż jej teraz z małżeństwa!

Gdy umarł wreszcie ks. Wittgenstein, Watykan sam prosi ją, by poślubiła Liszta. Lecz ks. Karolina zmanierowała się już do reszty. Pali cygara hawańskie podwójnej długości, pisze przy świetle lampy i zapuszczonych storach 25 tomów dzieła *de la faiblesse de l'eglise catholique*, oraz drugie tyle o wszystkim innym. Czy są to dzieła genialne, czy maniackie, nikt nie wie, bo cały wydrukowany nakład zniszczył gdzieś w rzymskiej piwnicy, ukryty starannie przed okiem ciekawych i tylko biblioteka Watykanu ma po jednym egzemplarzu. Liszt widuje księżnę rzadko. Jest stary i samotny. Mówią jedni, że to ona spowodowała, by przywdział franciszkańską sutannę i przyjął pierwsze święcenia, mówią inni, że chciał się w ten sposób jednym sakramentem od drugiego obronić. Nie dała mu zaprawdę szczęścia w życiu pani z Woroniec tak jak go nie dała Balzacowi kasztelanka z Wierzchowni.

Państwo Balzacowie po ślubie pobłogosławionym w Wierchowni udali się do Paryża w maju r. 1850. Na ulicy Fortunée czekały z niecierpliwością apartamenta wspa- niałe urządzone z przepychem przez Balzaca, zbieracza antyków. Było łóżko pani Pompadour i biurczko Hen- ryka IV. Otwarty się dla całego Paryża podwoje szczęśli- wych nowożeńców, na krótko, bo wkrótce rozpoczęły się „małe niedole małżeńskiego pożycia“, i okazało się, że większa jest odległość między jednym a drugim pokojem, niż mię- dzy Paryżem i Ukrainą.

Oboje doznali zawodu. Zrujnowany Balzac nie zna- laż u pani Hańskiej odpowiedniej fortuny, a ona nie mo- gła sobie darować, że zmieniła nazwisko i że połączyła się z człowiekiem umierającym, osamotnionym i ubogim. Szczęście nie trwało ani godziny. Płomień życia Balzaca zaczął gasnąć odrazu.

„Było to dnia 18-go sierpnia 1850-go roku — opo- wiada Jan Gigoux późniejszy drugi mąż p. Ewy. Balzac zapytywał wciąż dra Nacquarta: Niech mi pan powie prawdę. Jak jest ze mną?

Lekarz wahał się; wreszcie, po długich naleganiach rzekł:

-- Powiem panu szczerze: niema żadnej nadziei.

Balzac ścisnął koldrę kurczowo.

— Kiedy umrę? zapytał głosem zmienionym.

Dr. Nacquart miał łzy w oczach.

— Może dzisiejszej nocy — odparł. Czy nie pragnie mi pan czego powiedzieć?

— Nie niczego już nie pragnę.

— Może pan chce się z kim zobaczyć?

— Nie, z nikim.

Nie wspominał ani słowem o żonie“.

„Poszedłem do pani Balzac. Zastałem ją w ponsowym szlafroku, z obnażonymi ramionami, z rozpuszczonym włossem. Radziłem jej, aby się pokazała choć na kilka minut, w pokoju męża. „On nie zwraca na mnie uwagi, wciąż mnie upakarza“, -- odpowiedziała mi. — „Ale pan mnie nie opuści. Nie zostawi mnie pan samą przez cały dzień. To byłoby straszne“ — dodała.

„Zostałem... Ku wieczorowi dozorczyzni uwiadomiła nas, że Balzac kona. Ociekał wciąż potem. Dozorczyzni radziła do chorego nie iść. O godzinie w pół do jedenastej, odezwało się dwukrotne, gwałtowne pukanie do drzwi pokoju, w którym siedzieliśmy.

— Pani! — wołała dozorczyzni, — proszę iść, pan umiera.

Jeszcze dwukrotne pukanie do drzwi. Usiedliśmy na łóżku. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, w odrętwieniu. Wreszcie ona poruszyła się, jak gdyby chciała wstać. Zatrzymałem ją. Dozorczyzni odeszła. Słysząc było otworzenie i zamknięcie drzwi do pokoju konającego. Pani Hańska z poza rozpuszczonych włosów, spływających jej na ramiona, wyszeptała: „Źle się stało. Głupio. Trzeba było odpowiedzieć. Co sobie dozorczyzni pomyśli?“

Ale nie wstawiała z łóżka. W dziesięć minut potem, przybyła dozorczyzni z oznajmieniem, że Balzac umarł. Wtedy wdowa zaczęła złorzeczyć nieboszczykowi, mnie i sobie. Nazajutrz rano poszła odwiedzić zmarłego“.

Płasko zakończył się romans p. Hańskiej.

W trzydzieści lat później umarł w Wejmarze stary, zgnębiony, samotny Liszt, któremu na 70-tą rocznicę urodzin przysłała ks. Karolina ostatni list miłosny: O drogi,

drogi i dobry! Niech ci lata siedmździesiąte płyną pod promieniami słońca, które zaświeciło 22 listopada 1847 w Wronińcach“.

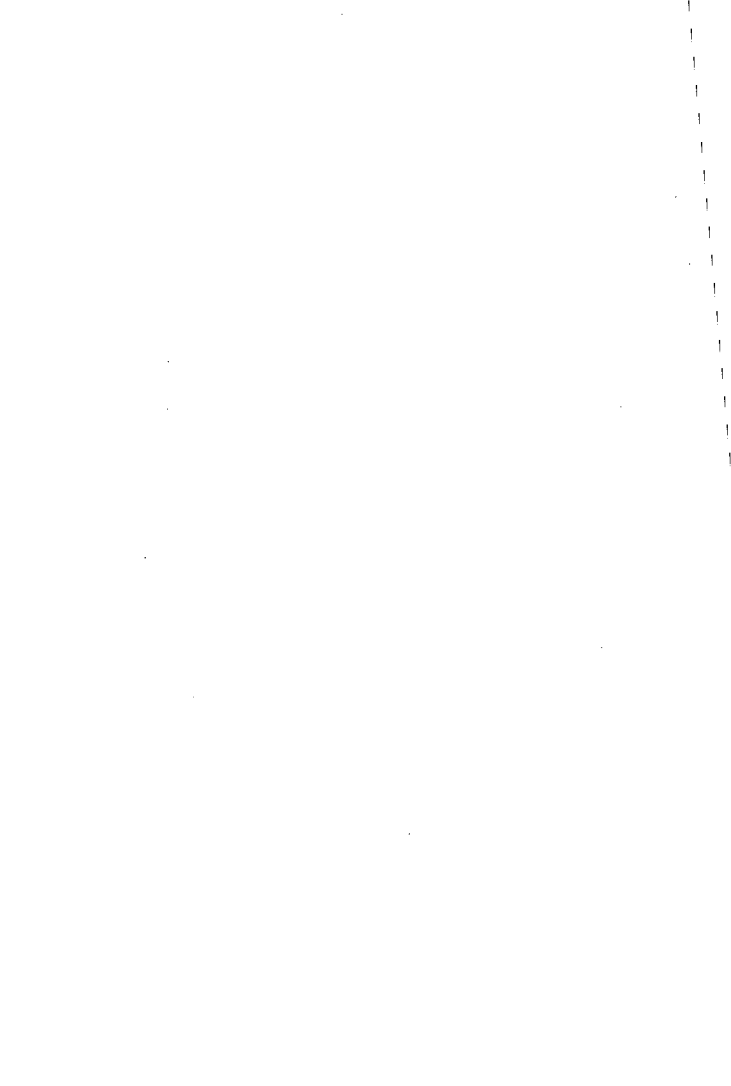
Tak zakończyła się historia czworga ludzi, którzy marzyli, że wśród wichur życia i ponad przepaście swoich dusz przejdą z niezgaszonym płomykiem pierwszej romantycznej miłości...



*KLEMENTYNA Z TAŃSKICH I DELFINA
Z KOMARÓW*

*Świat w najwczesniej chwili tworzenia
utworzył Bóg z radością — Polkę.*

Heine



Nie z figlów, ani też w pogoni za efektem złączyliśmy dwa, tyle odległe imiona. Raczej — z musu. Bo w ten tylko sposób zdołamy może uprzytomnić całą, niespokojną różnorodność i rozrzucone bogactwo typu kobiety romantycznej. W ten sposób t. z. przez zestawienie dwu natur, dwu temperamentów, dwóch etyk — krańcowych. Zestawiać Klementynę z Tańskich Hofmanową (* 1798 † 1845) z Delliną z Komarów Potocką (* 1807 † 1877) zda się rzeczą wprost niegrzeczną, tak jak niegrzeczniem byłoby prosić na wieczór do siebie dwie osoby, zgoła różne stanowiskiem, inteligencją, poglądami, obyciem, słowem wszystkim. Te obie panie czułyby się też obrażone. I słusznie. Hofmanowa o to, że ją zestawiono z kokietką, dla określenia której nie miała dość gromów w swych książkach. Dellina przeto, iż ją chcą równać z zaściankową moralistką, o której złośliwie rzekł Słowacki, iż zamknęła dusze polskie na kluczyk od spiżarni. Podobne skrupuły nie mogą jednak ważyć w oczach badacza kultury obyczajów, tak jak dla botanika nie ma różnicy między fiołkiem a pokrzywą. W krajobrazie życia romantycznego znajdzie się miejsce dla obu. Atoli strzec się trzeba, by nie padło z tego zestawienia światło fałszywe. Aby pierwsza z pań nie wydała się jeszcze bardziej, niż jest zasłużoną, doskonałą, anielską, druga stokroć więcej, niż była potępioną, grzeszną.

wszeteczną. Nie wolno mieć do Klementyny z Tańskich pretensji, iż nie urodziła się romansową heroiną, że nie śpiewała przy śmierci Chopina i nie zawróciła głowy ks. Montfort, podobnie, jak trudno żądać od „Didyszy”, aby zawoławszy: „wszystkie dzieci polskie są mojami dziećmi” — zasiadła pisać dla matek i dzieciak „Wiązanie Helenki”.

I na odwrót: każda z tych dwu postaci, ujęta osobno, dalaaby wrażenie jednostronne. Wszystko złe da się powiedzieć o jednej, wszystko dobre o drugiej. Klementyna była gorliwą służebnicą społeczności swojej, Delfina równie gorliwie służyła miłości „ptakowi słodkiemu i okrutnemu”. Miłujcie ziemię i obyczaj — wołała jedna, miłujcie rozkosz, chwilę i użycie — wołała druga. A kobiety polskie jednej albo drugiej słuchając, nieraz ku obu ciężąc krańcom, utworzyły oblicze swej duszy. Więc jakież były te krańce? Jak daleko sięgały granice typu?

Znamiennie określili Hofmanową ludzie współcześni, mówiąc iż była w czasach pozy i koturnów „wieszczką prostoty”. Na strątowane wiekiem oświecenia ugory, na ścierniska, wypalone entuzjazmem napoleońskim, padł jej siew. Bardzo późny siew. Gdyby pół wieku przedtem wszczęła swą kapłańską misję, panie polskie z epoki Biedermeiera byłyby inne. Umiałyby przynajmniej pisać polskie listy miłosne, czułyby się większemi obywatelkami narodu swego, niżeli p. Hańska, Bobrowa, Potocka. Gdyby pół wieku przedtem przyszła na świat autorka „Rozrywek dla dzieci”, to, być może, w chórze pieśni romantycznej usłyszeliśmy głos poetki polskiej, współczesnej Mickiewiczowi. Bez Hofmanowej być jej nie mogło, a gdyby nawet była, pisałaby po francusku. Hofmanowa oddała Polsce — polską kobietę, której wiek 18-ty użyzył rozumu,



GEORGES NAYTER, pinx.

W. SHARP del.

DELFINA POTOCKA

(Lit. de Lemercier)

ale zabrał — narodowość. Hofmanowa wypełniła gesią kulturę „panienek celkowych“, chowanych w klasztorze przez metra tańca i nie umiejącą abecadła polskiego zakonnicę. Hofmanowa wzięła dziewczátko polskie za rękę i zaprowadziła je do polskiego kościoła, miast do paryskiej *Eglise*, dała mu mocne oparcie etyczne, tłumacząc, że „trzeba więcej mocy w duszy, by codziennie małe ofiary czynić, aniżeli raz w życiu na wielką się odważyć“. (Córki pań romantycznych uczą się tej prawdy). Wielu literatów i poetów mogło u tej cichej, ułomnej kobiety brać lekcje łęgiej, spokojnej polszczyzny, plastyki słowa, kompozycji. Ona była pierwszym w Polsce kobiecym talentem twórczym, więcej jeszcze: wogóle pierwszą sarmacką białogłową, co potrafiła wystąpić ze zdecydowanym, konsekwentnym programem działania! Całe życie pisarki stało się miłością, służbą, wysiłkiem. Całe życie kobiety było dokładnym i spokojnym pełnieniem cnót dziewicy szczęśliwej, potem szczęśliwej małżonki.

A przecież... przecież miał rację Słowacki, mówiąc, iż zamknęła dusze na klucz od spiżarni. Prostolinijne wskazania etyczne Hofmanowej łamały się nieraz już pod pierwszym dotknięciem dłoni życia. Zbyt wiele budowała na idyllicznych pierwiastkach duszy kobiecej, za wąski obszar życia obejmowała jej mądrość. Brak wielkich konfliktów w jej powieściach; nieumiejętność, ileż znamienne, odtworzenia namiętności zarzucają jej wszyscy krytycy. Unikała tych rzeczy z rozmysłu. Dionią dobrej mateczki zasłaniała Tajka swym wychowanicom oczy na wszystko, co jest w życiu złe i potworne, nie umiała nauczyć walki z życiem i wytłumaczyć rozkoszy tej walki. Sukienki, uszyte przez nią dla dziewczątek, były niepraktyczne, bo zanadto

białe. Uczyła ich cnoty jakiejś cukierkowej, zachęcała do zdobienia ramion w skrzydła — z papieru. Niewystarczającą na życie była ta egzortła o cnocie, za to tem więcej dobrego uczyniła nauka druga, o służbie narodowej.

Hofmanowa jest arcytypem kobiety o dużem zdrowiu moralnem i cieniutkiej strudze temperamentu, kobiety małego lotu, ale gorącej altruistki, jest modelem rzewnej jasnowłosej Słowianki w rozumieniu Brodzińskiego.

* * *

A teraz z najcichszej i miękkiej łąki na lazurach niebios spadniemy głową na dół w czarne i krwawe ognie Inferna, w gorejącą głodem życia i męką przepaść piekieł, by tam zobaczyć arcytyp drugi: „panią pomarańczowych drzew i kwiecistej willi“ Delfinę.

Za hasło weźcie dewizę orderu Podwiązki, ale... odwróconą: *Honny soit, qui bien y pense!* Albowiem imieniem „Didyszy“ straszły cnotliwe matki swe córki, a nawet St. Tarnowski, który wszystkim wysoko urodzonym paniom przebaczył, złamał z bólem klątwne świece nad jej głową. Bohaterka „Przedświtu“ miała sławę lwicy i wampira, przed którego uściskiem drżały nawet głowy koronowane. Była tak szczerze, tak serdecznie, tak bez hypokryzji rozpustną, że jej tego darować nie chciano.

Życiorys p. Potockiej pisać trudno, bo byłby — monotony. *Dià heures du matin* hr. de Flabault, *dix heures du soir* ks. Orleanu, infanci królestwa obojga Sycylii, z którymi grywa się i śpiewa na cztery ręce, potem hr. Montori, Hieronim Bonaparte, synowiec cesarza. Osobno i równocześnie, jak się zdarzy. Nawet Krasiński zdumiony dobrem wysokiego towarzystwa. Podstarzali lowelasi mają

pierwszeństwo. „Na to by się jej podobać — powiedział raz zgorszony generał hr. Zamojski — trzeba przekroczyć 50-tkę i dużo jej pochlebiać, jak zepsutemu dziecku“. Ale mansardy artystów nadewszystko. (.Z pałaców sterczących dumnie zejdź luba do mojej chatki“, w przekładzie nb. francuskim). Pan Chopin, nauczyciel muzyki w domu matki zaciekał ją najpierw przez cztery lata. Jest to wcale przyjemnie, gdy na okładce koncertu F-moń wszyscy czytają: *A M-me la comtesse D. Potocka*, Chopinowi była Mużą (1832—1836), Krasińskiemu będzie Beatryczą. (Wieczór wigilijny r. 1838 w Neapolu, pełnił rolę Wielkanocy r. 1834 w Rzymie). Po dziesięciu latach beatryczowania korci panią — malarz. Stary Delaroche, francuski Matejko, oszalał dla niej zupełnie.

Przed tem i po tem wielu innych. Z mężem, zupełnie zresztą niemożliwym, skończyło się bardzo rychło, pięcioro dzieci umarło w pieluchach. Stutysięczna renta, willa w Nizy, willa w Paryżu, salon w Neapolu. Magnackie życie Zygmunta wydaje mu się wobec tego nędzą. Splendory, śpiew, uroda, melancholja. I dużo, — — — — — waleństw. Podbój świata. (Nie wiadomo, czy istotnie śpiewała tak czarująco czy się to jeno zakochanym artystom zdawało.) Najwyższą tęsknotą jest tęsknota wielkiego gestu. Trudno o to bardzo. Dwa przecież udały się *arte*: Pielęgnuje Krasińskiego w czasie ospy (o ofiarności!), śpiewa Chopinowi na dzień przed zgonem (o poczju!). Przy wszystkim nieodstępne aktorstwo uczucia, żalobny eliton, srebrny djadem smutku, i ciągle przezieranie się w zwierciadle swej duszy. *Welt-schmerz*. („Komu tylko życzyłam dobrze, taka istota mi się zawsze odplacała niewdzięcznością lub różnemi innymi trybulacjami. *Au total* żywoł ten jest tylko ogromnym dy-

sonansem. Bóg Cię strzeż, kochany panie Chopin!")

Życie nie warte namysłu, najstodsza jest walka *à outrance* z miłością, rodziną, światem. Dopiero starzejąca się „Dysz“ (tak kiedyś „Siżys“ szeptał) kombinuje: co lepsze, pani na Tulczynie, czy ordynatowa Opinogóry, co szczytniejsze, Scacchieta Delaroché'a, czy dalej mimo wszystko Beatrycze z „Przedświtu“, mimo, że Dante ożenił się z pannicą młodą, świeżą, precudną? Lecz pozostaje na stanowisku w spodziewaniu, że dzieci w szkołach kiedyś uczyć się będą o miłości Siżysia i Dially, tak jak się uczą o Eneaszu i Dydonie.

Delfina Potocka jest arcy-typem. Poznać odrazu, że wyłamała się z szeregu pań romantycznych. Byłoby zgrzytem przypominać sobie, np. że istnieją Zosie w „Tadeuszu“, Aniele z „Ślubów“ i Ewunie. Oraz trudno zarzucić p. Delfinie, że nie wdziała „Czarnej sukienki“ Gaszyńskiego:

Schowaj matko suknie moje
 Perły, wienice z róż
 Jasne szaty, świetne stroje
 To nie dla mnie już!

Jakże karykaturalnych rysów kochanicy Belzeba nabrałyby w tem towarzystwie? Lecz także innych porównań nie czynicie. Bo gdzież pani Kowalska, Bobrowa, Iwanowska? Anielice!

Albowiem tlem dla postaci Delfiny nie jest wcale polski *fashion* romantyczny, lecz późny i rozeczochrany, francuski. To nie rozmarzona i nieśmiała Korynna, ale niszcząca ducha i hulaszca Lelja pani Sand. W emaljowanym *necessaire* swej dużej nosiła „Didysta“ wszystkie schyłkowe nakazy romantyzmu. Że walka z namiętnością jest prze-

chem, że nie wolno przeszkadzać naturze, że wielkim prawdziwie jest ten, kto się nie umie poskramać, że pozbycie się przesądów w miłości jest spełnionym celem życia. Przypomnijmy sobie *L'air romantique* na Zachodzie w latach 30-tych i wszystkie wirujące w powietrzu haszy-sze i całe *galimalias* etyczne, którego heroldem jest najmilsza z Kurtyzan, Aurora Oto datura, atropina, opjum i absynty. Luiza Collet dźga Alfonsa Kerra scyzorykiem w plecy, ks. Belgiojoso oddaje się artystom popołudniu i wieczorem, pani Malibran co wieczór cudnie śpiewa i co wieczór zdradza. Albo utopiona w podróżach pasja lady Stanhope albo tańce z szalami i zamtuzi żywot lady Hamilton, za którą szalał admirał Nelson!..

O! i już nieco wybielała grzeszna Dially w tem towarzystwie. A jeśli we Francji z nabożeństwem rozpatrują dzikie skoki pani Sand z Mussetem, dlaczegoż w Polsce okładać kłatwą nieboskie komedje, wyprawiane przez Krasinńskiego i Delfinę?! Romantykom wiele wolno było. Wymyślili sobie „świętą ironję“, „seraficką pogardę“, i wychowali sobie także — „anielską rozpustę“ Delfiny. Widne w niej przeróżne śmieszności i występki brzydkie, ale jest i cała malowniczość romantyzmu, jest uciecha i duma życia, o której śpiewa francuski romantyk:

*Ah! mes jours ne sont plus que parfum et lumière
Qu'irresse, enchantelement, qu'ambrosie et que miel
De mon ardente amour s'exhale la priere
Et dans mon coeur ravi je sens couleur le ciel!*

Delfina z Komarów jest romantyczką-francuską. Polski nie zna, nie chce, nie rozumie. Tak mało czuje się Polką. jak bardzo jest nią fanta druga, z przeciwnego bie-

guna, Klementyna z Tańskich. Chociaż ociera się o polskie Drezno w czasie, kiedy tam pełni służbę bożą Klaudyna, chociaż gości herbatką głodnych poetów w Paryżu, chociaż pływa gondolą „Przedświtu”. Tylko pod najwyższym przy-musem, dla przypodobania się Krasieńskiemu wytrąci czasem trochę zdań polskich do listu. („Wiesz Dially, że ty ślicznie piszesz po polsku...”) Kosmopolityzm to jedyna jej wina. Innych usprawiedliwień (a wychowanie francuskie, *a moral insanity* męża, a „jad tutezyński”) nie potrzebuje już choćby dlatego, że nie miała nigdy ambicji wejścia do żywotów Plutarcha, już choćby dlatego, że jest typem — skończonym i stylowym. Patrzenie, jaki rzadki okaz *femme abandonnée*, opuszczonej kolejno przez wszystkich, jak świadomie układa każdą godzinę romansu wedle wszystkich reguł romantycznego... nie, hyper-romantycznego kochania. A dalej: jaka mocna, może najmocniejsza *femme inspiratrice!* Jej miłość daje Krasieńskiemu wszystkie rozkosze użycia płodne momenty tworzenia. Tomy zapisuje pod jej urokiem. Każe mu pisać, pisać dla niej, dla ich obojga nieśmiertelności, każe kochać, kłąć (przepyszny wiersz do złej ciotki), wieszczyć, daje mu słowem pełnię życia. Tego nie umiały Kowalskie, Bobrowe, Jęwunic. A potem „wdowa serca” żyje ciągle żądzą sławy przy nim, przez niego. Miała prawo Dially zwać się Beatrycją, a jeno szkoda, że matki cnotliwe straszą nią swe córeczki.

Klementyna z Tańskich i Dellina z Komarów to, jak mówiliśmy, typy krańcowe. A cóż po środku? Idzie poczet cały, barwisty, zmienny, nieuchwytny, jak dusza kobiety. Są autorki i pełne zapалу literatki (Jaraczewska,

Rautenstrauchowa, Wilkońska), są męczennice (Mieczysławska), ofiarne i krwawe sybiraczki (Ewa Felińska, Róża Sobañska), szczęsne matki genjuszów (Salomea Becu i p. Mochnacka), przedziwne mistyczki (Zofja Węgierska), a także gąski, zawsze i w każdej epoce te same!..

A z tej wirującej mgławicy typów z pomiędzy orszaku indywidualności wylania się coraz wyraźniej i śmielej kontur nowoczesnej kobiety polskiej, uświadomionej etycznie i narodowo. Już czas ostatni zostać za nawiasem damie błękitnej, wychowanej w Paryżu. Jako pracownica w winnicy cywilizacji polskiej wchodzi MATKA — POLKA. Kobieta z warstwy średniej i średniej inteligencji, o złotem sercu, niebieskich oczach i rwących się do czynu mięśniach. Wychowana na drożdżach romantycznej wiary i nadziei, mądra tradycją matek i nieszczęściem narodu. I coś w niej jest takiego, czego ludzie Polsce zazdroszczą.

„Teraz jednakże klękniście, a przynajmniej uchylcie kapelusza — mówić chcę o kobietach Polski. Ulatuję duchem nad brzegi Gangesu i szukam kwiatów najmilszych, by je porównać z Polkami. Gdybym miał pędzel Rafaela, melodję Mozarta, słowo Calderona, być może udałoby mi się wywołać w piersi waszej uczucie, jakiego doznalibyście, jeśliby prawdziwa Polka z krwi i kości, ta nadwiślańska Afrodis jawiła się przed wami. Czemże są plamy barwne Rafaelowskiego pędzla, wobec tych piękności, które stworzył żywy Pan Bóg z radością w najweselszych snach chwilach swoich?

I czem są Calderonowskie gwiazdy na niebie, czem kwiaty na ziemi wobec kobiety polskiej, którą nazywam aniołem ziemskim, mianując na odwrót anioły niebiańskie — Polkami nieba. Tak mój drogi, kto spojrział w ich oczy

gazecie, ten wierzy w niebo“... Wiecie, kto się tak zachwycał Polkami? Najzłośliwszy ze satyryków H.ine. (*„Ueber Polen“ 1822*).

Zajęci w tej książce opisywaniem rzadkich i wysokopiennych kwiatów cieplarnianych, zbyt mało, o tak zbyt mało, mówiliśmy o fiołkach, różach i stokrociach, które pachną i żyją, bez inspektów, na grządkach. Została przeto w cieniu ta bezimienna i nienazwana, schowana w domu kobieta, nie mająca szczęścia do przygód nadzwyczajnych. Może piękniejsza od tamtych pań frontowych, może nieszczęśliwsza, może i ciekawsza, któż dojdzie? — kochanka, żona, matka, ta właśnie którą Bóg stwarzał w chwili radości. Ta, której często za całą korespondencję miłosną, i cały flirt i całą poezję starczyły:

Trzy literki w jednym glidzie
Czwarta z tyłu z kropką idzie
Piąta w górze przekreślona
Szósta kołem otoczona.

Znacie zagadkę, nieprawdaż? Przed trzystu laty znano ją także i tak samo kończono:

Tam się wije wąż misterny
A tu księżyc niezupełny.

(Wrzesień — Grudzień 1920).



PIJONKA I RONDOAL

z MUZYKĄ

JÓZERA NOWAKOWSKIEGO

Allegretto.

Mnie na - pa - da mię gadać ię - go - szę
 Kie - bże - to - dzieć się me - go
 Wam weso - ły - mi - mi - je - stać
 Kie - bże - kanto - do - go - me

Tam gdzie orszak się wia - że - je
 W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -
 I kto - ry - - - - - - - - - - - - - - - - -

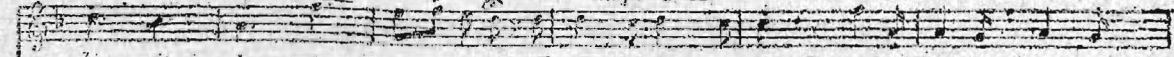
Sempre piano

Tam ja - - - - - - - - - - - - - - - - -
 W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -
 To - - - - - - - - - - - - - - - - -

O - - - - - - - - - - - - - - - - -
 W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -
 Kie - bże - - - - - - - - - - - - - - - - -

W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -
 W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -
 W - ła - - - - - - - - - - - - - - - - -

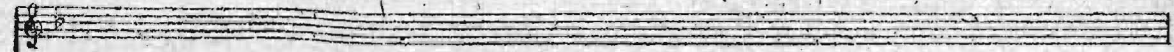
And *Tempo 1*



Je suis en la main de mon Dieu. Je suis en la main de mon Dieu. Je suis en la main de mon Dieu. Je suis en la main de mon Dieu. Je suis en la main de mon Dieu.



brave que l'Esprit saint pleure et seigneur Dieu nous fait les gens.



LITERATURA PRZEDMIOTU

O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ

O kulturze obyczajowej romantyzmu polskiego wcale dotąd nie pisano. Jako materiału porównawczego z romantyzmem Zachodu używaliśmy wyczerpującej pracy: Maigron Louis. *Le romantisme et les moeurs*. Paris 1910. Tenże. *Le romantisme et la mode*. Paris 1911. Zob. nadto: Boehn Max. *Die Mode im XIX Jhr.* München-Stuttgart. — *Un siècle de modes féminines, 1794—1894.* Paris G. Charpentier, 1896. — Faquet L. *Les amours d'hommes de lettres.* — Huch Ricarda. *Blütezeit der Romantik.* Leipzig 1901. — Brandes J. *Główne prądy literatury europejskiej w XIX wieku.* Warsz. 1882. t. 1—3. — Sèche Leon. *A. Musset et ses amis.* t. 1—2.

Z prac polskich, dotyczących niektórych poruszonych tu zagadnień zob. Chrzanowski L. *Z epoki romantyzmu.* Krak. 1918. str. 1—70. Kleiner J. *Juljusz Słowacki* t. II. str. 81 i nast. Załeski Z. L. *Kobieta i kobiecość w poezji Słowackiego.* — Oraz liczne uwagi naukowe zawarte w wybitniejszych monografiach hist.-literackich. (Farnowski i Chmielowski, Kallenbach-Treliak, Hoesick i t. d.).

KOCHANKI PIERWSZYCH DNI

Przykłady z życia poetów, wspomnianych w tym rozdziale zaczerpnięte m. i. z prac: Kallenbach. *Mickiewicz w Kownie.* Biblioteka warsz. 1910 I. str. 80 (rekonstrukcja ballady „To Lubię“; Hoesick. *Miłość i miłostki.* Warsz. 1916. str. 153—173 (Chopin i Gładkowska); Zdziarski. M. Gosławski. Petersburg 1900; Wybranowski. *Gawędy z lat*

minionych. Lwów 1900. (Gosławski i p. Emiljan); Leysinger H. Szymon Konarski. Warsz. 1915; Chmielowski. Studja i szkice. I. (o Zaleskim); Boherska E. Pisma. Lwów 1893. str. 319-329 (o T. Zaborowskim); M. Mann. Wincenty Pol. Kraków 1904. str. 31-52 (Pol i Eugenia Lisowska); Stattler W. K. Pamiętnik. Kraków 1917. str. 78-9 (Małżeństwo Stattlera); Listy Z. Krasińskiego do St. E. Koźmiana. Lwów 1912. str. 13 (o Trentowskim); Prace komisji do badań nad historją literatury i oświaty. T. I. Warsz. 1914. str. 65 (Oleszkiewicz).

WŚRÓD NARCYZÓW I TULIPANÓW

Podstawą informacyjną są prace i wydawnictwa prof. Kallenbacha, najlepszego dziś znawcy Mickiewicza (Por. Adam Mickiewicz. Wyd. 2 gie Krak. 1918. O nieznanym pismaku Mickiewicza. Lwów 1908; Nieznane pisma Mick. Krak. 1910). Z kolei korespondencja Filomatów (wyd. Jan Czulek) T. I-V, skąd wzięto przeważną część cytatów (I, 383-85. III, 212, 256-259, 275-9); Inne szczegóły zob.: Odyniec Wspomnienia z przeszłości. str. 227; Domejko Ign. Pamiętnik. Krak. 1910 str. 25; Mickiewicza A. Listy i przemówienia (Dziel tom III w wyd. Pimego str. 322, 325, 349).

O PORUCZNIKU MALCZEWSKIM

Rzecz oparta częściowo na wiadomościach, nie wyzyskanych przez licznych biografów Malczewskiego. Znane źródła zebrał M. Mazanowski: Żywot i utwory A. M. Lwów 1890. Próż tego, korzystaliśmy z następujących: H. Cieszkowski. Notatki z mojego życia. Poznań 1873. str. 26-28. — (Wiadomości o p. Chodkiewiczowej), Falkowski. Obrazy z życia kilku pokoleń. t. II. str. 196; Kraushar. Salony i zebrań literackie warsz. Warsz. 1916. str. 18; Szwarenberg-Czerny K. Nieznany wiersz Malczewskiego. Pamiętnik literacki 1918. str. 113; Gajewski Józef. Pamiętniki. Poznań 1916. T. I. str. 195 (niewyżyskany w opowiadaniu szczegół o jej małżeństwie z Golicynem). — O ks. Fryderykowej Lubomirskiej i jej szwajcarskim salonie zob. Wspomnienia o rodzinie Żulfskich w XIX wieku. (Drukowane jako rękopis. Kraków 1907) str. 18-19. — O mesmeryzmie zob. Deutsche Biographie (Mesner). t. XXIII. — O skazaniu Malczewskiego za udział w powstaniu listopadowym zob. Czarnik Br. Skazany po śmierci. Świat. Rok 1894.

SAMARYTANKA I PENTESILEA

Biografji Klaudyny Połockiej opartych na informacjach źródłowych nie napisano dotąd. Jest kilka popularnych, nadto pobieżnych i ekliwych. Szczegóły tu przytoczone zob. Gadon L. *Emigracja polska*. t. I. 74, t. II. 253—4, 267, 307; Dębicki L. *Portrety i sylwetki*. S. II. t. I. str. 38, 40, 47, 50; *Listy Januszkiewicza* (wyd. Kallenbach) *Lamus* 1910; Jełowicki. *Aleksander Wspomnienia*, str. 68; *St. Kczmian*. I z bliska i z daleka. Poznań 1881 str. 219—236, 326 (wiele materiału listowego); F. Boberska. *Pisma* str. 31—42; Giller. *Listy tułacza*. *Warta* 1883 nr. 471; *Generał Władysław Zamojski* t. III. 217, 390; *Mickiewicz. Listy* (wyd. Reitera) str. 386, 398, 405, 410; *Mann M. Wincenty Pol*. t. I. str. 242. *Nowa Polska*, Paryż 1836. t. III. str. 425—444; *Wielerkiewiczowa Marja: Puchar powstańców „Czas”* 1915; *Wł. Mickiewicz. Żywot A. M.* t. III. 190 *Zyciorys P l a t e r ó w n y* opracował starannie i z wyzyskaniem dostępnych materiałów K. Żurawski w pracy: *Dziewica-bohater*. Lwów, Nakład T. S. L. 1911. — O wiele pobieżniejszym jest szkic Wiktora Gomulickiego (*Kłosa z polskiej niwy*). Ponadto por. Gadon L. *Emigracja* II. 9; *Wł. Mickiewicz. Żywot A. M.* III. 190; raport pułkownika Pencka drukowany w *Przeglądzie historycznym* (I. V. str. 246—7).

DONNA GIOVANNINA

F. Hoesiek w swojej aredrobiazgowej pracy: *Miłość w życiu Krasieńskiego*, Kraków 1909 zgromadził wszystkie cytaty, wzmianki, wiersze i listy dotyczące Krasieńskiego i Bobrowej. W związku z twórczością poety oświetlił rzecz prof. Kallenbach w 2 gim tomie monografji o Krasieńskim. Zaczerpnęte stamtąd szczegóły uzupełniłem nadto wiadomościami o życiu p. Bobrowej w *Zahajcach*, do czego posłużyły nast. źródła: *Wrótnowski Feliks. Powstanie na Litwie i Rusi*, str. 151. *Radzimiński Z. Marszałkowie wołyńskiej ziemi*. Lwów 1916; *Berlich Sas. Obrazki czasu i ludzi*. Warszawa 1876 str. 160; *Wołyńskiak (Karwicki). Wspomnienia*. L. 1896 str. 156—160; *Stęcki. Wspomnienia mojej młodości*. Lwów 1895; *Krechowiecki A. Zygmunt Kaczkowski*. Lwów 1918 str. 463 i 474; *R. Baudouin de Courtenay. Zahajce. Kraj petersburski (Życie i sztuka)* 1901 nr. 46; *Korespondencje Krasieńskiego z Bobrową* opisał L. Mevel w *Przewodniku nauk-lit.* w r. 1905; *Listy do Jura* z r. 1860. Kraków 1974.

Materiałem, który posłużył do opowieści o Słowackim i Bobrowej są listy Słowackiego (T. III. Warsz. 1915), oraz monografia Hoesiaka: zob. także Zaleski Z. L. Kobieta i kobiecość w twórczości Słowackiego. Warszawa 1910.

SALON EWUNI

Znanem źródłem jest książeczka ks. Jana Siemińskiego. Lwów 1888. Później ogłoszono nowe szczegóły: w Żywocie A. Mickiewicza przez syna (t. II): Z papierów po Ankwiczach, wydał St. Estreicher. Przegląd polski 1912 (zeszyt Kraszińskiego) str. 189; St. Tarnowski. Listy do Ankwiczowej (tamże): J. Kallenbach. List Mickiewicza i Odyńca. (Tygodnik Ilustrowany 1809); Januariusz Suchodolski. Z pamiętnika współczesnego. Kraków 1911; Stättler. Wspomnienia moich znajomości. (Kłosa 1871); Trefer. W. K. Stättler. Lwów 1910; Kallenbach. Monografia o Kraszińskim. t. I. 183. II. 168; Grabowski Ambroży. Wspomnienia. Kraków 1912. t. II. str. 278.

SZCZĘŚCIE LISZTA I BALZACA

Wyzyskano zarówno zagraniczną literaturę przedmiotu, która jest obfita, jak polską, która jest dość znikoma. O ks. Karolinie rozpisują się szczegółowo wszyscy biografowie Liszta, najobszerniej Kapp i La Mara, (hr. Marietta Coudenhove) w książce: Liszt und die Frauen Lipsk 1919. Są także cztery tomy listów Liszta do ks. Karoliny. Podobnie wiele pisano we Francji o p. Hańskiej. Najpierw dwutomowe wydawnictwo listów: Lettres a l'etrangere (t. I. Paris 1899 t. II. Paris 1906), dalej książka Lovenjoula: Un roman d'amour, następnie rewelacje Oktawiusza Mirbeau: „Le 628. E. 8^e (wedle opowiadań malarza Gigoux) (por. sprawozdanie E. Żmijewskiej w „Bluszczu”, z której przekładu w opowiadaniu korzystamy (1907. nr. 552). Nakoniec Katarzyna Radziwiłłowa w swej niesympatycznej książce: My recollections (London, Isbister & Comp. 1904) ogłosiła wiązanke szczegółów o swej ciotce (str. 26—33).

U nas pisali: O pani Hańskiej: Helleniusz. Listki wiatrem przyniesione. III, 54—56; tenże. Pamiętki. 407. Kraszewski. H. de Balzac (Bluszczyt 1877 t. XIII.); T. Grabowski. Radzie i p. Hańska. Kraków 1902; A. Nowaczyński. Legenda o hr. Hańskiej Atenium 1904 t. IV.

str. 25—42. (Essay jedno z najświetniejszych Nowaczyńskiego, ale dla braku informacji stronicze). O ks. Karolinie Wittgenstein: Marja z Maykowskich Ilnicka. Bluszcz 1887 nr. 17; Wł. K. Listy włoskie. Kłosy 1876 nr. 599; Bluszcz. 1881 nr. 43 — Oraz popularnie na podstawie źródeł obcych: Prof. St. Niewiadomski. Pokłosie z Woroniniec. Gazeta wieczorna. Lwów. (r. 1917 nr. 4610—1); Lesław Jaworski w biografii Liszta (Złoczów, Zukerkandel). Liszt w Polsce: Wróblewski K. Kornel Ujejski. Lwów 1902. str. 276; Sztuka (wyd. Tadeusz Rutowski) r. 1911, 149; Wawel-Louis. Życie towarzyskie Rzeczypospolitej krakowskiej. str. 55; Libelt. Pisma pomniejszych t. III. 189; Drzewiecki K. Pamiętniki. str. 341; Słowacki. Listy. t. III. (wyd. Meyera) str. 184; St. Koźmian. I z bliska i z daleka. str. 9.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH I DELFINA Z KOMARÓW

Literatura dotycząca Tańskiej zebrana w książkach Chmielowskiego: Autorki polskie w XIX wieku. I. oraz Klementyna z T. II. Petersburg 1900. — O Delfinie Potockiej streścił starannie wszystko co pisano Hoesick w cytowanej książce: Miłość Krasińskiego. Nadto zob.: Tygodnik ilustrowany 1910 nr. 35; Feliński Szcz. Pamiętniki. Lwów 1912. t. I. str. 186; Krechowicki. Zygmunt Kaczkowski i jego czasy str. 171. Heine. O Polsce. tłum. St. Rossowski. Złoczów. Zukerkandel.



SPIS ROZDZIAŁÓW

	Str.
OD AUTORA	V
O MIŁOŚCI ROMANTYCZNEJ	VII
KOCHANKI PIERWSZYCH DNI	I
WŚRÓD TULIPANÓW I NARCYZÓW	19
O PORUCZNIKU MAŁCZEWSKIM	39
SAMARYTANKA I PENTESILEA	55
DONNA GIOVANNINA	73
SALON EWUNI	105
SZCZĘŚCIE LISZTA I BALZAGA	119
KLEMENTYNA Z TAŃSKICH I DELFINA Z KOMARÓW	141
LITERATURA PRZEDMIOTU.	153